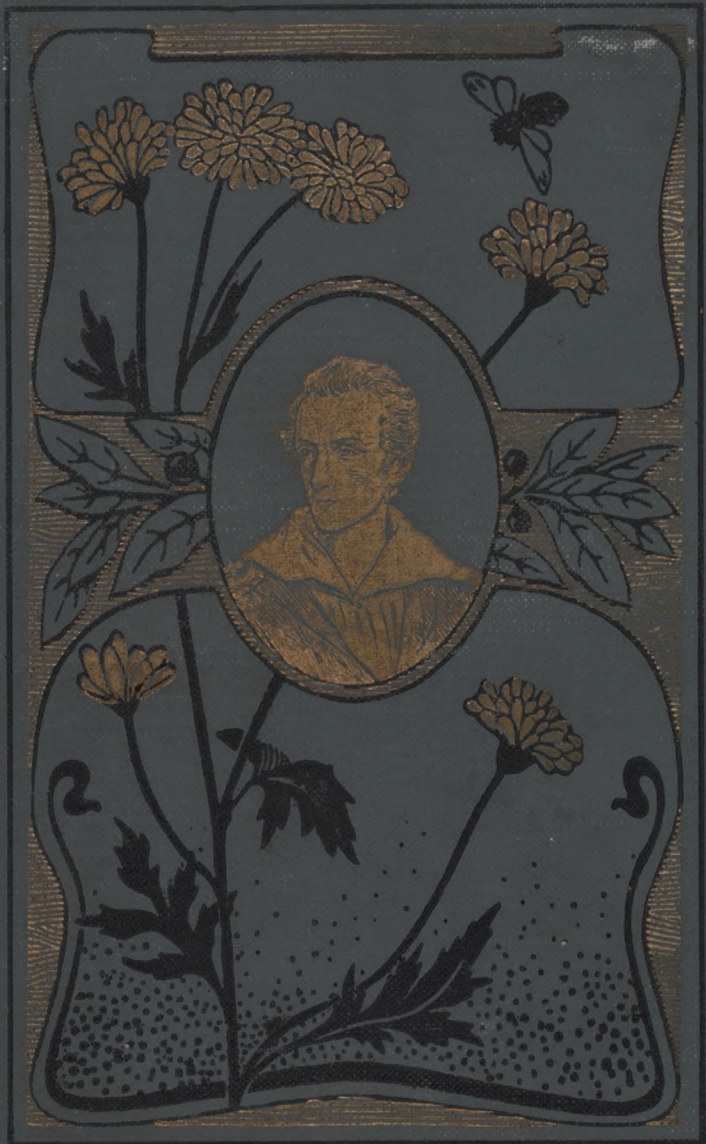




NOWA BIBLIOTEKA
PISARZY POLSKICH.

TOM XIX.

POEZYE
JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

PISMA POŚMIERTNE

WYDANE

W SETNĄ ROCZNICĘ NARODZIN POETY

ZEBRAŁ

Ks. KAMIL JULIUSZ KANTAK.

TOM V.

MIKOŁÓW-WARSZAWA.
NAKŁADEM KAROLA MIARKI.
1909.



63865/5-6

63885

884 (084)

ZBIORY SLASKIE

Akc R Nr 881/43/5

Przedmowa.

Wydanie zupełne popularne dzieł Słowackiego w stuletnią rocznicę narodzin poety jest na czasie. Wydania dotychczasowe nie zadowalały ze wszystkim. Zamieszczano w nich tylko te pisma, które wielki pisarz wydał sam za życia. Czyniono to i u innych naszych wielkich poetów. Ale Mickiewicza i Krasińskiego dzieła wydane za życia obejmują najważniejszą część ich twórczości. Reszta pozostała w rękopisie, aczkolwiek cenna, do całości pozostaje w stosunku przyczynku. Przeciwnie u Słowackiego. Tutaj dzieła wydane przez poetę samego stanowią nie tylko mniejszą część ilościowo, ale nawet nie obejmują tych właśnie utworów, które sam cenił najbardziej. Obraz przeto otrzymywany z wydań popularnych jest najpierw niepełny. A że właśnie owe niektóre strony dzieł Słowackiego jako jedynie znajome szerszej publiczności uchodzą za pełne jego oblicze duchowe: dlatego tak mało się zna, tak mało rozumie i tak mylnie pojmuje twórcę Króla-Ducha. Niedostatkowi temu pragniemy zaradzić, uzupełniając swoje wydanie dzieł Słowackiego dalszymi tomami zawierającymi dzieła pośmiertne.

Umieszczamy w nich wszelkie utwory jakie zachowały się w całości. Z ułamkowych dajemy

wyjątki przedstawiające całość formalną lub myślową.

W ten sposób podajemy publiczności wraz z poprzednimi tomami pierwsze wydanie popularne zupełne dzieł Słowackiego. Nie obejmuje wprawdzie wszystkiego co napisał, dozwala jednakowoż wytworzyć sobie pełne pojęcie myśli i sztuki jego. Pominięte utwory a raczej szczątki utworów ilościowo znikomą są szczątką a jakościowo nie zmieniają w niczem wizerunku duchowego, wypadającego z pełnego dzieła.

Mikołów, w lipcu 1909.

W y d a w c a.

Religijność Juliusza Słowackiego.¹⁾

W rzeczy porządku i w ładzie różnych stosunków ludzkich religia jako związek człowieka z Bogiem pierwsze i jedyne zajmuje w swoim rodzaju miejsce. Dwojaki cel człowiek ma przed sobą: przyrodzony i nadprzyrodzony. Pierwszy wiedza i sztuka mu wskazują, drugi religia. Ale pierwszy wyraziliśmy na razie tylko pod względem rozumowym. Równolegle działalność woli biegnie, wyrażająca się w dobrem, o ile wskazuje je natura. Religia podobnie ma dwie strony: teoretyczną, wyrażoną w nauce o stosunku człowieka do Boga i oczywiście Boga do człowieka, oraz praktyczną, polegającą na czynie według słowa, a więc dobra nadprzyrodzonego. Oba łądy: przyrodzony i nadprzyrodzony, wiedza i sztuka zharmonizowane z religią w słowie i czynie, stanowią dopiero zupełnego człowieka.

Prawdę tę pojęła instynktownie raczej niż wyrozumowaniem myśl polska. Najwięksi przedstawiciele jej, począwszy od humanizmu (kierunek, przyjmujący nauki, sztukę i literaturę grecko-rzymską jako najlepszy środek kształcący i doskonalący

¹⁾ Zamiast wstępu dajemy rozbiór zagadnienia tak ważnego i tak często omawianego dziś właśnie.

umysłowość ludzką) a wznosząc się najwyżej w mesyaniźmie ¹⁾, ponad wiedzę i sztukę kładli religię za najważniejszą sprawę, za podstawę lub koronę dzieła swego, biorąc stosunek między Bogiem i człowiekiem. Promienie gdzie indziej rozsypane jak w soczewce zbierają się w Słowackim. W nim myśl polska szczytu dosięgła, w nim religia się uwydatnia na miejscu naczelnem.

Pisząc o religijności Słowackiego, należałoby poświęcić tematowi dzieło całe. Z konieczności tutaj możemy tylko jak najzwężlejsz ująć temat, dotykając raczej i naznaczając niż rozprawiając i tłumacząc. Niejedno będziemy musieli pominąć, nie raz ograniczając się do twierdzeń, dowody zachować na inną sposobność.

W życiu i twórczości Słowackiego jak wiadomo rozróżnić należy dwie epoki przedzielone rokiem 42. W obu możemy zauważyć stopniowy rozwój pewnych, choć w każdej innych stron poety.

Spółeczeństwo polskie około r. 1800 nie odznaczało się religijnością. Nie walczyło z Kościołem z wyjątkiem rządu Księstwa Warszawskiego. Zasady komisji edukacyjnej ²⁾ stosowane także w okręgach naukowych: wileńskim i kijowskim, przesiąkły wolnomyślicielstwem. Z nauką religii w szkole, z chodzeniem do kościoła i braniem udziału w ceremoniach publicznych godzono doskonale usunięcie religii jako czynnika nakładającego karby sumieniu. Faktycznie ludzie ci wyznawali deizm (wiara w jednego Boga, oparta

¹⁾ Filozofia, której najwybitniejszymi przedstawicielami są Hoene-Wroński i Słowacki oraz Towiański i Mickiewicz. Por. moje artykuły: Z studyów mesyanizmu w „Przeglądzie Kościelnym.”

²⁾ Ministeryum oświaty polskie.

na podstawie rozumu, a odrzucająca objawienie) na wzór Voltaire'a, (mów Woltera; był najwięcej wpływowym pisarzem francuskim; splamił jednak imię swoje zuchwałą walką, którą prowadził z wiarą chrześcijańską, szydząc z niej i usiłując ją ośmieszyć), którego też widywano w kościele, a nawet podobno przystępującego do Sakramentów św. Ks. Staszic, ks. Kollataj, prymas Poniatowski, zażywający truciznę, ksiązę poetów, zamieniający na zbór kościół¹⁾. Biskup Kossakowski, powieszony, ks. Mayer, pilnujący wieszania w stule z pistoletem, metropolita Siostrzeńcewicz, marzący o ogłoszeniu się głową Kościoła w Rosyi, wyrażają owe czasy. W środowisku takich myśli Słowacki wyrósł. Na całe życie wycisnęły piętno na nim.

Nie zdziwimy się tedy, kiedy powiada, że chrzest (uroczysty z ceremoniami) otrzymał, gdy przestawał wierzyć, nie zdziwimy się, gdy czytamy w „Godzinie Myśli“ i w „Kordyanie“, że kilkunastoletniego chłopca nawiedzały myśli samobójcze. Nie wiara powstrzymała go od nich, ale bądź miłość do Ludwiki Śniadeckiej, bądź rozwaga, że tam za bramą śmierci może nie być niczego; należy uwzględnić prawdopodobnie oba połączone czynniki. Na wiarę, na religię nie napada nigdzie coprawda, ale obchodzi się z niemi chłodno, z poszczególnemi urządzeniami kościelnemi niechętnie nawet. Powstanie z roku 31 i jego ocena w Rzymie oburzyła szerokie koła społeczeństwa polskiego na Watykan. I Słowacki uległ temu mniemaniu, dając im ostry wyraz w „Kordyanie.“

¹⁾ Krasicki, Arcybiskup gnieźnieński oddał kościół św. Józefa w Kaliszu protestantom.

Wyjazd do Włoch i podróż na Wschód nawróciły poetę w innym kierunku. Co wpłynęło na jego usposobienie, trudno powiedzieć: zdaje się, że noc przepędzona u Grobu Chrystusowego raczej oznacza spotęgowanie nastroju, aniżeli przeobrażenie. Już „Smutno mi, Boże“ wykazuje dość wyraźnie ślady powrotu wiary. Wiara ta jest szczerą i pojmowanie religii katolickie. Poetycki swój zawód Słowacki uważa za „twardą Bożą służbę“, siebie jako „kamień rzucony przez Boga na szaniec.“ Z takiego „Pogrzebu kapitana Meyzniera“ uczucie szczerze katolickie przemawia, lub z Parafrazy (obszerne omówienie) Bogarodzicy. Zestawić tylko te poematy z poprzednią „Godziną myśli“ a łącznie widzieć zupełną odmianę w zapatrywaniach poety. Ten sam co pisał ongi, że wiara jego dziecinna na papieskich padła progach, teraz mówi do matki: „Przebacz... bo gdyby nie to, że opuścić Boga musiałby, toby ciebie pewno nie opuścił.“ Wierzącym katolikiem więc Słowacki jest u schyłku pierwszego stopnia rozwoju żywota swego. Ale, tu należy położyć zastrzeżenie. W „Beniowskim“ i poniekąd w „Podróży na Wschód“ tu i owdzie zjadliwe uwagi się spotykają o Papieżu, o Rzymie, o Jezuitach. Stąd oskarżenie o antykatolicyzm, o niereligijność Słowackiego. Czytaliśmy nawet bezecny paszkwil jakiegoś Wacława Woysyma Antoniewicza na ten temat. Jakże wytłomaczyć owe rzadkie zresztą bardzo wzmianki?

Trojakie spojrzenie na świat mieszkało w Słowackim. Obok głębokiego mistycyzmu (nastrój głęboko religijny, zatapianie się w rozmyślaniu o Bogu i rzeczach nieziemskich), występującego w pełni

dopiero w drugiej części życia jego i religijności, spotykanej tu już w pierwszym okresie, miał zmysł krytyczny i trzeźwość pozwalającą oceniać ludzi i rzeczy właściwą wartość, dostrzegać marność swarów emigracyjnych¹⁾, widzieć nędzę duchową Polaka współczesnego, sprowadzającego inżynierów z Francji, aby mu zbudowali most do ojczyzny, pragnienie, aby stać się jako inne narody, zapomnienie znaczenia wyrazu „Polska.“ Po trzecie patrzył na świat jako na teatr, tj. nie brał poważnie świata i rzeczy. Ten trojaki pogląd sprzeczny być może sam w sobie, w poecie nie kłócił się, przedstawiał niejako trzy strony pryzmatu (trójkątny graniastosłup ze szkła bezbarwnego przezroczystego), jakoby różne piętra gmachu fantastycznego. Z wyraźną ironią traktuje poczęt, siebie w „Fantazym“, ból swój nawet. Chociaż mi serce pęka, śmiech mnie bierze.“ Autoironia (drwiny autora z siebie) doskonała koronuje sama siebie wieńcem śmiechu i śmieszności. Przed niczem nie zatrzymuje drwin. Z suwerennością (panowaniem bezwzględnem) obchodzi się z życiem i śmiercią, z miłością i nienawiścią. Przenicowanie wartości dobiega kresu. Świat i siebie obraca w zabawkę.

To wyjaśnia dostatecznie znane ustępy Beniowskiego. W latach od powrotu ze Wschodu aż po r. 42 Słowacki jest wierzącym katolikiem, w twórczości jego wiara i ironizm (szydlerczość) mieszają się w osobliwszy aglomerat (zlepek), podobnie jak ironizm płacze się z miłością ojczyzny. Bo i tu głę-

¹⁾ Emigracja oznacza wychodźstwo kilkunastu tysięcy Polaków do Francji po powstaniu z roku 1831.

bia przekonania nie przeszkadza ironicznemu traktowaniu rzeczy.

Rok przełomowy wpływa na Słowackiego przemożnie i pod względem religijnym. „Idea nowa wiary“ głoszona przez Towiańskiego udzieliła się i jemu. Wielkie wewnętrzne wstrząśnięcie wy dobyło z duszy jego uśpione pierwiastki i ułożyło w inny całkiem obraz. Wprawdzie z Towiańskim zerwał wkrótce, ale nie zmienił stanu duszy swojej. Wytworzył cały własny system mesyjanistyczny. Trudno się tutaj rozwodzić obszernie nad nim, tem trudniej, że niektóre utwory nie wykończone dostatecznie, przedstawiają wątpliwości i sprzeczności. Tak już naczelne zdanie w „Genesis z Ducha“ można pojmować panteistycznie (pogląd filozoficzny utożsamiający Boga i wszechświat) lub teistycznie (pogląd filozoficzny, według którego Bóg jest najwyższą i jedyną przyczyną wszechrzeczy). A jeżeli oświadcza się (gdzie indziej) za panteizmem, to powiada zarazem, że należy panteizm oprzeć na Chrystusie.¹⁾ Tak samo Mickiewicz uznawał Kościół, ale czynił podobną różnicę między oficjalnym a duchowym. Może najkrócej ujmijemy w to zdanie idee religijne Słowackiego słowami: Katolicyzm jest jedyną i ostateczną prawdą, ale należy go pojmować głębiej, duchowiej. Tylko, że to głębsze i duchowe rozumienie zawierało sprzeczności z nauką kościelną, np. wędrówkę duchów poprzedzoną przemiennością duchową w rozwoju świata a dopełnioną wszechzba wieniem. Sprzeczności z chrześcijaństwem poeta nie był świadom, przedstawiał sobie niechęć np.

¹⁾ Pisze mi X. Adamski, że w istocie Słowacki nie był panteistą.

OO. Jezuitów i Zmartwychwstańców do „widzącej wiary“¹⁾ jako dyktowaną fałszywem rozumieniem katolicyzmu z ich strony. Osobiście miał się za wierzącego chrześcijanina i katolika, idee swoje za katolickie, dowiódł tego i życiem i śmiercią katolicką; że zaś mylił się mówiąc przedmiotowo, to polegało na braku wykształcenia teologicznego i na tych smutnych stosunkach religijnych i mniemi-aniach z czasów dzieciństwa i młodości otaczających go dokoła, których wpływów nie mógł nigdy przewyciężyć przedewszystkiem dlatego, że nie zdawał sobie sprawy z tego.

„Wiara widząca“ Słowackiego tak się przedstawia: Bóg jeden w trzech osobach, z których druga Słowo-Chrystus wyobraża miłość, trzecia Duch wolę. Na wzór tej Trójcy stworzony, zdaje się, chociaż być może, że pluralnie²⁾ istniejący, a może w osobliwej półpanteistycznej emanacyi³⁾ duch ludzki z swoim słowem i wolą pomyślanemi jako władze, nie jako osoby. Trójca jest zasadniczem prawem świata: wszystko dzieje się za współdziałaniem trzech pierwiastków, np. widzenie zależy od oka, przedmiotu, światła. Duch ludzki istnieje od wieków; przechodząc przez wszelkie przejawy świata anorganicznego i organicznego (formy)⁴⁾, znajduje uwieńczenie w formie ludzkiej. Postęp z jednej formy do drugiej odbywa się przez to, że duch ofiaruje się Bogu na śmierć, i za to otrzymuje obdarzenie wyższą formą w przy-

1) Tak Słowacki nazywał swój system filozoficzny.

2) W liczbie mnogiej, to znaczy odwieczny ale niższy od Boga.

3) U niektórych panteistów świat wypływa (emanuje) z Boga.

4) Świat anorganiczny (nieżywy) — kamienie, organiczny — rośliny i zwierzęta.

szłym żywocie aż do ostatecznej formy człowieka. Celem finalnym (celowym) jest przejście z troistości do jedności. Czy przez to Słowacki rozumiał panteistyczne stopienie z Bogiem, czy Niebo w pojęciu chrześcijańskim, niepodobna rozstrzygnąć. Człowiek dopuścił się grzechu globowego (światowego), chcąc zatamować dalszy postęp ducha. Bo forma ludzka miała wprawdzie pozostać jako antycypacja (uprzedzenie) formy, w której Chrystus na świat zstąpił i w niej odtąd ducha postęp się dokonuje. Ale człowiek za pokuszeniem szatana, ducha odwróconej od Boga natury i przeto nieszczęsnej i nieszczęście siejącej, nie chciał rozwijać się dalej, lecz rozleniwiał i postanowił, jakim był, pozostać. Stąd rozstrój w świecie (pierwiastkiem rozkładu — ogień, gdy postępu — światło) i upadek formy ludzkiej. Chrystus odkupił człowieka przybierając formę rajską i ofiarując się za niego, kiedy dawniej stworzenie ofiarowało się tylko za siebie. Odtąd duch przechodząc przez ciała doskonalili się. Odkupienia dostąpi cała natura, „nawet Judaszowi będzie dane miejsce przy stole.“ Do rozwoju człowiek potrzebuje mocy Chrystusowej Sakramentalnej, udzielanej przez Kościół. Droga ducha dwojaka jest: jedna przez „prywatną dewocję“ (pobożność) zasługuje się Bogu i będzie nagrodzona jako pośledniejsza w miarę zasług; droga przedniejsza, droga królów - duchów, tj. typów przez czyn wielki popychający naprzód narody całe. Czasem typ taki używa środków złych, wtedy jego osobiście czeka kara, ale postęp odbywa się w dalszym ciągu.

Oto w najkrótszym zakresie z nieuwzględnieniem wielu niepewności, wszelkich nie niezbędnie koniecznych rysów metafizyka (filozofia badająca istotę, przyczynę i prawa wszechrzeczy) i religia Słowackiego. Tuż bliska prawdziwego chrześcijaństwa, tak dalece, że odbiegnięcie — nie większe jak np. u Origena ¹⁾ — tłumaczą się nie złą wolą, ale brakiem dostatecznych wiadomości teologicznych.

Z teoryi takiej wypadająca etyka całkiem utożsamiała się z katolicką. Należy podnieść, że w tej mierze Słowacki postępował od r. 42 całkiem po katolicku. Praktyki religijne wykonywał, pracował nad udoskonaleniem moralnem. Wyzbył się dawniejszych namiętności, przedewszystkiem pokora zastąpiła miejsce pragnienia sławy. Miał się za robotnika Pańskiego. Gorzko opłakiwał poprzednie uchybienia, przebaczyć sobie nie mógł, np. że w r. 30 „uciekł przed męką.“²⁾ Niechęć aż nadto umotywowaną do Mickiewicza zamienił na oddanie mu sprawiedliwości.

Mniemam, że bez łaski Boskiej nie mogła odbyć się taka przemiana. I nie wątpię, że wyjednała mu ją „Pani Słowa“, Matka Boska, do której miał przywiązanie szczególniejsze; łączyło się u niego w jedną całość pojęcie Matki Słowa, Dziewicy i Królowej Korony polskiej.

Stąd też twórczość Słowackiego w ostatnich latach życia coraz bardziej staje się służbą Bożą, coraz więcej przesiąka religijnością. Agis prefigurujący ofiarę Chrystusową, ksiązę Michał Twerski,

¹⁾ Pisarz i filozof z pierwszych czasów Kościoła osobiście bardzo pobożny przeszedł meczefistwo, mylił się jednak w swoich dziełach.

²⁾ Podczas powstania Słowacki z niewiadomych powodów wyjechał za granicę.

ofiarujący Bogu hańbę i upadek i ostateczne poniżenie, wreszcie ostatnie wcielenie Króla-Ducha Zawisza,

przez ciernie osty

I przez żywota drogę... męczeńską przechodzi...
 Jako leżąca owca u pasterza — prosty
 Jak łąka... zatopiona długo od powodzi...
 Niewinny.¹⁾

Dusza jego biała przed Bogiem, pogardził majątkiem i szczęściem i miłością i sławą, że po nim oprócz przysłowia smętnego, co długo się słyszy: Polegaj jak na Zawiszy, więcej nic... nic nie zostanie, któremu tylko tyle z ziemi się należy, ile miary z trumny — pięć stóp. Ciało jego drogie sprzedano jak Chrystusa. Przezeń Polska

Święta ty jesteś cała z kości słoniowej wieża
 I napełniona w sercu duchem tego rycerza.

Duch przeolbrzymi — pokorny przed Bogiem
 — Bogu ofiarowany — ojczyznę piastujący w sobie... oto uwieńczenie dzieła Słowackiego.

.

Kiedy się gotował stanąć przed Bogiem, odsunął rękopis Króla-Ducha ze słowami: Wszystko to jest nic...

(„Unitas“).

Ks. K. J. Kantak.

¹⁾ Por. mój artykuł w Dodatku literackim do „Dziennika Poznańskiego:” Postaci z ostatniego okresu twórczości Słowackiego.

HORSZTYŃSKI.

DRAMAT
W PIĘCIU AKTACH
(NIEZUPEŁNY).

OSOBY.

HORSZTYŃSKI, dawny Konfederat.

SALOMEA, jego żona.

ŚWIĘTOSZ, sługa domu Horsztyńskich.

OJCIEC PROKOP, Kapucyn.

HETMAN LITEWSKI KOSSAKOWSKI.

SZCZĘSNY }
MICHAŚ } synowie Hetmana.

AMELIA, jego córka.

KSIŃSKI, szlachcic

KARZEŁ, błazen

SFORKA, stary sługa

MAŁGORZATA, żona Sforki

SŁUGA

HAJDUK

MARYNA, dziewczyna wiejska.

NIEZNAJOMY.

WYRWIK.

SKOWICZ.

GARNOSZ, trombonista.

dworzanie Hetmana.

Rzecz dzieje się na Litwie w roku 1794.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

(W pałacu Hetmana na wsi).

SZCZĘSNY — AMELIA.

SZCZĘSNY.

Piosenki świata zaczynają się od fałszywych akordów — a kończą się gwałtownem zerwaniem strun — stłuczeniem harfy...

AMELIA.

Smutny jesteś... zdziwaczałeś...

SZCZĘSNY.

Nudzę się.

AMELIA.

Szukaj zabaw.

SZCZĘSNY.

O!... nie potrzeba daleko szukać... Ojciec mój sprowadził mi dziesięciu arlekinów rewolucyjnych — otoczył mię płatnymi trefnisiemi... i prawdziwie że nieraz dziecinniejac śmieję się do rozpuku, powiązawszy te wszystkie karciane figury jedną nitką, która pociągnięta nadaje skoczne ruchy i zwroty całej psiarni darmojadów...

AMELIA.

Ojciec nasz nie może pojąć naglej zmiany twojego charakteru i dlatego używa wszelkich sposobów, aby ciebie z nieczynnego życia obudzić, wyrwać i między ludźmi postawić na wysokim szczeblu...

SZCZĘSNY.

Ojciec ma dla mnie wysoki ojcowski szacunek...

AMELIA.

Jak to?...

SZCZĘSNY.

Szacuje mnie, jak Holender rzadkiego tulipana... szanuje mnie jako rzadką osobę, której nie płaci — a która go kochać musi.

AMELIA.

To więc ja powinnałabym droższą jeszcze być dla ojca osobą, bo mnie nie kocha, a ja mu płacę miłością. Zdaje się, że wszelkie uczucia moje zamykają się w miłości dla ojca... Nie prawdaż, Szczęsny, że on dobry i wielki człowiek...

SZCZĘSNY.

Tak... hetman!... wielki, jak hetman...

AMELIA.

Pomyśl, bracie mój, że on podpira spróchniały tron Stanisława Augusta...

SZCZĘSNY.

Tak, on podpira tron Stanisława...

AMELIA.

Jakie ty dziwne echo masz w ustach...

SZCZĘSNY.

Trzy razy tylko powtarza twoje pochwały, a uwielbienie obcych ludzi ani razu.

AMELIA.

Dlaczego?

SZCZĘSNY.

Śmiesznie jest, kiedy syn ojca chwali... A potem, raz pochwaliłem ojca przy ludziach, to mi zaraz zapłacił... tureckim koniem...

AMELIA.

Cóż powiedziałaś ludziom o naszym ojcu?

SZCZĘSNY.

Co?... Oto mówiłem, że lepszy od brata swego, a nam stryja, Biskupa... bo nie włożył fioletowej sukni —

AMELIA.

Stój! stój!... gorzki jesteś — i obrażasz dziewczą i czystą wiarę siostry twojej... Także nieszczeniwy jest biedny starzec, że w sercu syna niema dla niego poważnego uczucia, miłości, sprawiedliwego sądu?... Patrz na te siwe głowy starców, które się przed nim schylają — patrz na oznaki zasług błyszczące na jego piersiach... a potem rzuć okiem na twoją samotność — na nieczynność życia...

SZCZĘSNY.

Jestem niczem...

AMELIA.

Dlaczego nie starasz się zostać użytecznym?...

SZCZĘSNY.

Nie mogę — nie mogę... nie chcę...

AMELIA.

Ty masz jakąś tajemnicę... może miłość...

SZCZĘSNY.

Może miłość.

AMELIA.

Wyznaj mi wszystko, bracie miły... Ach! jak musi być szczęśliwa ta dziewczica, którą ty kochasz... Ty nie odpowiesz jej nigdy z gorzką ironią... ty musisz być przy niej wzniosły i piękny. Ja znam duszę twoją, znam ją aż do najgłębszych uczuć i tajemnic... Gdybym nie była twoją siostrą, to musiałabym zostać twoją narzeczoną... albo... mniszką.

SZCZĘSNY.

Co ty mówisz?... Jestem taki roztargniony, że nie słyszałem ani słowa... Już późno... powoje błękitne w twoim wieńcu otwierają się na księżyc... Idź, siostró, i czytaj biblię, moja świętoszko...

AMELIA.

Dobrej nocy!... zawołaj małego Michasia braciszka, muszę go rozebrać — i zmówić z nim pacierz. Czy ty mnie nie pocałujesz za to, że twojego braciszka uczę modlić się za ciebie?...

SZCZĘSNY.

Dobrze robisz, że przez usta dziecka posyłasz modlitwy do nieba. Błogosławieni maluczcy...

AMELIA.

Czy mnie nie pocałujesz, bracie?...

SZCZĘSNY.

Nie.

AMELIA.

Dobrej nocy!

(Odechodzi smutna).

SZCZĘSNY.

Jak oświecone prawe skrzydło pałacu! Ojciec ucztuje w gronie pochlebników — i płaci za śmiech i żarty, bo żarty i śmiech stały się prawdziwie rzadkim towarem w Polsce... O smutek! smutek! Czasem jakaś błyskawica myśli pokazuje mi nicość wszystkiego, a nawet nicość samej myśli, marzącej o nicości... Czasem zdaje mi się, że świat wart małpiarskich przymileń się twarzy...

MICHAŚ (wpada).

Cha! cha! cha! braciszku!...

SZCZĘSNY.

Z czego się śmiejesz, chłopcze?...

MICHAŚ.

Przez dziurkę od klucza patrzałem do jadalnej sali... Tata nasz z piórem brylantowem, piękny jak w książce obrazek Pana Boga...

SZCZĘSNY.

Gdzie twoja piastunka?

MICHAŚ.

W kuchni; a ja wolny jak ptaszek.

SZCZĘSNY.

Amelka czeka na ciebie — idź, zmów pacierz.

MICHAŚ.

Ale posłuchaj no, braciszku, co ja widziałem. Papa nasz nalał wielką dudkę szklaną — i zawołał: Zdrowie naszej Kasi!... Otóż kiedy zawołał: Zdrowie naszej Kasi, wszyscy wstali, jak świece — a jeden staruszek, biały jak gołąb, siedział na końcu stoła i nie wstał. Nasz tata zamalował go w papę... paf!... i staruszek wywrócił się, jak moja drewniana lalka...

SZCZĘSNY.

Okropność! okropność!...

(Chce wybiedz z sali).

Michasiu! gdyby twoja mama żyła, płakałaby nad tobą!

MICHAŚ.

Za co?

SZCZĘSNY.

Idź mi zaraz, chłopcze, do siostry! To, co widziałeś przez dziurkę od klucza, był to obrazek taki, jak ten...

MICHAŚ.

A dlaczego ludzie się ruszali?

SZCZĘSNY.

Ja ci powiadam, że tata śpi — a to był obrazek... Idź i nie mów nic Amelce, bo się będzie śmiać z ciebie, że ty się śmiesz z obrazka. Pocałuj Amelkę w czoło.

(Wtrąca go do pokoju Amelii).

Ach te ściany, — to prawdziwa Sodomia! Starca, że nie pił zdrowia północnej nierządniczy, uderzyć w policzek? A gdybym ja ojca napiętnował znakiem?... Cicho... Trzeba jednak tego starca ratować...

KSIŃSKI (wchodzi).

Ojciec twój każe, abyś przyszedł na ucztę...

SZCZĘSNY.

A ten starzec? co się stało ze starcem?! Ksiński, idź, powiedz zhańbionemu, niech tu przyjdzie — ja mu dam karabelę... i zemstę!

KSIŃSKI.

Nad ojcem?

SZCZĘSNY.

Syn za ojca stanie. Powiedz mu: że zrobię się starym, jak on — że będę miał drżącą rękę jak starzec... że... idź, powiedz mu, jeżeli ma dzieci, niech się o dzieci nie lęka.

KSIŃSKI.

Daj mi rękę...

SZCZĘSNY.

Czy ty myślisz, że gram komedye?

KSIŃSKI.

Nie! bądź spokojnym o tego starca. Skoro twój ojciec uderzył go w policzek, zwałił się pod stół — a potem nagle skoczył na nogi i zaczerwieniony —

SZCZĘSNY.

Co?... zarąbał... mego...

KSIŃSKI.

Nie! nie!... uklonił się nisko — i rzekł: Dziękuję Jaśnie Oświeconemu Panu memu Hetmanowi, że mnie przebudził, bom był zasnął...

SZCZĘSNY.

Ha!... tak powiedział?!... czy śmiali się?...

KSIŃSKI.

Śmiali się, jak waryaty...

SZCZĘSNY.

A ty?

KSIŃSKI.

Pomyślałem sobie, że czytał Ewangelię... i śpiącemu śniło się, że był świętym Piotrem...

SZCZĘSNY.

Wróć na ucztę... i pij za mnie i za siebie...

.....
(Tu braknie w rękopiśmie karty).
.....

KARZEŁ.

...wyskoczy ci na połach munduru Adama krzyż albo klucz szambelański. Uręczam, że zezwoliłbyś na zieloną kurację...

KSIŃSKI.

Błaźnie, obiję!

KARZEŁ.

Bij — ale słuchaj! Będziesz, panie Ksiński, posłem z Medyolanu?...

KSIŃSKI.

Ale mię Sforka pozna...

KARZEŁ.

Ugalonujemy ciebie, jak zebkę, Panie Ksiński. Zje dyabła, nim odkryje, że zebra jest Ksiński... On ciebie zawsze widział bez galonów i brał za Chrystusowego konia...

KSIŃSKI.

Wysmagam, psie!...

KARZEŁ.

Będę wysmugłym... a ty, Panie Ksiński, będziesz posłem z Medyolanu. Tylko jeżeli ciebie zaprosi pan

Sforka na obiad, to nie jedz nic prócz sałaty — bo pan Sforka przekonany, że Włochy żyją liśćmi...

KSIAŃSKI.

Powiedz mi, karle, coś odkrył w postępowaniu pana Szczęsnego; a może pohandlujemy z tobą słowem dobrze...

KARZEŁ.

Odkryłem, że pan Szczęsny kocha się.

KSIAŃSKI.

W kim?

KARZEŁ.

Wróciwszy tu z Warszawy, pan Szczęsny przepędzał dnie całe w łódce na stawie, wywrócony twarzą do nieba. Otóż razu jednego na staw nasz przyleciało parę białych łabędzi. Pan Sforka zagrabił je, jako należące do pana Horsztyńskiego z pobliskiej wioski, z którym pan Hetman ma jakieś zatargi. Pani Horsztyńska przyjechała sama nad staw nasz kolaską — i pan Szczęsny oddał na prośbę jej białe ptaszki. Ale tak długo rozmawiali o łabędziach, że... etc. etc. etc.

KSIAŃSKI.

Któż jest ten pan Horsztyński?

KARZEŁ.

Stary Konfederat barski. Wpadł niegdyś w ręce Drewicza, i Moskale zaprowadzili go do kościoła — położyli krzyżem na wznak i gromnicami zapalonymi kapali na oczy. Dziś nie potrzebuje okularów.

KSIAŃSKI.

I pan Szczęsny przyprowadził mu to, czego w zwierciadle mężom nawet ślepym widzieć nie można... Jakże? ten stary ma młodą żonę? bo młoda być musi...

KARZEŁ.

Była to biedna dziewczyna, wychowana w klasztorze. Matka jej zwaryowała i znaleziono ją utopioną

w rowie błotnistym. Doktor przepowiedział, że młoda panna Salomea wzięła dziedziczne usposobienie do melancholii, i dlatego panienka mająca za posag ekspektatywę waryacyi, nie mogła się spodziewać męża młodego — ani bogatego. Pan Horsztyński, ani młody ani bogaty, ofiarował jej swoją rękę... i dziś... żałuje może dawno pierścionka więcej, niż wykpanych gromnicami oczu. Ale sędzę, że starzec nie wie o niczem, bo pan Szczęsny zgrabny chłopak w takich rzeczach.

KSIŃSKI.

Powiedzże mi, moja beczułka śledzi holenderskich, co to ma obchodzić pana Hetmana, że pan Hetmanowicz zbałamucił żonę ślepego człowieka?...

KARZEŁ.

Panie Ksiński, zgódź się naprzód na to, że ja mam więcej rozumu od ciebie.

KSIŃSKI.

Rzecz nie dowiedziona!

KARZEŁ.

Wszakże nie jesteś zupełnie, Panie Ksiński, pozbawiony zdrowego rozsądku. Mów zatem, że szukasz rozumu, gdziekolwiek bądź sądzisz, że się znajduje.

KSIŃSKI.

Z czego to wnosisz?

KARZEŁ.

Kiedy wczoraj dano kurczęta, uważałem, że z wielką rozwagą wyjadałeś mózdzki w głowach kurczących...

KSIŃSKI.

Dalibóg, że ten błazen kpi ze mnie...

KARZEŁ.

Panie Ksiński, jak można tak posądzać? a, wstydz się!

KSIŃSKI.

Pamiętaj, że ze mną niebezpiecznie...

KARZEŁ.

Boję się ciebie, bo jak się wyciągniesz, to podobny jesteś do pamfila.

KSIŃSKI.

A ty krótki! ty niżniku — ty kulko!...

(Wybiega za uciekającym karłem).

SCENA II.

(Skromny pokój szlachecki w domu Horsztyńskiego).

KSIĄDZ KAPUCYN i HORSZTYŃSKI.

HORSZTYŃSKI.

To powiadasz, że moja szkółka owocowa dobrze podrosła?

KSIĄDZ.

Renety i bery szare już kwitną.

HORSZTYŃSKI.

Jesienią, mości księżu, będziemy z sobą dzielić czerwone jabłuszka.

KSIĄDZ.

Jeśli Bóg da doczekać.

HORSZTYŃSKI.

Tak, jeśli Bóg da doczekać! Czy nie widziałeś gdzie Salusi?

KSIĄDZ.

Żona twoja chodzi sama po lipowej alei.

HORSZTYŃSKI.

Księżu, straciłem oczy i widzieć nie mogę jej anielskiej twarzy. Czy ona zawsze tak piękna, jak była?

KSIĄDZ.

Zdaje mi się, że zawsze piękna.

HORSZTYŃSKI.

Ale nie tak wesoła, jak niegdyś...

KSIĄDZ.

Dosyć zawsze wesoła. — Czy chcesz, panie Horsztyński, to ci przeczytam jaki rozdział z Pamiętników Janczara.

HORSZTYŃSKI.

Dziękuję księże... już późno. Słuchaj, zdaje mi się, że żona moja nie tak wesoła jak dawniej...

(Chwila długa milczenia).

KSIĄDZ.

Mówią, że wielka jest niespokojność między wileńskim ludem. Coś nowego gotuje się w garnku.

HORSZTYŃSKI.

Nie mów mi o tem, księże —

KSIĄDZ.

A gdyby też Wilno powstało...

HORSZTYŃSKI.

To mu gromnicami wykapią oczy.

KSIĄDZ.

Może się uda...

HORSZTYŃSKI.

Księże, nie masz nadziei, że będziemy jedli czerwone renety z mojej szkółki — a spodziewasz się owoców na spróchniałem drzewie!... Słyszysz, ktoś nadjeżdża konno...

KSIĄDZ.

Młody hrabia.

HORSZTYŃSKI.

Dobrze, pogawędzimy sobie.

KSIĄDZ.

Lubisz tego młodzieńca?

HORSZTYŃSKI.

Głos jego przypomina mi... Potem ci powiem, księżu, dlaczego lubię dźwięk głosu Szczęsnego... Jutro będę się komunikował.

KSIĄDZ.

Ten młodzieniec jest wielkim, ale niedokończonym tworem Opatrzności...

SZCZĘSNY (wchodząc).

Witam cię, panie Horsztyński! Jak się miewasz, Ojcie Prokopie?

HORSZTYŃSKI.

Siadaj, mój sowizdrzale! Cóż? nic nie przynosisz nowego?

SZCZĘSNY.

Nic.

HORSZTYŃSKI.

Powiedz mi, jakże tak żyć na świecie, nie wiedząc o niczem?

SZCZĘSNY.

Tak, jak gdybym spytał ciebie, panie Horsztyński, jak ty żyjesz, nie patrząc na nic?

KSIĄDZ.

Modzieńcze! źle że przypominasz kalectwo...

SZCZĘSNY.

Przez zazdrość — przez zazdrość...

HORSZTYŃSKI.

Widzisz, księżu, że mi ktoś jeszcze na świecie zazdrości.

SZCZĘSNY.

Ten, komu wypalono gromnicami wielkości oczy rozumu — oczy nadziei... który w krainie myśli błądzi jak ślepy... Ty musisz mieć piękne, słońcem oświecone wspomnienia, panie Horsztyński...

HORSZTYŃSKI.

Tak, mam miłe wspomnienie... Raz koło Baru, na wielkiem polu, przychodziło do walki z Drewiczem. Piękny był ranek — tak cicho. Skowronki tylko śpiewały — na prawo był laszek brzozowy — za nami...

(Wchodzi SALOMEA i staje cicho — SZCZĘSNY słucha starca i oczy ma zakryte dłonią).

HORSZTYŃSKI (mówi dalej).

Mości panie, było miasteczko z blaszanemi wieżami. Dowodziłem całą jazdą... Marsz, marsz!... Pomyślałem sobie, co teraz robi moja żona?... Spojrzałem na zegarek, bo jeszcze miałem oczy, na zegarku była piąta godzina... Ha! żona moja śpi, spokojna jak dziecko, ani wie, że tu jej stary mąż, jak młody chłopiec, z rozwianymi włosami, z dobytym pałaszem krzyczy: marsz! marsz!... Myślałem, że zgine, a żona moja będzie spała spokojnie w godzinę śmierci mojej... Było mi smutnie i miło... Ha! jeszcze mi wtenczas przyszło do głowy jakieś dziwne zachcenie; chciałem być mieć przy sobie białego gołębia z mojej wioski. Nie, nie! to po wygranej bójce, kiedy odpoczywałem w lasku brzozowym, przyszło mi takie zachcenie, żeby to wysłać gołąbka z listkiem, ołówkiem napisać — buzi, moja Sally!... Mości panie, zbiliśmy wtenczas dwa kara bataliony na miazgę...

SZCZĘSNY.

Muszę ciebie pożegnać, panie Horsztyński. Przypomniałem sobie, że mnie w domu czekają dwa bataliony przyjaciół z szampanem.

(Wstaje i spotyka się z Salomeą).

Ha! Pani...

HORSZTYŃSKI.

Co? żona moja słyszała?... Jak ty cicho weszłaś, moja Salusiu... będziesz się śmiała z męża gaduły, co chciał wysłać gołąbka...

KSIĄDZ.

Jak ona zbladła.

SALOMEA.

Nigdy mi o tem nie opowiedziałeś, mój mężu.

HORSZTYŃSKI.

A kiedy, a kiedy... Słuchajcie mnie, bo i to wspomnienie nie może zawsze leżeć w sercu mojem... Kiedy mię wzięto w niewolę... wieczorem, wieczorem to było... dwóch Moskalów prowadziło mię do kaplicy — pamiętam... cmentarz cały ocieniony lipami... na cmentarzu — okropnie!... dwudziestu moich żołnierzy zakopanych w mogiłach po szyję. Moskale kosili głowy... skoszone głowy toczyły się czasem pod moje nogi... Jedna spojrzała na mnie, przysięgam wam, że spojrzała na mnie!... A pod wielką lipą ujrzałem jakiegoś białego człowieka... nagi — stary. — Na piersiach miał wycięte mieczem wyłogi — w ciele wycięte wyłogi ułańskiego munduru. Spojrzał na mnie i rzekł: Żegnaj mi, panie Horsztyński. Nic mu nie odpowiedziałem. Bóg mię skarze w godzinę śmierci mojej za to, że nic nie odpowiedziałem temu człowiekowi w godzinę męki... Ale bo też ja nie mogłem rozplakać się jak dziecko. — Był to Grzegorz, stary rybak z poblizkiej wioski. Musiałeś go znać, panie Szczęsny? to twój chłop...

SZCZĘSNY.

Rybak... Grzegorz...

KSIĄDZ.

Co tobie, młodzieńcze?...

HORSZTYŃSKI.

Bądź tam dobry dla jego dzieci!... jeżeli ma dzieci.

SZCZĘSNY.

Rybak... Grzegorz...

HORSZTYŃSKI.

Wszak musisz wiedzieć, jego chata naprzeciw pałacu, na drugim brzegu Wilii; musisz wiedzieć... czy on ma dzieci?...



Podwórze uniwersyteckie w Wilnie
z kościołem Akademickim.

SZCZĘSNY.

Ma... córkę.

HORSZTYŃSKI.

Czy hoża dziewczyna?... wydaj ją za mąż, dam ze sto złotych na krówkę.

SZCZĘSNY.

Powiedz mi, panie Horsztyński — jakiego uczucia doznawałeś, kiedy ci gromnicami oczy wysmalano?

HORSZTYŃSKI.

Z razu ból wielki — potem niby klucie szpilek. A kiedy zdzierano z rzęsami skorupę zastygłego wosku, aby... Czy żona moja jest w pokoju?...

KSIĄDZ.

Niech kobieta wycierpi słuchem, co inni wycierpieli ciałem! Mów, panie Horsztyński...

HORSZTYŃSKI.

Wy, księża, zawsze chcecie, aby ludzie cierpieli dla niczego; dosyć, niech umieją cierpieć, kiedy potrzeba... Sally! dalibóg myślałem wtenczas o tobie... myślałem, że już nigdy nie zobaczę ciebie oczyma — że głos twój będzie jak śpiew niedojrzanego w niebie skowronka...

SALOMEA.

O anieli niebiescy! czemużście wy nie bronili?...

HORSZTYŃSKI.

Czy ty myślisz, Salusiu, że ten świat podobny do moskiewskiego obrazu w cerkwi, gdzie Abraham ze strzelby mierzy do syna Izaaka, a zaś anioł z Nieba leje dzbankiem wody na panewkę, aby nie spaliło?...

SZCZĘSNY.

Bóg się nie miesza do wypadków światowych. — Słuchajcie, kiedy byłem paziem króla Stanisława, raz zrobiłem okropny występki... Oto na Bielanach w ptaszarni księżnej Sapieżyny zacząłem rąbać pa-

wie i papugi — podchmieleliłem był sobie solennie!... Dalibóg, żaden anioł z palmą nie stanął w obronie biednych ptaszków! Okropna była rzeź. — Nazajutrz sławny byłem w Warszawie, jak ksiązę Józef... Cha! cha! cha! nie śmiecie się państwo... Chciałem wam pokazać, że wielki człowiek... Wszak, księże, miałeś o mnie wielkie i zarozumiałe wyobrażenie... Chciałem, żebyś dziś uwierzył, że ja jestem, czem jestem... Jakiś Francuz w napisanej podróży o Polsce czyn mój umieścił... będę żyć na wieki wieków... cha! cha! nie prawdaż?... Dodajcie jeszcze, że miałem taki faeton jak ksiązę Józef Poniatowski, i Francuz umieścił opis faetonu w swojej podróży...

SALOMEA.

Pan żartuje z nas smutnie...

SZCZĘSNY.

Na Boga! to wszystko prawda!... Przyniosę pani książkę, będziesz łaskawa przeczytać mężowi kart kilka o moich dziełach.

SALOMEA.

Pan Hrabia był dzieckiem.

SZCZĘSNY.

Byłem rozumniejszy od wielu starych. Sława to piękna rzecz; warto na nią pracować... Czyny ludzi dają blask krajowi.

HORSZTYŃSKI.

Młodzieńcze, rozumiem ciebie... Dajesz mi wieńiec laurowy na moje siwe włosy.

SZCZĘSNY.

Ja? ja? ja?... Powiem ci szczerze, że gdybym nie był mną, chciałbym być tobą, panie Horsztyński. Ludzie tak dziwnie stworzeni są od Boga, że zawsze przywiązują się do tego słowa ja... oprócz kobiet, które przywiązują się czasem do słowa mój... Ale źle robią — źle robią...

KSIĄDZ.

Salomeo! idź przygotuj dla męża szarą polewkę.

SALOMEA.

Zaraz... O! nie teraz...

SZCZĘSNY.

Kobiety biorą nas za aniołów, a potem musimy z największem wysileniem grać komedję, aby się utrzymać na jednej nodze na wysokiej kolumnie, na której nas postawiły. Każde słowo rzucamy z bojaźnią, aż nareszcie znudzeni rzucamy się z kolumny w błoto... Od razu trzeba zakończyć z miłością własną... i być sobą... niczem...

HORSZTYŃSKI.

Do czego zmierzasz ironią taką?...

SZCZĘSNY.

Nie! zamiast kobiety, położę słowo księdza. Mości Prokopie, wiele nocy nie spałem myśląc o tem, coś mi powiedział; a powiedziałaś: widzę w tobie wielkiego człowieka. Zrazu postanowiłem dążyć ciągle do tej wielkości, nareszcie znudziło mnie napięcie niezgrabne przyrodzonych władz — przerabianie ciągle nicości na wielkość olbrzyma. Na Boga, powiedz mi, że zmieniłeś swoje zdanie, bo chcę spać spokojnie... Znudzony jestem, starając się myśleć tak, jak ludzie sądzą, że ja myślę... Dusi mnie maska, którą mi na twarz włożono... Ludzie krępują nas nitkami pochwał, i człowiek mija się z drogą swego przeznaczenia, nie śmiejąc rozerwać słabych węzłów. Pan Horsztyński opowiadał o wielkich cierpieniach; słuchałem wtenczas uderzeń mego serca... i na Boga! — co uczułem w sercu, powiedzieć nie mogę... Coś okropnego urodziło się we wnętrzościach mojej myśli... jakaś szalona duma...

HORSZTYŃSKI.

Obróć ją ku dobremu celowi!

SZCZĘSNY.

Trzeba mieć charakter, panie Horsztyński... Trzeba się naprzód nauczyć ludziom nie zazdrościć, a ja czasem zazdroszczę pastuchowi, co grzeje swoje ręce przy ognisku rozpalonem w głębi lasu. A czasem zazdroszczę królowi Stanisławowi, że w teatralnym ubiorze siedzi na tronie izby poselskiej. Pokażcie mi jaki cel, coby zaspokoił te dwie dziwne zazdrości!... Trzeba być aktorem krotochwili i tragedyi.

SALOMEA.

Pan dziś jesteś, jak moja biedna harfa. Muzyk z Wilna nie przyjechał i nie naciągnął strun... Chciałam grać wesołą piosenkę mężowi, a z rozstrojonej harfy wychodziły tak dzikie tony, że nie mogłam dokończyć.

SZCZĘSNY.

I rozplakałaś się może pani, że harfa tak dziko grała...

HORSZTYŃSKI.

Widzisz, jak pan Szczesny zna ciebie, Sally...

SZCZĘSNY.

Biada kobietom, które słuchają nadto długo szumu płaczącej brzozy, albo śpiewu słowika!... Czasy nasze mają dziwne lekarstwo na chorobę smutku, poezję.

SALOMEA.

Chciałabym znać naszych słowików...

SZCZĘSNY.

Zimna woda — letnia woda... rymowana!... Przyniosę pani bajki Krasickiego i strofę:

„Święta miłości kochanej ojczyzny,

Czują cię tylko...“

Panie Horsztyński, zapomniałem, że ty nie umiesz smakować w poezyi, nie umiesz czuć wdzięku...

HORSZTYŃSKI.

Lubię hymn: Święty Boże — Święty mocny!...

SZCZĘSNY.

Nie ma rymów, nie ma rymów! — Ja wolę słuchać rymowanego galopu mego konia, niż poezyi bez rymów!... Żegnaj mi, sąsiedzie!

SALOMEA.

Pan siostrze zawiezie bukiet naszych kwiatów.

SZCZĘSNY.

Moja siostra lubi tylko belles-de-nuit, dlatego że się po francusku nazywają.

SALOMEA (zdejmuje z warkocza jedną).

Więc niech jej pan ten kwiatek zawiezie — chciałabym kiedy widzieć moją klasztorną przyjaciółkę...

SZCZĘSNY.

Bardzo zatrudniona! wyszywa na kanwie historię mego ojca czerwonym jedwabiem i uczy pacierza mego maleńkiego braciszka... Dobrej nocy!

(Odchodzi).

HORSZTYŃSKI.

Księżu, co mówisz o tym młodzieńcu?

KSIĄDZ.

Widzę, że w jego sercu jest jakaś okropna walka.

HORSZTYŃSKI.

Sądzisz, że ojciec nakłania go do jakiego przestępku przeciw sumienia i dobrej sławy?

KSIĄDZ.

Słyszałem, że Hetman zbiera silną partyę; dom jego pełny płatnej namówionej zgrai...

HORSZTYŃSKI.

Czas, księżu, użyć tych papierów.

KSIĄDZ.

Jutro... Sam pojedę do Wilna...

HORSZTYŃSKI.

Salomeo, odprowadź mnie do mego pokoju.

SALOMEA.

Księżu, oto jest twoja latarnia, zapalona... Chodź mężu! — Dobrej nocy, ojcze!

(Odchodzi z Horsztyńskim).

KSIĄDZ.

Ta kobieta zgubiona...

(Wychodzi).

SCENA III.

(Sala w domu Hetmana).

(Wchodzi HETMAN i KSIŃSKI).

HETMAN.

Więc to pewnem jest, co mi Acan powiadasz o moim synie?

KSIŃSKI.

Niestety...

HETMAN.

Czy przypadkiem Waszmość nie jesteś żonaty?

KSIŃSKI.

Nie, jaśnie wielmożny panie.

HETMAN.

Ha, bo widzi mi się, że bardzo ubolewasz nad losem małżonka. Nie zapomnę o tobie, Mości Ksiński. — Zawołaj mi mego karła albo Sforę. Muszę niektóre z nimi załatwić interesa...

KSIŃSKI.

Nie mogę ja usłużyć Hrabiemu?

HETMAN.

A to właśnie każe Acanu zawołać moich ludzi.

(KSIŃSKI wychodzi).

HETMAN (sam).

Ha, panie Horsztyński! jeszcze jedna broń przeciwko tobie! Gdzie twoje stare serce, panie Horsztyński? nauczę ciebie cierpieć —

(Wchodzi SFORKA).

Pójdź tu, Sforka... Posłałeś ludzi do miasta?

SFORKA.

Szpiegują, jaśnie wielmożny panie.

HETMAN.

Trzeba zająć szewców i krawców wileńskich. Sprowadź tu ze dwieście tych pijaków i każ im szyć w zamku liberyę nową dla ludzi.

SFORKA.

Jutro pošlę pięć ławek zaprzężonych po tę hołotę.

HETMAN.

Wybierać najśmielszych — i najburzliwszych!

SFORKA.

Prochy sprowadzone.

HETMAN.

Wiele?

SFORKA.

Dziesięć beczek i dwa jaszczyki ruskie.

HETMAN.

Gdzie je złożono?

SFORKA.

Na tej wieży.

HETMAN.

Kto mustruje moją legię?

SFORKA.

Pan Horda.

HETMAN.

Nakaż mu, niech zawsze zamyka bramy w tylnym dziedzińcu, gdzie się odbywa mustra. Nikt teraz nie

zaziera do tego dziedzińca? — czy dobrze pilnujesz Acan?

SFORKA.

Od czasu, jak jaśnie wielmożny Hetman zastrze-
lił tego kuchtę, co przez ciekawość wysunął głowę
z bocznej strzelnicy...

HETMAN.

Myślałem, że to był kot.

SFORKA.

Prawda, jaśnie wielmożny panie! w kociej cho-
dził czapce nieboszczyk kuchta... Otóż ja znów wró-
cę do dawnej piosenki: życzyłbym panu Hrabiemu wy-
karczować las koniecznie... i zbudować osadę braci
morawskich — poczciwi ludzie!... sto chat przyniesie
czynszu na rok dwadzieścia tysięcy złotych polskich...
Drzewa handlowego...

HETMAN.

Potem, potem o tem!... Czy nie widzisz, panie
Sforka, że ja coś mam ważniejszego w głowie?

SFORKA.

Polityka, jaśnie wielmożny panie!... znam się
i ja cokolwiek na polityźmie. Życzyłbym panu Hra-
biemu...

HETMAN.

Dobrej nocy... co?

SFORKA.

Nie! jest ważna rzecz w zamku, która może obra-
zić Najjaśniejszą panią Carową, jeżeli się dowie.

HETMAN.

Co takiego w zamku moim?

SFORKA.

Oto jaśnie wielmożny pan wie, że na tej wieży
jest zegar tak mechanicznie ukształcony, że po ude-
rzeniu godziny dwunastej w południe lub w nocy wy-

skakuje Pogoń litewska i pałaszem rąbie orła rosyjskiego. To może właśnie obrazić Najjaśniejszą Panią.

HETMAN.

Cha! cha! cha!... stary polityku! — Dziękuję ci bardzo, że tak ułatwiasz mi drogę wielkości... Prawdziwie, że rozsądny jesteś i przezorny.

SFORKA.

To ja każę, najjaśniejszy panie, zegar wygrzebać z muru.

HETMAN.

Ani się waż, głupcze! Ten zegar bawił mnie, kiedy byłem dzieckiem. Pilnuj kur, mości Sforka. I ty, stary, bawiłeś mnie, kiedy byłem dzieckiem — dlatego siedzisz w murze pod zegarem.

SFORKA.

To już, kiedy pan Hetman łaskawie mię traktuje, muszę mu udzielić jednej wiadomości. Oto spada na mnie fortunka.

HETMAN.

Skąd... po jakim siwoszu?

SFORKA.

Jak z nieba.

HETMAN.

Winszuję... idź spać!

SFORKA.

Czy jaśnie wielmożny pan zastanowił się kiedy nad mojem nazwiskiem, jak mówi jeden uczony mój przyjaciel — estymologicznie?...

HETMAN.

Estymuję...

SFORKA.

Jaśnie wielmożny pan słucha tak łaskawie, że mi się usta zamknąć nie mogą... Oto nazwisko moje pochodzi...

HETMAN.

Od — od?...

SFORKA.

Od Sforecyi...

HETMAN.

Głupi siwoszu! Ojciec twój czy dziad był psiarzem w domu mojego ojca czy dziada, i psy wiązał na sfory, i od tego nazwano ciebie Sforką. — Idź, bo mię już nudzisz. Niech teraz karzeł przyjdzie do mego sypialnego pokoju odmówić ze mną litanie.

SFORKA.

Natychmiast, jaśnie wielmożny panie!

(Odchodzi).

HETMAN.

Za kilka dni wszystko się rozwiąże. Bogdaj tylko syn mój chciał stanąć na czele!... Za kilka dni wszystko się rozwiąże... Dlaczego te psy tak wyją smutnie na moim dworcu?... Te psy wypędzą mię do mojego pałacu w Wilnie... Czyny wielkie zawsze są ponure barwą i smutne nastrecają myśli...

(KARZEŁ wchodzi).

Chodź, karle!...

KARZEŁ.

Czy śmieszyć pana, czy cicho siedzieć i w pięty skrobać?

HETMAN.

Chodź mówić litanie.

(Odchodzi).

SCENA IV.

(Noc. Ogród nad Willą. Na górze widać biały wielki pałac, na drugiej stronie Wilii chatę rybacką).

SZCZĘSNY (sam).

Patrząc na te gwiazdy, dusza moja wyrывa się do nieba. Gdyby rozszerzenie i wzniosłość myśli, jaka

przelatuje błyskawicami przez moją duszę, były naturalnym stanem człowieka i nie znikają ze słońcem: człowiek ten byłby wielkim bohaterem, a przynajmniej byłby szczęśliwy uczuciem wewnętrznem wielkości i dumy!...

GŁOS DALEKI.

O! ho!...

SZCZĘSNY (świszcze).

To on... Nie spóźnił się o kwadrans!...

(Przypływa łódka — nieznajomy człowiek w szerokim płaszczu wysiada na brzeg).

NIEZNAJOMY.

Czekałeś na mnie?

SZCZĘSNY.

Krótko.

NIEZNAJOMY.

Namyśliłeś się?

SZCZĘSNY.

Głęboko — i płasko...

NIEZNAJOMY.

Czy możemy liczyć na ciebie?

SZCZĘSNY.

Nie.

NIEZNAJOMY.

Ale ja ci zaręczam, że nasza sprawa pewna.

SZCZĘSNY.

Więc ja wam niepotrzebny.

NIEZNAJOMY.

Niepotrzebni są przeciwko nam!...

SZCZĘSNY.

Niepotrzebni jednak muszą żyć, bo nie wiedzą, jak być na świecie, a nie zajmować dwóch stóp ziemi. Człowiek, póki żyje, dwie tylko; jak umrze, sześć stóp potrzebuje miejsca... Pokaż mi jakie Eldorado dla

niepotrzebnych ludzi, a będę ci bardzo wdzięczny. Wystaram się o obywatelstwo w kraju niepotrzebnych...

NIEZNAJOMY.

Nie wiem, co mam o tobie myśleć, panie kolego.

SZCZĘSNY.

Myśl o mnie tak, jak ja o sobie myślę... Raz zdaje mi się, że jestem zanadto wielki, abym mógł skonać na bruku między bijącą się zgrają — i przeciąć niewiadomą śmiercią życie przeznaczone do wielkich czynów. Drugi raz zdaje mi się, że jestem tak mały — tak, mały, że niema czem nabić harmaty...

NIEZNAJOMY.

Poświęć się wielkiej sprawie, a urośniesz z wypadkami...

SZCZĘSNY.

Otóż tu nieszczęście, że wypadki wydają mi się raz tak wielkie, że nie śmiem stanąć przy posagu olbrzyma, bojąc się, aby mnie ludzie nie wzięli za karła; drugi raz wypadki wasze zdają mi się tak małe, że boję się rozgnieść ludzi, chodząc nieuważnie.

NIEZNAJOMY.

Bądź zdrow! — Szkoda mi ciebie.

SZCZĘSNY.

Gdybym co zaczął, skończyłbym... To bieda, że nic zacząć nie mogę. Gdybym był Rzymianinem, zacząłbym od okropnej rzeczy... Wczoraj śniło mi się o niej, a oczy miałem otwarte...

NIEZNAJOMY.

Masz teraz twarz zabójcy!

SZCZĘSNY.

Okropniejszą! Znów mi się śni... Bądź zdrow! bądź zdrow!... Mam tutaj rendez-vous miłosne...

NIEZNAJOMY.

Żal mi ciebie, Szczęsny!

SZCZĘSNY.

Nie żałuj! nie żałuj! ja używam życia...

NIEZNAJOMY.

Więc nie chcesz być z nami?

SZCZĘSNY.

Nie chcę... nie mogę...

NIEZNAJOMY.

Koledzy moi osądzą ciebie tchórzem...

SZCZĘSNY.

Będzie to bardzo zasmucać mego ojca...

NIEZNAJOMY.

Sądzę, że jeszcze się zobaczymy razem... Masz czas do jutra... Bądź zdrow!

(Odchodzi).

SZCZĘSNY.

To jest przecie — to się nazwać może postanowieniem... Odrzucam dziś od siebie mary. — Ty kwiatku błękitny, zwiędły we włosach Sally, rzucam ciebie także na fale — to się nazywa także postanowieniem. Jak się te rybki pluszczą wesoło na błękitnie rzeki!...

(Woła:)

Maryno!

(Słychać głos).

Płynę.

SZCZĘSNY.

Jak Nereida.

AKT DRUGI.

SCENA I.

(Pokój w domu Horsztyńskiego).

HORSZTYŃSKI i stary sługa ŚWIĘTOSZ.

HORSZTYŃSKI.

Gdzie moja żona?

ŚWIĘTOSZ.

Pani wyszła o wschodzie słońca do celi księdza Prokopa — zapewne komunikować się.

HORSZTYŃSKI.

Świętoszu, nabij moją dubeltówkę!...

ŚWIĘTOSZ.

Pan dawniej lubił z ptaszynki strzelać...

HORSZTYŃSKI.

Jakże ty chcesz, mój stary, żebym ja strzelał teraz ślepy? Dubeltówka nie na ptaszki!... nabij ją kulami...

ŚWIĘTOSZ.

Cóż pan zamyśla?

HORSZTYŃSKI.

Pan Hetman ma przyjechać do mnie w odwiedziny...

ŚWIĘTOSZ.

Co? Jaśnie wielmożny Hetman w naszym domu? A weźże pan przecie pas złoty...

HORSZTYŃSKI.

Nie trzeba, nie trzeba... Słuchaj! nabijesz dubeltówkę i staniesz tam za ścianą w ciemnej alelowie. Jeśli zaświszczę barską piosenkę — pal!

ŚWIĘTOSZ.

Jezus! Marya! Józef!

HORSZTYŃSKI.

Pal mu w łeb z dwu rur!...

ŚWIĘTOSZ.

Jak pan zaświszcze barską piosenkę?

HORSZTYŃSKI.

Tak.

ŚWIĘTOSZ.

A może pan i chrześcijańską rzecz radzi!... Mówią ludzie, że ten złotowiemożny pan coś zwąchał się z Moskalami.

HORSZTYŃSKI.

Idź, idź! bo zdaje mi się, że słyszę turkot powozu... cicho!... i nie pokazuj się!... W imię Ojca i Syna i Ducha świętego!... Czyńmy, jak należy...

(ŚWIĘTOSZ odchodzi).

Śmierć będzie między mną a twoją wściekłą ręką, Hetmanie! Nie przyszedłem jeszcze na to, aby mię hańbiono w moim własnym domu...

(HETMAN wchodzi bogato ubrany).

HETMAN.

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

HORSZTYŃSKI.

Na wieki wieków, amen.

HETMAN.

Sam jeden, jak tego wymagałeś po mnie, przyjeżdżam do ciebie, mości Horsztyński, gotów ofiarować ci moją rękę.

HORSZTYŃSKI.

Ślepy jestem; nie wiem, czy mam moją dłoń na wschód, czy na północ wyciągać, aby się spotkała z twoją dłonią...

HETMAN.

Więc sądzisz, mój Horsztyniu, że ja zawsze trzymam z północą...

HORSZTYŃSKI.

Niech ciebie Bóg sądzi, panie Hetmanie.

HETMAN.

Horsztyński, wiem, że masz powierzchowne dowody...

HORSZTYŃSKI.

Na piśmie!...

HETMAN.

Tak! zabrawszy obóz Moskali, znalazłeś między gratami jakieś pismo, napisane może umyślnie na to, aby mnie oszkalować w oczach ziomków. Może umyślnie nawet dali sobie Moskale zabrać wojenne sprzęty, aby to pismo wpadło w ręce Polaków...

HORSZTYŃSKI.

Straciłem dwustu ludzi, mości Hetmanie, biorąc ten obóz umyślnie porzucony.

HETMAN.

Być może! być może!... Ale ja ci przysięgam, Horsztyński, że nic nie wiedziałem o tym szelmoskim papierze... Chcieli mnie zgubić! — A ty pomyśl... Wiedząc, że pismo takie jest w rękach mojego wroga, muszę się rzucać w przepaść, bo najczystsze moje zamiary, najświętsze postępowanie może nie przydać się na nic, skoro siwy starzec, nie przy zdrowym rozumie, zechce zwalić mnie tą oszczerczą bronią...

HORSZTYŃSKI.

Łagodniej, panie Hetmanie, z wrogiem twoim!... wiesz, że nie jest przy zdrowym rozumie...

HETMAN.

Horsztyński! niech nasze dawne zatargi pójdą w zapomnienie! Wszak tyś mnie pierwszy obraził...

HORSZTYŃSKI.

Wydarłeś mi ją...

HETMAN.

Ty mi wydarłeś jej miłość! Słuchaj, hańba mojej małżonki żyje w moim domu i nazywa się moją córką...

HORSZTYŃSKI.

Hetmanie! gotów jestem na kolanach błagać ciebie, abyś nie rzucał przekleństw na jej mogiłę... Śmierć jej była okropna...

HETMAN.

Ha! okropna!... Widzisz, że nasze dwa serca połączone są okropną tajemnicą. Oddaj mi papiery! Daj! niech moje ręce mają co rwać i targać, bo kiedy patrzę na ciebie — —

HORSZTYŃSKI.

Ciszej — na Boga!

HETMAN.

Jutro nie przyjdę do ciebie, stary — po co dziś przychodzę...

HORSZTYŃSKI.

Choćbyś umarł, cień twój będzie klęczał na progu mojego domu co północy, błagając mnie o ten dowód okropnej — okropnej zdrady.

HETMAN.

Tak myślisz?... Są wysokie góry, na które człowiek może wejść i być niedosięgnionym przez pociski ludzkie...

HORSZTYŃSKI.

Tak myślisz, panie Hetmanie?

HETMAN.

Panie Horsztyński, ostatni raz mówię do ciebie: oddaj mi papiery! Spalę je na twojem ognisku i będę żył spokojny w moim zamku.

HORSZTYŃSKI.

Ale ja nie będę żył spokojnie w mojej chacie. Te papiery są oczyma, któremi patrzę na ciebie, panie

mój miłościwy — i spokojny jestem, bo zdaje mi się, że ciebie otrętwilem, jak wąż, kiedy z biednej ptaszyny oka nie zwraca.

HETMAN.

Podły szlachciuro!

HORSZTYŃSKI.

Co?... jesteś w moim domu, miłościwy panie!

HETMAN.

I syn bywa w domu twoim... dla czego?

HORSZTYŃSKI.

Bo... bo mi przypomina głos twojej żony, miłościwy panie!

HETMAN (dobywając szabli).

Ha!... powtóre...

HORSZTYŃSKI.

Nie dobywaj szabli, mości Hetmanie, bo ci ją wyświszczę z ręki!...

HETMAN (tnie pałaszem w zwierciadło).

HORSZTYŃSKI.

Co to za brzęk?

HETMAN.

Zabiłem twego zdrajcę, Horsztyński... zwierciadło...

HORSZTYŃSKI.

Nie rozumiem —

HETMAN.

W tem zwierciadle stał człowiek z dubeltówką.

HORSZTYŃSKI.

O! mój Boże!

HETMAN.

Chodź tu... chodź! Stań za krzesłem twego pana — niech się nie boi!

(ŚWIĘTOSZ wychodzi żołnierskim krokiem).

Ludzie, jak ja, wchodzą sami do jaskini zdrady i nie boją się. — O hańbo! Nie można ufać szlacheckiemu słowu. Nie chcę twoich papierów, Horsztyński, tyś je może sam sfalszował. Ludzie będą wiedzieli, co mają o tobie myśleć, panie Horsztyński. Jutro... zatraduję ci majątek, panie Horsztyński; boś był winien żydom pięć tysięcy dukatów, a ja od żydów skupiłem weksle za połowę ceny, bo nikt nie wierzył twojemu obligowi, tylko na pół, panie Horsztyński! a wyrok sądu ziemskiego gotowy leży u jurysty. A kiedy ci Hetman litewski zabierze majątek, to pójdziesz z żoną pod próg sali jakiej Konfederacyi i przedasz za kilka groszy papiery zdradzieckie i będzie to chleb ostatni kupiony — a nie wyżebrany, bo ty będziesz żebrakiem, panie Horsztyński.

HORSZTYŃSKI.

I moja żona!...

HETMAN.

Żona twoja? Żonie twojej mój syn da pieniędzy, panie Horsztyński.

HORSZTYŃSKI.

Syn... dlaczego twój syn?

HETMAN.

Głupi stary, jak but! Każ strzelać za mną!

(Odchodzi).

ŚWIĘTOSZ.

Panie mój...

HORSZTYŃSKI.

Precz, precz! — czy on odszedł?

ŚWIĘTOSZ.

Odjechał.

HORSZTYŃSKI.

Idź, Świętoszu, idź! Ja sam zostanę z hańbą. Co ten starzec mówił o mojej żonie? Myślę, myślę głęboko i nie mogę nic rozwidnić w głowie. Ludzie wlepiając oczy w jedno miejsce, dopomagają głębokiej

pracy umysłu; moje oczy w ciemnościach utopione — a nie rozumiem! dalibóg, nie rozumiem.

(Po chwili gwałtownie).

Cudzołożnica!...

(Wstaje i pada na krzesło).

Ja zwaryuję!... Dlaczego ja mu nie oddałem papierów? Nie wiedziałbym... Więc to jeszcze okropnie nie wiedzieć i całować ją w czoło. Brr! O jak mi zimno! I ksiądz — i ksiądz — i ksiądz — wszak on ma oczy! gdyby co widział... stary przyjaciel! Ha! ja odzyskałem jakiś wzrok, sięgający w przeszłość — okropne widzę obrazy: oszukują starca i śmieją się i czekają śmierci starca. Nie, ja nie mogę spytać mojej żony! czuję, że jakaś wstydlivość zamknie mi usta. A jeśli powie „nie“ — nie będę wierzył... a ona nic innego odpowiedzieć nie może, tylko „nie! — nie! ja niewinna!“ a twarz jej, której ja widzieć nie będę, może się odwróci ode mnie z wyrazem... O! Boże mój, Boże! niech się ziemia zapadnie pode mną!

Sally! Sally! ty taka byłaś biedna i nieszczęśliwa, kiedym ciebie prowadził do ołtarza. Matka twoja obłąkana krzyczała mi nad uchem: kto weźmie moją Sally, weźmie waryatkę, bo Sally — to ja!... I biedna dziewczyna płakała, a ja przysięgałem, że będę ją prowadził kwiecistą drogą życia — że będę jej ojcem. I... byłem jej ojcem.

Zastanów się, starcze, co ty jej na ziemi zostawisz po sobie — zgryzotę i żebractwo?... Biedna ona! biedna ona! Trzeba czynić, jak Jezus Chrystus nakazał. — Co mi po tym błahym świecie?! Zostawmy ludzi w pokoju, niech jęczą — śmieją się — szaleją — skaczą! niechaj szukają szczęścia w nieszczęściu drugich — ale niech nie przeklinają umarłych! Ja umarłem... Spokojność! spokojność! spokojność...

Mam jakąś dziwną wizję przeznaczenia ludzkiego — spokojność.

(SALOMEA wchodzi w słomianym kapeluszu).

SALOMEA.

Czy on śpi? Trzeba przejść cicho i zamknąć okien-
nice — słońce pada na jego siwe włosy.

HORSZTYŃSKI.

Siwe włosy... ha...

SALOMEA.

Myślałam, żeś usnął. Idę przygotować pod lipą
ogrodową śniadanie, zbiorę tobie sama świeżą śmietan-
kę, sama nazbierałam poziomek.

HORSZTYŃSKI.

Gdzieś była, Sally?

SALOMEA.

U księdza Prokopa.

HORSZTYŃSKI.

Czy ty poziomki dla mnie zbierałaś na mogiłach
cmentarza pod kościółkiem?

SALOMEA.

Nie, mój Ksawery, wracając zbierałam je po lesie.

HORSZTYŃSKI.

Spowiadałaś się dziś?

SALOMEA.

Poszłam do celi z tą myślą, bo byłam smutna,
i nie znalazłam księdza u siebie. Może był we wsi
u starego Grzegorza; mówią, że ten starzec bardzo
chory. Usiadłam w celi, czekając na księdza — i znu-
dziłam się. Jak ta cela cicha, oświecona wschodzącem
słońcem, piękna i miła! — las sosnowy pod oknami
kołysał się z szumem — wilgi smutno śpiewały. I za-
częłam dumać, potem chcąc się nieco rozerwać, zaczę-
łam przebierać książki na zapylonych policach szafy.
Widać, że nasz księżuło nie często do szafy zaziera —
a takie dziwne w tych książkach obrazki. Jakaś Świę-
ta uderza białą lilią lwa po nosie, a w drugiej książce

znalazłam piekło — jeden czarny dyabeł pali czarną lulkę, a w lulce zamiast tytoniu palą i skwarzą i dymią biedne duszyczki.

HORSZTYŃSKI.

Ale czy się spowiadałaś?

SALOMEA.

Nie spowiadałam się, bo te obrazki tak mnie dziecinnie rozweseliły.

HORSZTYŃSKI.

Nie spowiadałaś się? dlaczego?

SALOMEA.

Mówiłam ci, mężu, że te obrazki... Jaki ty dziś roztargniony, mój Ksawery. Czy tu był kto?

HORSZTYŃSKI.

Żono! powiedz mi...

SALOMEA.

Co, mężu...

HORSZTYŃSKI.

Ale tak, bijąc się w piersi, powiedz mi...

SALOMEA.

Bijąc się w piersi...

HORSZTYŃSKI.

Powiedz!... Prawdziwie zapomniałem, o czym cię chciałem pytać... jaki ja stary!

SALOMEA.

Może ja tobie przypomnę, mężu!

HORSZTYŃSKI.

Nie — nie — nie... ty nie możesz wiedzieć o tem, o czym ja myślę. Podaj mi papier i pióro, napiszesz ode mnie list... kilka słów.

SALOMEA (siada do pisania).

Dyktuj!...

HORSZTYŃSKI.

Wielmożny Mości Dobrodzieju —

SALOMEA (pisząc).

Dobrodzieju...

HORSZTYŃSKI.

Prawdziwie, że to śmieszne słowo!...

SALOMEA.

Cóż dalej?

HORSZTYŃSKI.

Poczekaj — pomyślę... Pisz: Jeżeli Acan jesteś honorowym człowiekiem, to czekam na ciebie dziś wieczór w moim domu.

SALOMEA.

Do kogo ten list?

HORSZTYŃSKI.

Daj! podpiszę —

SALOMEA.

Ale na miłość Boga, do kogo?

HORSZTYŃSKI.

Co mi Acani!

SALOMEA.

O! to okropne słowo!

HORSZTYŃSKI.

Sally! bo ty mnie drażnisz, jak dziecko. Daj mi ten list — gdzie podpisać?

SALOMEA.

Tu.

HORSZTYŃSKI.

Idź teraz, przygotuj mi śniadanie i zawołaj mi Świętosza!

SALOMEA.

Dobrze! ale pocałuj mnie w czoło i przeproś za to słowo „Acani!”

HORSZTYŃSKI.

Dobrze!... pocałuję ciebie, jeżeli mi będą smakować twoje poziomki.

SALOMEA (bierze dzbanek i tłucze).

Mężu, rozbiłam dzbanek.

HORSZTYŃSKI.

Umyślnie?

SALOMEA.

Umyślnie, żebyś mnie pocałował w czoło nie za poziomki.

HORSZTYŃSKI.

Źle zrobiłaś, Sally... Świętoszu!

(ŚWIĘTOSZ wbiega).

ŚWIĘTOSZ.

Słucham...

HORSZTYŃSKI.

Po śniadaniu odprowadzisz mnie do mojego pokoju. Mam ci coś ważnego zalecić. — Daj mi rękę żono! pójdziemy pod lipę.

(Wychodzą).

SCENA II.

(Chata rybicka).

(SZCZĘSNY i MARYNA ubrana w długiej przewiązanej koszuli z szarego płótna, z wiankiem bławatków na głowie).

SZCZĘSNY.

Gdzie ty chodziłaś, Maryno?

MARYNA.

Zbierałam w życie bławatki, żeby się paniczowi ustroić. Czy ja ładna?

SZCZĘSNY.

Tak sobie.

MARYNA.

Wczoraj panicz mówił, że ja ładna?

SZCZĘSNY.

Wczoraj, kiedyś wypłynęła z Wilii na brzeg ogrodowy — do jaśminowej altany — słowiki śpiewały, księżyc świecił — wczoraj byłaś ładna...

MARYNA.

A dziś?... To paniczowi nigdy wierzyć nie trzeba.

SZCZĘSNY.

Jak chcesz sobie.

MARYNA.

Panicz był niegdyś lepszy... przychodził do chaty, uczył mnie czytać, jak bakałarz — i śmiał się — i żartował...

SZCZĘSNY.

Cóż to czytasz?

MARYNA.

Książkę, co panicz dał.

SZCZĘSNY.

Ojciec twój podobno umarł?

MARYNA.

Zabili Moskale.

SZCZĘSNY.

Modlisz się za niego?

MARYNA.

Jak pomyślę, to się modlę... jak nie pomyślę, to nie.

SZCZĘSNY.

Ojciec twój, gdyby żył, możeby się bardzo smucił z ciebie, Maryno?

MARYNA.

Dlaczego?

SZCZĘSNY.

Wszak ty wiesz, że ja się z tobą nie ożenię.

MARYNA.

Właśnie ja nie znajdę sobie chłopca?!

SZCZĘSNY.

To ty myślisz, Maryno, pójść za mąż... za pocziwego człowieka?

MARYNA.

Za pocziwego i przystojnego jeszcze.

SZCZĘSNY.

Więc ty mnie nie kochasz?...

MARYNA.

Czegoż panicz chce ode mnie więcej?

SZCZĘSNY.

Prawda! ja szalony... ty dobra dziewczyna. — Co to za zgiełk?... Zobacz, kto to nadchodzi. —

(MARYNA wychodzi).

O dziwne serce ludzkie!... zmysły moje rozigrane do dziś nie spostrzegły, że to kamień... Zdawała mi się Nereidą Wilii — serca nasze były razem — usta płonęły — cała altana wydawała mi się mitologicznym kościołem miłości. Słowiki, księżyc były częścią tej kobiety... Ja się muszę już starzeć...

MARYNA (wbiegając).

Paniczu! jacyś panowie tu biegną!

SZCZĘSNY.

Cóż to? na ciebie polują?

MARYNA.

Za co mnie panicz bierze?

(KSIŃSKI — WYRWIK — SKOWICZ wpadają).

KSIŃSKI.

Ha! dalibóg, pan Szczesny przy ładnej dziewczynie...

SZCZĘSNY.

Podoba ci się, Mości Ksiński?

KSIŃSKI.

Na honor ładna!

MARYNA.

Niech Panicz mnie broni!... ci panowie śmieją się ze mnie.

WYRWIK.

A któżby zaś śmiał się? i śmiejąc się śmiał śmiać się?

SZCZĘSNY.

Czy ten Jegomość pijany?

KSIŃSKI.

Biedny Wyrwik, chce sobie wyłamać język, bo się jąkał. To Demostenes naszej partyi teraz.

WYRWIK.

Pozwól, zwolennico wdzięków — całopalenie całusem zhołdować.

SKOWICZ.

Stój! czy nie widzisz, że pan Hrabia krzywo patrzy na ciebie?

WYRWIK.

Krzywda krzywopatrzeniem nie konstytuuje obrazy.

KSIŃSKI.

Panie Szczęsny, czy doprawdy ta dziewczoja trzyma w dłoni twoje serce?

SZCZĘSNY.

Abym dowiódł, że nie, daję tej dziewczynie tyśiąc dukatów posagu; niech ją który z was weźmie za żonę.

KSIŃSKI.

Panie Skowiczu?

SKOWICZ.

Chłopka!...

SZCZĘSNY.

Bywajcie zdrowi, republikanie!

(Odchodzi).

KSIŃSKI.

Czy pan Szczęsny kocha ciebie, dziewczyno?

MARYNA.

Co panom do tego!

KSIŃSKI.

Wiecie panowie, że ta dziewczyna posłuży nam w naszych widokach. Trzeba działać na imaginację pana Szczęsnego, aby go posadzić na koń, jak tego żąda pan Hetman. — Słuchaj, jak się nazywasz?

MARYNA.

Maryna.

KSIŃSKI.

Moja piękna Maryno, umiesz ty jeździć konno?

MARYNA.

Odwagi nie brakuje.

KSIŃSKI.

Słuchaj! dziś wieczorem ubierzemy ciebie w piękny ułański mundur — nauczymy, co masz mówić, i pójdiesz z nami do zamku.

MARYNA.

Ja się lękam pana Hetmana... taki straszny — czerwony — on strzela w ludzi!

KSIŃSKI.

Nie bój się! Pan Hetman da ci owszem piękny posag, jeżeli zrobisz to, czego żądamy. ●

MARYNA.

A czy panicz się nie będzie gniewał?

KSIŃSKI.

I owszem, i owszem! — Panicz ciebie bardzo pokocha w twoim ładnym mundurze.

MARYNA.

Namyśle się...

KSIŃSKI.

Mości Panowie, otóż to głowa Ksińskiego! Stworzył Jeanne d'Arc... targowiczańskiej partyi! Do tego szampan, wymowa twoja, panie Demostenesie Wyrwiku...

WSZYSCY.

Brawo! brawo! brawo!

KSIŃSKI (do Maryny).

Do wieczora...

MARYNA.

Namyśle się.

KSIŃSKI.

Ale tu niema czasu myśleć...

MARYNA.

Kiedy ja nie rozumiem, o co chodzi...

KSIŃSKI.

No! widzę, że się zgodzisz... Chodźmy! chodźmy!

(Odchodzi za nimi).

MARYNA.

Czego oni chcą ode mnie? Żartują... Pójdę zobaczyć, gdzie ci panowie pojadą...

(Odchodzi za nimi).

SCENA III.

(Gabinet Hetmana. KARZEŁ układa papiery).

KARZEŁ.

Co to jest wielkość?... Ludzie wchodzą do tego gabinetu skurczeni we dwoje... Uważam często, z jakim przerażeniem patrzą na mnie, kiedy śmiem dotknąć koperty zapieczętowanego listu — albo hetmańskiego szlafroka... Głupcy! Ja widziałem, jak temu hetmanowi stawiał żyd pijawki: szlachcianki kałuży

cięły za uchem, pompując kew z czerwonego nosa. Od tego czasu zacząłem być ilozofem — i śmiać się z karłów.

SFORKA (odslaniając zasłonę).

Czy pan Hetman jeszcze nie wrócił?

KARZEŁ

A czego chcesz, panie intendencie?... Nic nie odpowiedział... zły na mnie od czasu, gdy go nazywałem ekonomem...

SFORKA

Co wolno karłowi, to wono jest panu Sforce...

(Wchodzi i sada).

KARZEŁ

Słyszałem, panie Sforka że miałeś odwiedziny ważnej jakiejś figury.

SFORKA

Co? czy ty wiesz o tem, Stynko?

KARZEŁ.

Poznałem pana po mundurze.

SFORKA.

Żebyś ty wiedział, jak to trudno z Włochami rozmawiać!...

KARZEŁ.

Zwłaszcza temu, kto nie umie geografii...

SFORKA.

Ja umiem geografję przecie.

KARZEŁ.

A sprzeczałeś się ze mną, że Wezuwiusz był cesarzem rzymskim.

SFORKA.

Kłamiesz jak pies, moja Sielawo. Wezuwiusz to góra — zawsze mówiłem, że Wezuwiusz to góra...

KARZEŁ.

A ja ci powiadam, że Wezuwiusz to dziura.

SFORKA.

A ja ci powiadam, że to wulkan.

KARZEŁ.

A ja ci powiadam, że Wulkan to bożek mitologiczny.

SFORKA.

Ja wiem bardzo dobrze, że to bożek mitologiczny.

KARZEŁ.

A dlaczegoż mówiłeś, że to góra?

SFORKA.

Chciałem z ciebie pozartować, błaznie.

KARZEŁ.

Jak będziesz panem, to będziesz miał błazna.

SFORKA.

Skądże ty wiesz, że ja będę panem?

KARZEŁ.

Świat — to loterya, panie Sforka. Często głupi wygrywa los wielki — ogromne sumy...

SFORKA.

Ale ja nie głupi...

KARZEŁ.

Ja bardzo dobrze wiem o tem; ale kiedy głupi często wygrywa, to rozumny, jak ty panie Sforka, człowiek jeszcze częściej...

SFORKA.

I ty myślisz, że na mnie spadną ogromne sumy?

KARZEŁ.

Prawda, że to być nie może...

SFORKA.

Być bardzo może, panie karle! Mam coś w kieszeni — kilka słówek — położyć kilka słówek odpowiedzi — a rozmnożone przez B dziesięć pytań plus

dziesięć odpowiedzi — algebraicznie i arytmetycznie dadzą...

KARZEŁ.

Dadzą X.

SFORKA.

A wiesz ty, co to X?

KARZEŁ.

Przed nazwiskiem napisane znaczy Księżę...

SFORKA.

Dalibóg, że ten karzeł nie głupi! Ja sam o tem nie pomyślałem...

(Wchodzi HETMAN. KARZEŁ i SFORKA wstają nagle).

HETMAN.

Co wy tu gałgany w moim gabinecie, w czapkach?

SFORKA.

Czekaliśmy na Jaśnie Oświeconego...

HETMAN.

Mogłeś zdjąć czapkę przed moim stołkiem — nawet przed synonimem tronu.

SFORKA.

Co to znaczy synonim tronu, karle?

KARZEŁ.

Znaczy, że syn O nie ma tronu —

SFORKA.

Syn Jaśnie Oświeconego Pana będzie zapewne na tronie, jeśli się nam uda...

HETMAN.

Słuchaj! jutro, jak świt, wyjeżdżam do Wilna.

SFORKA.

Sam Najjaśniejszy Hetman?

HETMAN.

Sam. Zmieniły się rzeczy — trzeba działać... Syn mój zostanie w zamku i wieczorem przyprowadzi mi moją legię...

SFORKA.

Czy zgodził się już Hrabia Szczęsny?

HETMAN.

Zgodził się? — Dziesięciu darmojadów odpowie mi głową za jego zgodę! Wszak mi odpowiadali zawsze: niepodobna, aby syn twój nie zechciał... nasza to rzecz, panie Hetmanie. — Niech więc dziś dopną swego, albo — na Boga! powywieszam, jak wędzonki w kominach. Syn mój byle się raz skompromitował, już będzie mi niepotrzebny. Teraz ludzie uważają go za hak, na którym ojca powiesić trzeba... Wiesz ty, że sam Jasiński widział się z nim przeszłej nocy? ale nic nie zyskał...

SFORKA.

Jasiński? ten wisielec?

HETMAN.

Ksiński widział go przeszłej nocy w ogrodzie. Gdyby miał był kilku ludzi, schwytałby ptaszka... Mówią, że się kryje koło Ponar.

SFORKA.

Może napaść na Wilno...

HETMAN.

Ja wyjeżdżam do Wilna... słyszałeś?

SFORKA.

Zapewne, że Jaśnie Wielmożny Hetman...

KARZEŁ.

I Najświętsza Panna Ostrobramska...

SFORKA.

I Najświętsza Panna Ostrobramska... nie dopuszczą...

HETMAN.

Masz listę szlachty, co tu ma zjechać wieczorem?

SFORKA (dobywa papieru).

Oto jest.

HETMAN.

Daj mi okulary...

(Wkłada okulary).

Czytajmy... jakie imiona?

(Czyta):

Łatwe do zadania,
Ale trudne do rozwiązania
Zapytania...

SFORKA (pada na kolana).

Jaśnie Wielmożny Panie! to nie ten papier...

HETMAN (nogą bije go w piersi).

Psie!...

(SFORKA wywraca się omdlały).

Co? czy zdechł? Karle, zobacz!

KARZEL.

Oddycha.

HETMAN.

Ten stary nie wie, że każde uderzenie mego serca jest zamkniętym w piersiach piorunem... Zawołaj hajduków!... Czaszka tego starca z okropnym dźwiękiem uderzyła o podłogę... Sforka! Sforka! Sforka!

(KARZEL z hajdukami).

Wynieście go i zawołajcie doktora... Ty bracie, masz jedną rękę wolną — weź ten znosek

(pokazując na karla)

i daj mu dziesięć bizunów!

KARZEL.

Panie!!!

HETMAN.

Dwadzieścia bizunów!

KARZEL.

Za co?

HETMAN.

Trzydzieści bizunów!

(Wynoszą KARŁA i SFORKĘ).

Czy zgodzi się syn mój?... Pytają mnie o serce mego syna... Co to za zgiełk? hej!...

(HAJDUK wchodzi).

Co to za zgiełk?

HAJDUK.

To wypuszczono psów na zamkowego niedźwiedzia.

HETMAN.

Zawołać karła! poszedłem z nim w zakład, że niedźwiedź rozedrze sroczkę czarną — hej! zawołać mi karła!

(Wychodzi).

SCENA IV.

(Pokój inny w zamku. KSIŃSKI sam).

KSIŃSKI.

Zbliża się godzina działania. Przyrzekłem panu Hetmanowi, że syn jego siądzie na koń — i dotychczas nie mogłem ani słowa prawdy wygrzebać z ust tego młodzieńca. Trzeba nareszcie, żeby się zdeklarował. Gdybym to ja był synem hetmana!... ha! ha! pani natura nie wie sama, co robi. Taka głupia jak człowiek, coby szampana zlewał do portowej butelki... Pani natura dała mi długą szyję, nogi i ręce — i właśnie uczyniła mnie człowiekiem pokłonnym, kłaniającym się. Ba! rzecz to jeszcze do rozwiązania, czy krótkiemu, czy długiemu człowiekowi łatwiej zgąć się we dwoje. Nie! natura — rozumna pani! Zamiast grubego brzucha dała mi w miejscu pasa coś nakształt pergaminowych zawiasów tekturowego pudełka, brzuch, mości dobrodzieju, podobny do pustej teki,

zmarszczony — wpadły i nie skrzypiący w chwili ukłonu.

(SZCZĘSNY wchodzi z książką).

Witam, panie Hrabio.

SZCZĘSNY.

Jak się miewasz, przyjacielu?

KSIŃSKI.

Pan Hrabia bawi się lekturą...

SZCZĘSNY.

Tak.

KSIŃSKI.

To zatrudnienie wielkich ludzi.

SZCZĘSNY.

Czytasz często?

KSIŃSKI.

Ja, panie Hrabio? Od czasu szkół...

SZCZĘSNY.

Rozumiem. Czemu nie idziesz patrzeć na walkę niedźwiedziów?

KSIŃSKI.

Ważny interes dobra pospolitego zajmuje mnie całego. Mości Hrabio! dziś ważny dzień dla naszej sprawy — cała Polska czeka ukazania się nowego słońca na horyzoncie politycznym.

SZCZĘSNY.

Czy przygotowała zaczerwione dymem szkiełka?

KSIŃSKI.

Jakto, panie Hrabio?

SZCZĘSNY.

Inaczej oślepnie, patrząc gołym okiem na słońce.

KSIŃSKI.

Twoi przyjaciele będą jako chmura koło ciebie, Szczęsny.

SZCZĘSNY.

Ha! to ja mam być tem słońcem?...

(Czyta).

KSIŃSKI.

Nie zechcesz zapewne, panie Hrabio, zasmucić ojca twego haniebną opieszałością. Literatura dobra jest, panie Szczesny, w spokojnych czasach; ale wtenczas, kiedy działać potrzeba, co znaczy alembikowanie druków na esencję myśli?

SZCZĘSNY.

Czytałeś ty kiedy Platona o nieśmiertelności duszy?

KSIŃSKI.

Zdaje mi się, że czytałem.

SZCZĘSNY.

Cóż sądzisz?

KSIŃSKI.

Sądzę, panie Hrabio, że potrzeba zdecydować się.

SZCZĘSNY.

Na co?

KSIŃSKI.

Ale uważaj, panie Hrabio, że kraj potrzebuje sprężystej pomocy, inaczej... inaczej... Co mi tam nieśmiertelność duszy! gdyby Platon żył w tych czasach, byłby republikaninem, jak ja.

SZCZĘSNY.

Śmierć nie jest śmiercią...

KSIŃSKI.

Ale jeżeli kraj umrze...

SZCZĘSNY.

Dusza jest nieśmiertelna, panie Ksiński... Słuchaj! rzecz wielka — a nawet błahy odłam wielkiej rzeczy umrzeć nie może. Oto, po przeciągu lat 2000 wiem dzisiaj, że Sokrates z Fedonem rozmawiał

o piękności jak ja z tobą. Może trochę inaczej, bo obaj byli bez butów...

KSIIŃSKI.

Fatałachy!...

SZCZĘSNY.

Coś jest dziwnego w tych fatałachach, porównanych z wielkimi rzeczami tego wieku! Sokrates powiedział do Fedona: — Gorąco dziś; jeżeli chcesz, to pójdziemy nad błękitny strumień — a rozmawiając nogi nasze zanurzymy w chłodnej wodzie. Poszli nad strumień... Widzę ich... siedzieli na lekkiej pochyłości okrytej bujną murawą; fale żywe łaskotały nagie ich stopy, platan rozłożysty dawał cień przyjemny i słychać było śpiewanie polnych koników, które się kryły w murawie przed upałem południowym...

KSIIŃSKI.

Powiedz mi, panie Hrabio, cóż jest w tem wielkiego?

SZCZĘSNY.

Nic.

KSIIŃSKI.

Czegoż to uczy?

SZCZĘSNY.

Abyśmy poszli obadwa na trawę, bo gorąco. Jeżeli jesteś Platonem, ty albo kto z ludzi tutaj przytomnych, choćby karzeł mego ojca, to będą ludzie wiedzieli po upływie 2000 lat, żeśmy z tobą leżeli na trawie — nad Wilią.

KSIIŃSKI.

To metafizyka!... nie rozumiem.

SZCZĘSNY.

Mówiąc o piękności, Sokrates przyrównał naturę człowieka do woza zaprzęzonego dwoma końmi. Jeden czarny, rwie się i pieni; drugi, biały jak mleko, opiera się zapałowi towarzysza; woźnica złotymi lejcami kie-

ruje sprzeczne zapędy obu. Czarny koń — to zmysły, biały — to dusza; woźnica — to rozum.

KSIAŃSKI.

Nie rozumiem, dalibóg nie rozumiem!

SZCZĘSNY.

Umiesz ty powozić z kozła?

KSIAŃSKI.

Umiem.

SZCZĘSNY.

Na cudzym wozie, nie znając koni?

KSIAŃSKI.

Na honor powiozę.

SZCZĘSNY.

Zepchnij woźnicę i bądź sam woźnicą.

(Odchodzi — staje).

KSIAŃSKI.

Ale na Boga! gdyby cię kto słyszał, panie Hrabio, powiedziałyby...

SZCZĘSNY.

Co?

KSIAŃSKI.

Żeś zwaryował.

SZCZĘSNY.

Rozgłoś to po zamku...

(Odchodzi).

KSIAŃSKI.

Wywinął się... Czy on głupi, czy ja głupi?... Czy Szczęsny gada od rzeczy? Tak być musi, bo gada o niczem.

(AMELIA wchodzi).

AMELIA.

Słyszałam tu głos mego brata.

KSIAŃSKI.

Pani, przyjmij ode mnie uniżony respekt!

AMELIA.

Słyszałam tu głos mego brata, chciałam z nim pomówić.

KSIŃSKI.

Niech go pani raczy różanemi ustami skłonić do działania. Ciągłe zajęty fatalachami.

AMELIA.

Właśnie mam polecenie od ojca, abym go namawiała do czynniejszego życia.

KSIŃSKI.

Niech pani wymoże na nim, aby był przytomnym uczcie dzisiejszej, a my go szampanem i wymową wyegzaltujemy.

AMELIA.

Szampanem? wstydź się, panie Ksiński!... Ty myślisz jego wielką duszę podstępem skłonić do wielkiego dzieła? O! zaczynam wątpić o czystości waszych zamiarów, jeżeli sposoby do dopięcia celu macie tak błahe i podłe. Ja mego brata ochronię od waszej namowy. Niech pan będzie tak dobry, poszuka go w ogrodzie i przyśle tutaj.

KSIŃSKI.

Rozkaz pani...

(Odchodzi).

AMELIA.

Jaka różnica między tymi ludźmi a moim bratem! Nieraz rozmyślam głęboko, dlaczego Szczęsny wydaje mi się tak pięknym i wyniosłym, zwłaszcza kiedy spokojny; bo jak uleci w niebo myślami, nie mogę za nim ścigać i myśl moja gubi się w chmurach. O jakbym go chciała zobaczyć na scenie czynnego świata — wyższego nad ludzi!

SZCZĘSNY (wchodząc).

Siostro, dobry dzień!

AMELIA.

Szczęśny, ojciec mię prosił, abym pomówiła z tobą...

SZCZĘSNY.

Wolałbym rozmawiać z tobą, niż z moim ojcem...

AMELIA.

Otóż będę mówiła słowami mego serca. Ty taki dobry dla twojej siostry; pamiętam te chwile, kiedy dziećmi będąc, razem biegaliśmy po nadwilejskich łąkach za motylami wiosny; kiedy jesienią w zasypanych liściem alejach lubiliśmy chodzić razem i dumać. Ja się nie odmieniłam, ale tyś się bardzo odmienił, Szczęśny...

SZCZĘSNY.

Czy ty myślałaś, że ja nigdy nie urosnę?

AMELIA.

Powiedz mi, czy ty mnie masz za tak błahe stworzenie, że nie warta jestem jednego smutnego słowa twojej duszy?

SZCZĘSNY.

Ja bardzo smutnie mówię do ciebie...

AMELIA.

Widzę, że straciłam twoje zaufanie.

SZCZĘSNY.

Czy ci mówił Ksiński, że zwaryowałem?

AMELIA.

Zostaw tych ludzi w pokoju, Szczęśny — i bądź ze mną, jak z twoją przyjaciółką, raz tylko, przez kwadrans! Powiedz mi, dlaczego nie chcesz wypełnić woli twego ojca? Ojciec nic niegodnego żądać nie może. Czyż mógłbyś chcieć wtrącić ciebie w przepaść? Powiedz mi, bracie, cóż widzisz w ojca zamiarach, że nie chcesz im pomagać?

SZCZĘSNY.

Nic nie widzę i dlatego właśnie, że nic nie widzę...

AMELIA.

Dlatego?

SZCZĘSNY.

Jestem ślepy...

AMELIA.

Czytałam o królu Janie-bez-ziemi, że będąc ślepy, kazał się przywiązać między dwóch śmiałych żołnierzy i z pałaszem dobytym wpadł na wrogów i poległ. Bądź więc między twoją siostrą a ojcem! niech ciebie prowadzą na pole sławy!

SZCZĘSNY.

Jaka ty uczona!

(Chodzi po sali zamyślony).

AMELIA.

Widzę, mój bracie, mój najdroższy — mój najmilszy, że ty się zaczynasz nawracać na siostry twojej mowę. Widzę myśl wzniosłą w zmarszczkach twego czoła...

SZCZĘSNY.

Wzniosła... dziecinną!...

AMELIA.

O! nie wracaj do ironii.

SZCZĘSNY.

Dalibóg, że miałem myśl dziecinną... Masz w bukiecie twoim białą margeritkę. Oberwij ją, mówiąc: tak, nie — za każdym listkiem. Jeżeli wypadnie tak... to będę z moim ojcem.

AMELIA.

Jakże ty rzecz ważną możesz kłaść na te marne listki kwiatu? więc los ci może rozkazać, a siostra twoja nie może?

SZCZĘSNY.

Tak — los może mi rozkazać rzecz obojętną... bo prawdziwie, że teraz to rzecz obojętna dla mnie; a nawet wyznam ci, że tak zabrąłem w zawikłanych

siłach tego świata, że będę się cieszył, jeżeli margeritka powia tak... Obroni mnie od wyrzutów sumienia — rozwiąże z nienawistnych węzłów —

AMELIA.

Co ty masz na sumieniu? Bracie luby, nieraz patrząc na twoje zamyślane czoło, nie mogę znaleźć innego porównania, jak do pochylonej białej i nieskalanej lilii. Prawda, że twoja dusza czysta?

SZCZĘSNY

Oberwij margeritkę!

AMELIA (obrywa listek).

Tak, nie... tak, nie...

SZCZĘSNY.

Patrzę na te spadające listki z okropnem przeżeniem. O! błahość ludzkich zamiarów...

AMELIA.

Tak.

SZCZĘSNY.

Szatani! Wypadło tak!... Idź, powiedz mojemu ojcu, że jestem — na wieki — na wieki! i będę z nim aż w tamtem życiu odpowiadał za krew i jęki.

AMELIA.

O Boże! o Boże!

SZCZĘSNY.

Proś za mnie Boga, bo ja powiadam, że lepiej by dla mnie było, gdybym był umarł w żywocie matki! bo teraz spałbym, odpoczywałbym, a tak... a tak? czem ja będę?

AMELIA.

Bracie, przebac mi!

SZCZĘSNY.

Tobie?... co przebaczyć?... Ja sobie tylko przebaczyć nie mogę, że w tajemnicy serca żądałem... O! wielkość, sława!... Ale na Boga! ja nie takiej chciałem sławy — nie takiej wielkości... Stało się...

AMELIA.

Bracie, ja skłamałam — wypadło nie!

SZCZĘSNY.

Teraz skłamałaś, Amelio! Wypadło tak. Ja wiem, że mię los miał rzucić na taką drogę. Wahałem się — o włos. Włos się zerwał — a teraz będą się urywać wszystkie skały zawieszone nad moją głową.

ŚLUGA (wchodzi).

List do pana Hrabiego.

SZCZĘSNY.

Kto przyniósł?

ŚLUGA.

Jakiś siwy starzec, w szarej czamarze.

SZCZĘSNY.

Ale ten list bez adresu.

ŚLUGA.

Powiedział, że od ślepego człowieka.

SZCZĘSNY.

Ha!...

(Odpieczętowywa, czyta).

AMELIA.

Szczęśny! jaką ty masz twarz?! To jakaś zła nowina!

SZCZĘSNY.

I owszem, bardzo dobra! Zaczynam być, czem jestem. Ludzie mnie poznają... Powiedz temu człowiekowi, że przyjdę. O! gdyby się cofnąć o rok życia — nie przyszedłbym na taką godzinę!... Amelio!... Amelio!... Amelio!...

AMELIA.

O jaki jęk!...

SZCZĘSNY.

Nic!... Siadaj! Prawda, że ja nie jestem złego serca człowiekiem? ty wierzysz we mnie; prawda, Amelio?

AMELIA.

Bracie, jakie ja nieznane nieszczęście ściągnęłam na twoją głowę niewinnem, jak sądziłam, kłamstwem? Przysięgam ci na duszę matki mojej, że ostatni listek kwiatu powiedział nie.

SZCZĘSNY.

Amelio moja, teraz wcale mnie nie obchodzi przyszłość, ani przeszłość. Chciałbym ci wyznać wszystko, ale nie mogę. Jest okropna tajemnica, która by nas oboje zabiła, a bez wydania tej tajemnicy nie mogę usprawiedliwić najmniejszego wypadku w mojem życiu. Amelio, błagam ciebie na imię matki twojej, nie sądz o mnie podług sądu innych ludzi — i zachowaj mi w sercu jedno długie wspomnienie! Takie wspomnienia smutne i jednobrzmiennie wznoszą serca ludzkie do Boga.

AMELIA.

Ale ty się gotujesz na coś okropnego...

SZCZĘSNY.

Ja ciebie bardzo kochałem... więcej niż...

(Wstaje gwałtownie).

Bądź zdrowa! Kochałem ciebie, jak brat... Słuchaj! ty kiedyś będziesz miała męża i dzieci, ale przyjdą godziny, że miłość ich nie wystarczy tobie, i porównasz ją z miłością twego brata — i będzie ci czegoś niedostawać i będziesz płakać... O! jak my kiedyś byliśmy szczęśliwi dziećmi!...

AMELIA.

Co ci jest, bracie?

SZCZĘSNY.

Mam wielkie długi do zapłacenia.

AMELIA.

Długi? ale mój ojciec... mój ojciec zapłaci... wszystko... Ja ci przysięgam...

SZCZĘSNY.

Tak! i mój ojciec może zapłaci... Ale ja... Ty nie możesz rozumieć, siostro, zawiłych tego świata

zdarzeń. To gorzej, niż w najokropniejszych przepowiedniach świętego Jana!... Są serca rozdarte na cztery części... jak zapisane głupim poematem karty papieru w rękę rozsądnego człowieka... Bądź zdrowa!... życzę ci wstąpić do klasztoru!

AMELIA.

Do klasztoru?

SZCZĘSNY.

Wszak ty nie masz męża ani kochanka... Nie chciałbym, aby ciebie kto oszukał. — Ha! ale co ty powiesz ojcu ode mnie? Czekał, powiesz... że — pojechałem płacić długi... Ja może powrócę wieczorem. Jeżeli powrócę, to będę łachmanem, z którego nie można zrobić chorągwi dla żadnej partyi... Więc niech ze mnie zrobi, co mu się podoba...

(Odchodzi).

AMELIA.

Zrozumiałam... Mój Boże! teraz zrozumiałam... Szczęsny! Szczęsny!

(Wybiega).

Zasłona spada.

AKT TRZECI.

SCENA I.

(W domu Horsztyńskich).

HORSZTYŃSKI i SZCZĘSNY.

HORSZTYŃSKI.

Panie Hrabio, czy jesteśmy sami?

SZCZĘSNY.

Nikogo niema w pokoju.

Jest to pokój ulubiony ojca mego... tam na prawo musi być jego obraz. Cichą i łagodną miał twarz i białe włosy, jak moje włosy, ale srebrny włos jego żadnej hańby nie nosił... Tam nad drzwiami musi być dotąd krucyfiks ze słoniowej kości na hebanowej desce.

SZCZĘSNY.

Tak jest...

HORSZTYŃSKI.

Pod krucyfiksem wisi para pistoletów...

(Szczęsny zdejmuje pistolety).

SZCZĘSNY.

Oto są.

HORSZTYŃSKI.

Nie nabite... w stoliku na prawo — rożek z prochem i kule.

SZCZĘSNY.

Znalazłem.

HORSZTYŃSKI.

Pan wiesz zapewne, że potrzeba jeden z pistoletów nabić. Sądzę, że umiesz nabijać. Jeden pistolet w sandał, drugi w jabłeczne drzewo oprawny. Nabij pan...

(Cisza).

Czuję zapach lip mego ogrodu — myślałem, że będę kiedyś spokojny — na starość!... Czy już nabity?...

SZCZĘSNY.

Wybierz pan jeden z pistoletów.

HORSZTYŃSKI.

Ja ślepy...

SZCZĘSNY.

Wszak los powinien być sędzią...

HORSZTYŃSKI.

Los...

SZCZĘSNY.

I Bóg.

HORSZTYŃSKI.

Proszę wybrać!

SZCZĘSNY.

Ja wiem, który nabity.

HORSZTYŃSKI.

Proszę wybrać!

SZCZĘSNY.

Wybrałem.

HORSZTYŃSKI.

Siądź pan tu blisko, daj mi lewą rękę. A wiesz pan, że ja nie wiem, czy jesteś winny, czy niewinny — czy podły, czy szlachetny...

SZCZĘSNY.

Strzelajmy!

HORSZTYŃSKI.

Jeżeli zabijesz mię, będziesz zabójcą — jeżeli ja ciebie zabiję, będziesz samobójcą — ja będę czysty przed Bogiem.

SZCZĘSNY.

Strzelajmy...

HORSZTYŃSKI.

Może chcesz pan pomieniać się na pistolety?

SZCZĘSNY.

Nie!

HORSZTYŃSKI.

Młodzieńcze! Nieraz punkt honoru — duma tak jest silna w człowieku, że wystawiony na wybieranie między życiem a śmiercią, wstydzi się wybrać życie, myśląc, że się tym wyborem upodli — i myśli, że się poświęca. — Hrabio, ja się poświęciłem dla kraju mego i widzę teraz nicość mojego poświęcenia się. Jeżeliś niewinny, upamiętaj się i nie idź do grobu z taką obojętnością. Przypominam ci słowami starca: że Bóg nie napróżno wlał w serca nasze bojaźń śmierci. Śmierć jest coś okropnego — bardzo okropnego. Ślepy, nie mając co robić, myślałem po całych dniach, o ta-



Jakób Jasiński.

jemnicy grobu — i prawdziwie śmierć jest okropnością nieopisaną — cieniem wszystkiej myśli — sprężyną każdego wahania się. — Jeżeliś niewinny, upamiętaj się, nie kładź na moje siwe włosy ciężaru zbrodni — złożmy pistolety — wybierzesz je po raz drugi.

SZCZĘSNY.

Wolałbym prędko ukończyć tę scenę.

HORSZTYŃSKI.

Ale wiesz, że ja nie mogę jeszcze wierzyć, abyś ty był winny. Szanowałem ciebie, ufałem tobie — a choć mi oddasz życie twoje, będę pogardzał tobą — przysięgam, że nie wyleję łzy nad tobą, kiedy będziesz leżał u nóg zhańbionego starca. Słuchaj! Między mną a ojcem twoim jest wielka nienawiść — i wiele do nienawiści powodów. Zdaje mi się, że Bóg wybrał rodzinę twoją, aby była ogniem strzechy mojej — trucizną studni moich — wichrem obrywającym sady moje... Walczyłem — teraz upadam jak robak rozciśniony nogami — szczęśliwy, ilekroć sobie powiem na pociechę: Oto kraj wali się: nie dziw, że gruzy zasypały dom starego szlachcica... W ogromie takiego upadku gubię pamięć nieszczęścia; lecz kiedy pomyślę, że upadek mój, hańba domu mojego jest darem zdrajcy —

SZCZĘSNY.

Panie Horsztyński!...

HORSZTYŃSKI.

Przysięgam, że to upodlenie, nieszczęśliwym zostać przez panów Kossakowskich. Nie oparłem chaty mojej o mury zamku waszego — przysłiście sami szukać mojej dziedziny. Ojciec bierze mi i wydziera chleb, ostatni kawał chleba na starość — a ty, ty może gorszy od ojca. Zdaje mi się, że wy bardzo podli — muszę zostawić tobie życie, panie Szczęsny.

SZCZĘSNY.

Panie Horsztyński, wybierajmy pistolety.

HORSZTYŃSKI.

Słuchaj! tak pogardzam waszą rodziną, że jeżeli ona kochała ciebie: to lituję się nad nią — bo to nie-szczęście i hańba i kara Boska i plaga Mojżeszowa, kochać podłego człowieka. Ale może ty niewinny tej ostatniej zbrodni... W takim razie... czy wiesz, że zhańbiłem ciebie śmiertelnie słowami — a mam broń, którą zabiję ciebie, ojca twojego i wasz honor — i pamięć waszego życia zabiję na wieki! — Wybieraj Acan pistolety!

SZCZĘSNY.

Poczekaj... chcę obaczyć jeszcze raz — myśl jedną...

HORSZTYŃSKI.

Wybieraj, zdrajco!

SZCZĘSNY.

Wybrałem.

HORSZTYŃSKI.

Boże! Boże! czuję w ręku ten sam pistolet, co pierwaj.

(Odwraca się i strzela w ścianę).

O Boże!

(Słychać głos SALOMEI za drzwiami).

Puszczajcie! Jezus! Marya! Umrę... puszczajcie!

HORSZTYŃSKI.

Otwórz, Szczęsny!

(Szczęsny otwiera, SALOMEA pada omdlała w jego ręce, krzyząc):

Zabiłeś go?

HORSZTYŃSKI.

Zono!... Dlaczego tak cicho?

SZCZĘSNY.

Omdlała.

HORSZTYŃSKI.

Ocuć ją. Czy tylko omdlała?... Chodź tu, młodzieńcze! wybierz drogę, jaką sądzisz, że należy ci wybrać. Ja wybrałem...

SZCZĘSNY.

O! zabiłeś mnie wzgardą!... Teraz gotów jestem na wszelkie niegodne postęпки. Będę z nimi...

HORSZTYŃSKI.

Z kim?

SZCZĘSNY.

Z tymi, co pogardą wszystkich ludzi mszczą się za pogardę siebie.

HORSZTYŃSKI.

To mi bardzo obojętne, czem ty będziesz.

SZCZĘSNY.

I dla mnie to bardzo obojętne... Bądź zdrow, panie Horsztyński!

HORSZTYŃSKI.

Zostań — niech ona zobaczy, że ty żyjesz... a ja lituję się nad nią. Szkoda tej kobiety!

SALOMEA.

Gdzie mój mąż? mój mąż?

HORSZTYŃSKI.

Przyprowadź ją do mnie!... Co ci jest, moja żono? Skąd tobie taki przestrah? próbowaliśmy pistoletów...

SALOMEA.

Mężu, to ty strzeliłeś!... twój pistolet gorący...

HORSZTYŃSKI.

Prochem był nabity... wszakże i prochu szkoda na wróble...

SALOMEA.

Mężu, strzaskałeś krucyfiks, co wisi nade drzwiami.

HORSZTYŃSKI.

Krucyfiks?

SALOMEA.

Czemu pan masz broń w ręku?

SZCZĘSNY.

Nie nabita.

(Skrzesza).

HORSZTYŃSKI.

Panie Szczęsny, to mówiłeś, że gotów jesteś dać mi swój turecki kindżał za te dwa francuskie pistolety — namyśl się... a jeżeli chcesz takiej zamiany, to ja zgodzę się nareszcie zyskać na tobie.

SZCZĘSNY.

Co do mnie, to rzecz skończona.

HORSZTYŃSKI.

Bardzo się cieszę — będę miał po tobie pamiątkę... miłą...

SZCZĘSNY.

Zapiszę ci jeszcze w testamencie pochwę mojego kindżała.

HORSZTYŃSKI.

Starzy pierwszej umierają; — ale się jeszcze może zobaczymy, bo podobno masz wyjechać — walczyć za ojczyznę...

SZCZĘSNY.

O! to jeszcze nie prędko... Mam ojca —

HORSZTYŃSKI.

Ha! kiedy tak, to się będziemy widywali często.

SZCZĘSNY.

Zyczę ci dobrego wieczora. — Niech pani patrzy, jak piękny zachód słońca — kwiaty jej ogródka ożywają — i będą płakać rosą tego wieczora.

SALOMEA.

Gdzie pan jedzie?

SZCZĘSNY.

Do domu — idę do ojca mojego...

SALOMEA.

Ale czy pan wie, co znaczą te słowa w Piśmie świętem?

SZCZĘSNY.

Słowa mają różne znaczenia — podług księgi, na której je znajdują. Te same słowa, które są świętami w Piśmie świętem, są bezbożne w księdze bezbożnej — a nieszczęścia mają dźwięk — w księdze pełnej nieszczęśliwych wypadków. Bądźcie zdrowi!

(Szczęsny odchodzi).

HORSZTYŃSKI.

Co tobie, Sally? wpadłaś do pokoju jak waryatka!...

SALOMEA.

[.*)].

HORSZTYŃSKI.

[.*)] przestraszyłaś mnie bardzo.

SALOMEA.

O mój Xawery! czy ty mnie jeszcze kochasz?

HORSZTYŃSKI.

Czemuż nie miałbym kochać — Sally? Byłaś dla mnie dobrą, długo [.*)] pamiętam, jak wyjeżdżałem z moimi ludźmi na barską wyprawę: sama piekłaś nam chleby; — widziałem ciebie, jak z zakasanemi po łokieć rękoma miesiłaś czarne ciasto, a kiedy wszedłem do kuchni, schowałaś ręce i podałaś się cała ku mnie różaną i liliową twarzyczką, abym ciebie pocałował — zawsze pamiętam tę scenę. — Dlaczego ty klękasz przede mną? — nie lubię tych oznak teatralnych... Sally, dlaczego ty klęczysz przede mną? — czuję głowę twoją na moich rękach. Wstań, moje dziecko, i wyjdź na dziedziniec — jak będą żeńce wracali z pola, śpiewając tę piosnkę, którą ja tak lubię, to każ im wytoczyć na dziedziniec beczkę piwa i daj żniwiarce czerwoną wstążkę. Proszę ciebie, Sally, niech się chłopci rozhulają i będą weseli...

*) Wszystkie miejsca tu zapełnione kropkami znaczą, że rękopis w tem miejscu uszkodzony. (Przyp. Wyd.)

SALOMEA.

Dobrze, mój Ksawery. Gdybyś ty wiedział, jak jestem szczęśliwa, kiedy mi dajesz jakie polecenia...
(Wychodzi).

HORSZTYŃSKI.

Czy wyszłaś?... Wyszła... Czuje, że mi Bóg policzy tę godzinę w Niebie na zmazanie grzechów moich. Tak, niech będzie spokojna — a ja?... Wszak uczyniłem stałe przedsięwzięcie... jakie? — usunąć się z tej drogi, po której idą szumiący ludzie wielkimi tłumami. Nędza albo śmierć! Nigdy tak blisko nie widziałem nędzy i śmierci... Co robić na świecie? — Siąść przy drodze pod krzyżem i śpiewać kantyczkową piosenkę: dajcie grosz ślepemu! — Zebrak przynajmniej ma psa wiernego, co go zaprowadzi pod krzyż, do karczmy, i odwiedzie do wsi wieczorem — a ja... Jutro sąd tradycyjny w tym domu... ha! postawię im nowy sprzęt do zagrabienia — trumnę starca... Konfederat barski! — jak ja lubiłem, kiedy mnie tak nazywano. Muszę siebie sam nazywać przed śmiercią sławą życia mojego... Nie trzeba krwią plamić tych podłóg, po których raczkowałem niegdyś... nie trzeba... ha! gdyby staremu Konfederatowi trucizny!... Może w domu jest trucizna — spróbujemy...

(Klaszcze).

Świątoszu! Świątoszu!

ŚWIĘTOSZ.

Jestem, panie...

HORSZTYŃSKI.

Powiedz mi, co tam się dzieje w polu?

ŚWIĘTOSZ.

At — pszenica niezła i żyta dzięki Bogu dosyć.

HORSZTYŃSKI.

Dziś żną?

ŚWIĘTOSZ.

Tak, panie, od chaty Szewruka aż do nagolickiego kopca... Nie wiem, czemu się też pan konno nie wybierze na pole zobaczyć żyta.

HORSZTYŃSKI.

Głupi! — a czy nie pamiętasz, jak mi gromnicami oczy wykapali.

ŚWIĘTOSZ.

Niech ich jasny Bóg piorunuje...

HORSZTYŃSKI.

Słuchajno, Świętoszu! czy mógłbyś ty pojechać do miasteczka — w ulicy liwskiej wisi ogromny szyld, gdzie żyd Josiel trzyma aptekę; kup za parę złotych u żyda acidum prussicum.

ŚWIĘTOSZ.

Cóż to panie? lekarstwo na prusaki?... a gdzież to znowu zagnieździły się u nas tarakany? — a to ja ogniem spalę...

HORSZTYŃSKI.

A to może ty w domu masz truciznę?

ŚWIĘTOSZ.

A jużci: — muchomory na muchy — i coś zostało jeszcze arszeniku we flaszczech od gomułek na szczury.

HORSZTYŃSKI.

Ha! masz arszenik? — właśnie szczury za obiciem mego sypialnego pokoju porobiły gniazda — i całą noc szeleszczą obdartymi papierami.

ŚWIĘTOSZ.

To ja przyniosę gotowy pączek w maśle usmażony...

HORSZTYŃSKI.

Nie, przynieś mi flaszeczkę z proszkiem; — ja sam przyrządzę.

ŚWIĘTOSZ.

Ale to, panie, jak na oczy upadnie, to człowiek oślepie.

HORSZTYŃSKI.

Nie, mój Świętoszu, nie lękaj się — włożę okulary.

ŚWIĘTOSZ.

O głupi ja — głupi!

HORSZTYŃSKI.

Co? czy ty myślisz, że mam jakie zamiary?...

ŚWIĘTOSZ.

Co?! jakie zamiary? o co mię pan posądza?

HORSZTYŃSKI.

O nic! idź!... przynieś mi arszenik!

(ŚWIĘTOSZ odchodzi).

Już byłem pewny, że się ten człowiek domyślił i narobi hałasu... Ha! jeszcze trzeba będzie do księdza Prokopa napisać list: — będzie to moja spowiedź pośmiertna — z grzechu śmierci...

ŚWIĘTOSZ.

Oto, panie, flaszczyna z proszkiem.

HORSZTYŃSKI.

Daj! Czy daleko jeszcze do wieczora?

ŚWIĘTOSZ.

Słońce zachodzi za nagolickim kopcem.

HORSZTYŃSKI.

Gdzie to ten kopiec?

ŚWIĘTOSZ.

A tam, gdzie panisko woził kiedyś kolaską naszą panią — a pani przejeżdżając koło kopca, zawołała: Świętoszu: zatrzymajno konie, bo widzę mnóstwo konwalii — zeżnę sobie bukietik.

HORSZTYŃSKI.

Pamiętam... Przysuń mi tu stolik, podaj papier i pióro... Jeżeliby kto wszedł, kiedy pisać będę — to mię ostrzeż... Czy moja ręka na papierze? czy pióro

umoczone? — jak dojdę pismem do końca papieru, to mi powiedz.

ŚWIĘTOSZ.

Niech panisko jedzie... stąd — do góry — zawróć pan!... Dalibóg, pan cudownie pisze, dwie ryguly jedna przy drugiej, by kolej od kałamaszki... Noga w tył — nie zjeżdżaj!... To mi się widzi, że pan by mógł jeszcze szablą pisać po wąsach Moskałom, gdyby te biesy nocą nie napadali... jak to było...

HORSZTYŃSKI.

Umiesz ty czytać?

ŚWIĘTOSZ.

Nie.

HORSZTYŃSKI.

Jutro jak świt... zanieziesz ten list do celi księdza Kapucyna Prokopa; — jak świt... nie zapomnij, bo to rzecz bardzo ważna.

ŚWIĘTOSZ.

Dobrze, panie!

(Odchodzi).

HORSZTYŃSKI.

Chciałem rzucić się na szyję temu człowiekowi i lękałem się, aby się nie domyślił, że go pan żegna jak umierający. Człowiek najsamotniejszy — a któż samotniejszy nade mnie — tyle ma nitek do zerwania, nim wyjdzie z tego świata! Już wieczór — świerszcze zaczynają śpiewać w szczelinach mojej chaty. Co będzie jutro ze mną o tej godzinie?... Mój Boże! mój Boże! Chryste Panie! sądz mię tak, jak sądzisz ludzi nieszczęśliwych — miej litość nade mną! Boże, wszak Ty bez cudu mógłbyś mię zatrzymać na ziemi: — powiedz sercu mojemu, niech mi powie, że jestem jeszcze potrzebny na ziemi rzeczom, wypadkom albo ludziom; — powiedz sercu mojemu: żyj! — a żyć będę. Żyłbym, gdyby była choć nadzieja odzyskania oczu... Jak zażyć tę truciznę? — muszę zawinąć w opłatek.

(Idzie omackiem i dobywa z szafy opłatki).

Ślepy, a przecież znalazłem opłatek — kto rękę moją prowadził? Czuję te drżące listki chleba w moich dłoniach. Jak ja lubiłem niegdyś dzień Bożego Narodzenia! W tym samym pokoju z opłatków kleiłem różnokolorowe słońca, kołyski — jakaś świętość i wesele napełniały moje dziecinne serce.

(Łamie opłatek i sypie truciznę, potem skleja).

Dziś jeszcze nie rozumiem, co znaczą te litery święte, wyciśnione na opłatkach. Będąc dzieckiem, myślałem, że to jakieś słowa z pieśni anielskiej i z błękitnego języka... Gorąco mi — chciałbym się przejść po pokoju — i lękam się uderzyć czołem o zimne ściany.

(Słychać pieśń wracających żeńców — daleko).

Cicho!... pieśń żniwiarzy. — O! moja wiosko! moja wiosko!... Jutro w tym domu trumna — księża — sąd... Jutro ta pieśń... jutro inny pan — i nikt się nie zlituje nade mną! — Ja przecież wszystko poświęciłem krajowi! — ten dług strwoniłem prochem i kulami... a jutro gdybym żył, byłbym głodny jak pies — i nikt się nie zlituje nade mną! Stary i siwy — i sam — ojciec musiał okropnie zawinić, bo ja cierpię.

Pieśń żniwiarzy, wyrażnie:

Pożęli żyto, pożęli jarzę:
Niechaj nam pan da na wódki czarzę.
Plon żyta — plon
Ze wszystkich stron.

HORSZTYŃSKI.

Plon żyta — pochlebiają mi ci ludzie — plon żyta... Widać, że żona moja kazała im beczkę piwa wytoczyć... jaki gwar na dziedzińcu.

Pieśń.

Pożęli żyto, wygnali zajca:
Nie żałuj, pani, wstążki okrajca.

Plon żyta — plon
Ze wszystkich stron.

HORSZTYŃSKI.

W tej pieśni widzę moje żółte łąny — i zielone lasy... Z początku ta pieśń rozdrażniła serce moje, a teraz uciszyła je jak pieśń mojej mamki, jak pieśń kiedyś mojej Izabeli — niech jej światło niebieskie świeci na wieki wieków, Amen... I mnie także niech będzie tak cicho po śmierci, jak kiedyś przy niej, kiedy śpiewała... Cyt!... ktoś idzie! to ona... Słyszę i poznaję szelest jej sukni... w jedwabnej sukni ubrana...

(Wchodzi SALOMEA).

SALOMEA.

Mężu, wyjdź na dziedziniec do ludzi.

HORSZTYŃSKI.

O nie — nie mogę, żono!...

SALOMEA.

Kilku starych chłopów weszło aż na ganek i kłaniali mi się do nóg, prosząc, abym im pana łaskawcę wyprowadziła.

HORSZTYŃSKI.

Żono... nie wyjdę!

SALOMEA.

Dlaczego zasmucać tych ludzi?...

HORSZTYŃSKI.

Dlaczego? Bo świat smutny, a ja świata rozweselić nie mogę jak arlekin — bo jestem — ślepy — i stary... Powiedz mi, Salomeo, czy nigdy tu podczas mojej niebytności nie przyniesiono jakich sądowych papierów?

SALOMEA.

Nieraz na drzwiach przybijano mi różne manifesty: barskie, targowiczańskie. Z początku odczytywałam je pilnie — potem rzucałam wszystkie do wielkiej szafy w śpichlerzu.

HORSZTYŃSKI.

To dobrze. Czy ty mówisz zawsze wieczorną modlitwę z czeladką?

SALOMEA.

Zawsze modlimy się razem.

HORSZTYŃSKI.

Dzisiaj nie zapomnij, moja żono, modlitwy... za tych, co cierpieli — i żyli...

SALOMEA.

Mężu, módl się z nami.

HORSZTYŃSKI.

Niezdrow jestem — muszę się położyć do łóżka.

SALOMEA.

Zaraz?

HORSZTYŃSKI.

Sally, przechodząc do twego pokoju, stąpaj cicho... Nie, tego ci nie trzeba zalecać... Ale idź bez świecy, bo światło... o! ja szalony! — widzisz, że ja, tak jak mój Świętosz, nie mogę czasem zapomnieć o moich oczach... Nie obudź mię, żono, bo czuję, że mi snu potrzeba. Chciałbym spać tej nocy. Ty sama bądź przy wieczerzy.

SALOMEA.

Mężu, chcesz, bym czuwała przy tobie?

HORSZTYŃSKI.

Cóż ty, moja gołąbko? Już ci się zdaje, że ja śmiertelnie chory. Czyś ty zapomniała, że kilka miesięcy temu sypiałem na zimnej rosie, pod koniem moim... Jaki to był koń!... Czułem często, jak nogą zwolna poruszył i dotknął moich piersi — tak ostrożnie, jak Świętosz, kiedy szklanekę kryształową stawia na stół. Ten koń w kopytach miał czucie: nie rozdarł nigdy moich piersi — nawet przez sen...

(Salomea zakrywa oczy dłońmi).

HORSZTYŃSKI.

Salomeo, pomóż mi pas odwinąć.

(Salomea bierze za jeden kutas pasa, Horsztyński odkręca się jak w walcu, ale zwolna, tak że odchodzi aż na koniec pokoju; pas zostaje w rękach Salomei).

Widzisz, Sally moja, pas ci został w rękę, a mąż się odwinął — i na wieki... Oto historia życia. Rano trzymałaś za koniec pasa, ja zbliżałem się do ciebie; wieczorem... Co? ty klęczysz przede mną?... Córkę moja, kochana moja Sally, ty mię nigdy nie będziesz przeklinać — prawda, że nie będziesz przeklinać pamięci mojej, co bądź przyjdzie na ciebie — z mojej winy... Daj mi rękę — zaprowadź mię ku drzwiom sypialnego pokoju i przechodź sama cicho — bo wiesz, że ślepi słyszą najmniejszy szelest... Dobrej nocy, Sally.

SALOMEA.

Do jutra...

HORSZTYŃSKI.

Co?...

SALOMEA.

Jutro może będziesz mężu spokojniejszy.

HORSZTYŃSKI.

Tak — spokojniejszy...

(Wchodzi do sypialnego pokoju).

SALOMEA.

Muszę kazać, żeby się ci chłopci uciszyli na dziedzińcu, aby ten starzec biedny mógł zasnąć...

(Odchodzi).

SCENA II.

(Przedpokój Hetmana).

(Słychać mocne dzwonienie — HETMAN wpada).

HETMAN.

Cóż to, na miłość Boga! nikogo? nikogo?...

(KSIŃSKI wbiega).

KSIŃSKI.

Cóż to, jaśnie wielmożny panie?

HETMAN.

Gdzież moi ludzie? — Ten człowiek musiał rozpałać przed zgrają o rewolucyi w Warszawie... Każ mu wypalić w łeb, jak psu!... To nie prawda! Warszawa nie powstała... w Warszawie spokojniej niż w moim łbie siwym!... Na miłość Boga, zawołaj tu ludzie — zaprzęgać karete — i wróc tu. — Gdzie jest mój syn?

KSIŃSKI.

Wyjechał konno.

HETMAN.

Kazałem Acanu, abyś kazał zaprządz karete. — Przykuć łańcuchem do koła tego posłańca z Warszawy; zaciągnę go do gubernatora wileńskiego...

(KSIŃSKI odchodzi).

Rwie się, rwie się skała — ale ja zatrzymam ją. Szewcy się burzą... Gdybym chciał, mógłbym się przyczaić w moim zamku i siedzieć jak mysz — ale te papiery... Ha! panie Horsztyński, papiery twoje zgubią Polskę... Pozajutro Moskale nadciągną...

KSIŃSKI (wraca).

Wydałem rozkazy.

HETMAN.

Panie Ksiński, ponieważ mam ciebie pod ręką, muszę cię użyć. Oto skoro szlachta zjedzie się do zamku, syn mój powinien stanąć na czele i natychmiast jechać zbrojno pod Wilno od strony ostrobramskiej. — Są wieści, że jutrzejszej nocy Jasiński tą stroną chce się wkraść do Wilna. — Schwycić i natychmiast powiesić go jak szpiega, bez sądu — rozumiesz — nie wierzyć mu, że się nazywa Jasiński.

KSIŃSKI.

Tak, jaśnie wielmożny panie.

HETMAN.

Ale wiesz ty, że mój syn... choć to niepodobna — może nie zechce stanąć...

KSIŃSKI.

Tak, choć to niepodobna, jaśnie wielmożny panie... może nie zechce...

HETMAN.

Ty staniesz.

KSIŃSKI.

Będę się starał dowieść Hetmanowi, że...

HETMAN.

Milcz! milcz! milcz! — Słowa — to śmiecie... Otóż jeżeli syn nie zechce, zawołasz do sali moich żołnierzy, co zamknęci w tylnym dziedzińcu — i zaarestujesz ptaszka. Rozumiesz?

KSIŃSKI.

Rozumiem.

HETMAN.

Wsadzisz go do jakiej ciupy — i sam na koń, pod Wilno! Pan Horda przyprowadzi mi 50 ludzi zbrojnych do mego zamku w Wilnie, a ty z resztą będziesz się uwijał koło Ostrejbramy.

KSIŃSKI.

Wszystko się stanie podług jego woli.

HETMAN.

Sforka pokaże ci zapas prochu na wieży. Oto mój pierścień — rozumiesz, mości panie! Wszyscy ciebie mają słuchać, jak mego maleńkiego palca u ręki...

KSIŃSKI.

Dumny jestem zaufaniem...

HETMAN.

Ale mój syn... ja chcę, aby mój syn był na czele — rozumiesz?

KSINSKI.

Tak.

(AMELIA wchodzi).

HETMAN.

Co to za kobieta? — Amelio, czego Acanna?

AMELIA.

Ojcze, chciej mnie posłuchać.

HETMAN.

Jutro! — jutro!

AMELIA.

Dziś, ojcze. — Panie Ksiński, oddal się pan.

(KSINSKI wychodzi).

HETMAN.

Co to znaczy? Ufasz zanadto w moją łaskawość.

AMELIA.

Ojcze drogi, gdzie ty jedziesz?

HETMAN.

Do Wilna.

AMELIA.

Zaklinam ciebie, ojcze, zostań w zamku... Jakieś ogromne grozi tobie nieszczęście.

HETMAN.

Śniło ci się.

AMELIA.

Ojcze, byłam sama w moim pokoju i patrzyłam, jak wschodził księżyc czerwony. Psy zaczęły wyć głucho i okropnie — odwróciłam się — i wierz mi, ojcze, nie uważaj mnie za jasnowidzącą waryatkę: — matka moja była ze mną...

HETMAN.

Nieboszczka?...

AMELIA.

Ojcze, jaki ty dobry, że wierzysz mi. — Myślałam, że ty mnie odrzucisz ze wzgardą, a widzę mgłę

zamyślenia na czole twojem. Spodziewałam się zawsze, że kiedyś będziesz kochał swoją córkę.

HETMAN.

Czy mówiła co do ciebie?

AMELIA.

Milczała długo... struny arfy mojej zaczęły grać same smutnie i powietrzną jakąś pieśń — potem zdawało mi się, że jakiś głos kobiety jęknął — i z płaczem mówił: ojciec twój kona...

HETMAN.

Ojciec twój?...

AMELIA.

W okropnem poruszeniu leciałam do twego sypialnego pokoju — otworzyłam drzwi — i znów cień biały był przede mną... Zdawało się, że go przyniosłam z sobą w oczach...

(Tu braknie kart czterech w rękopisie).

AKT CZWARTY.

SCENA I.

(Pokój Sforki w pałacu).

SFORKA — MAŁGORZATA.

SFORKA.

Idź Acani i nie przeszkadzaj mi.

MAŁGORZATA.

Ale mój mężu, dalibóg wbijają Acanu jakieś duby w głowę, a ty wierzysz. Szkoda, że złożyłam czerepy twojej głowy, którą pan Hetman rozbił wczoraj, jak zgniłe jaje.

SFORKA.

Idź Acani, pilnuj kur i gęsi! Ja czekam na kogoś...

MAŁGORZATA.

Zamknę Acana na klucz i nie puszcę tych sowizdrzałów, co ci mózgi mieszają, jak rumianek w filiżance łyżeczką.

SFORKA.

To nie żaden sowizdrzał, moja duszko. Tu przyjdzie najrozumnijszy człowiek między muzykantami pana Hetmana, człowiek z imaginacją, pierwszy trombon.

MAŁGORZATA.

Jeżeli chcesz grać na trombonie, to za drzwi!

SFORKA.

Ale ja nie będę grać na trombonie. Czy ty mnie masz za takiego głupca, moja żono?

MAŁGORZATA.

Cóż Acan będziesz robił z muzykantem?

SFORKA.

Pracować.

MAŁGORZATA.

Zmyję ci głowę, panie siwoszu, jeżeli mi jeszcze będziesz gadał o tych napolitańskich sumach. Miej to w zanadrzu i basta — a nie pijcie z tym trombonem, jak bibuły. Pójdę na Mszę wyprosić u Boga trochę rozumu dla ciebie, bo już mi dziecinniejesz. Źle musiałeś prowadzić się w młodości, panie mężu, jeżeli w sześćdziesiątym roku przychodzi na ciebie grzybowa starość. Piaseczku tobie i kamyczków — baw się, lubko!... (Wychodzi).

SFORKA.

Głupia, głupia! To szczęście, że w księdze rachunków przepisałem na dwie ręce pytania pana Nuncyusza... Ha, pan trombonista!...

(KSIĄDZ wchodzi).

Do dyabła, to ksiądz Prokop. — Witam, ojciec wielebny. Czy po barana?

KSIĄDZ.

Niech mi jegomość wybaczy, że przerywam jakieś zatrudnienie, może rachunki. Chciałem widzieć pana Szczęsnego — mówiono mi, że całą noc niewiadomo gdzie przepędził i nie wrócił jeszcze do pałacu. Ważną mam rzecz do zakomunikowania panu Hrabiemu, rzecz, która obchodzi zdrowie i szczęście drogiej mu osoby. Udaję się do ciebie, panie Sforko, abyś był pośrednikiem między nami. Daj mi kawałek papieru i pióro — napiszę kilka słów do pana Szczęsnego, a ty, mój stary przyjacielu, zechcesz mu je jak najprędzej wręczyć.

SFORKA.

To mówiłeś, ojciec...

KSIĄDZ.

Prosiłem o kawałek papieru i pióro...

SFORKA.

Natychmiast... proszę siadać — może kieliszek wódeczki?

KSIĄDZ.

Na miłość Boga, panie Sforko! nie zatrzymuj mnie grzecznościami, bo muszę wrócić jak najśpieszniej czuwać nad nieszczęśliwą sierotą. Pić nie mogę z tobą, panie Sforka, albowiem mam odprawić Mszę żałobną.

SFORKA.

W czymże mogę służyć?

KSIĄDZ.

Proszę o kawałek papieru i pióro...

(Do siebie).

Czy ten starzec ogłuchł?

SFORKA.

A! kawałek papieru. Oto jest... siadaj i pisz, mości księże; wybac mi, że cię nie mogę zabawić rozmową — bo prawdziwie ważną mam rzecz do rozwiązania...

(Ksiądz pisze przy biurku).

SFORKA.

To dziwne! Wieczorem zdaje mi się, że ta fortuna nie jest niepodobną — a rano zdaje mi się, że to wszystko głupstwo. — Czy ja rozumny rano, a głupi wieczorem? — czy też rozumny wieczorem, a głupi rano?

(Wchodzi TROMBONISTA).

Ha! witaj, mości Garnoszu.

TROMBONISTA.

Sługa. — Co tu robi ten ksiądz?

SFORKA.

Wyprawię go natychmiast, mości Garnoszu. Bardzo obowiązu ci jestem, żeś raczył przyjść i dopomóż mnie biednemu... Natychmiast zbędziemy się tego księdza —

KSIĄDZ.

Panie Sforko, zaklinam ciebie na starą naszą zażyłość, abyś oddał ten list panu Szczęsnemu, skoro tylko powróci. To rzecz bardzo ważna! los wielu osób zależy od tego kawałka papieru...

SFORKA.

Bardzo dobrze; przyrzekam. Los zależy od kawałka papieru — zdarza się to często. Czy ten ksiądz wie o mojej historii?

KSIĄDZ.

Pokój temu domowi!

SFORKA.

Unizam się do nóg, Ojczy wielbny.

(KSIĄDZ odchodzi).

TROMBONISTA.

Cóż będziemy poczynać?

SFORKA.

Panie Garnoszu, zdarza się często na świecie, że ludzie grają w loteryę. Otóż, jeżeli los wielki wygrają, to są wielkimi panami... otóż... Cóż to jest los, mości trombonisto, co to jest los? — głupstwo — i nie głupstwo! Bo jeżeli stawiasz na loteryę, a nie wygrasz: to mówią ludzie, żeś głupi. A jeżeli wygrasz, to mówią ludzie, żeś rozumny. Cóż to więc jest rozum, panie trombonisto? — rozum — to los.

TROMBONISTA.

Postaw, panie Sforka, kufel — i daj ten papier, o którym bąkałeś... Obaczymy.

SFORKA.

Do Acana!

(Pije).

Otóż choćby te pytania do niczego nie prowadziły, to wszelako pij, panie trombonisto! Zdaje się, że ła-two będzie rozwiązać... Czytaj!

TROMBONISTA.

Ja czytam nuty na trombon pisane — ale skro-pisu nie łaśka.

SFORKA.

Słuchaj!... Łatwe do zadania
Ale trudne do rozwiązania
Zapytania...

TROMBONISTA.

Mówią, że trudne do rozwiązania?

SFORKA.

Chcą nas przestraszyć!... Odczytajmy i zacznie-my od najłatwiejszych...

(Czyta).

Primo: Dlaczego kij ma dwa końce?
Secundo: Co ja myślę?

TROMBONISTA.

Kto myśli, panie Sforka?

SFORKA.

Nic... Napisano: co ja myślę... i basta... i punkt. Ale posłuchaj dalej!...

Tertio: Jak najprędzej świat objechać?

Quarto: Co Bóg pierwaj stworzył, czy jajko, czy kurę?

Quinto: Co ja — ja?...

TROMBONISTA.

To, mości Sforka, głupie pytanie!... to głupie pytanie!...

SFORKA.

Sexto: Co więcej waży... czy funt piasku, czy funt żelaza?

Septimo: Czem byłby człowiek, gdyby nie był człowiekiem?

Octavo:

TROMBONISTA (przerywa).

Zacznijmy odpisywać na pierwsze pytanie, to drugie same się odpiszą...

SFORKA.

Trzeba przeczytać do końca.

Octavo: Dlaczego mówią: ma ćwieka we łbie?...

Nono: Dlaczego dziewięć pytań, a nie więcej zadano do rozwiązania?

W postskrypcie jeszcze dodano wierszem:

„Jeśli rozwiąże

Quaestiones, quae pendent,

Sforka intendent:

To będzie ksiązę...

„Prosimy jeszcze, aby wynalazł sposób puszczenia baniek kwadratowych z mydła... i przysłał nam je-

dnę bańkę do Medyolanu na próbkę, pocztą albo balonem.“

Cóż sądzisz Acan?

TROMBONISTA.

Sądzę, że bańkę z mydła trzeba wydmuchać. Inaczej, wszystko będzie jak bańka z mydła.

SFORKA.

Ale ja sądzę, że ostatek na ostatek... Na przykład, powiedz Acan, dlaczego kij ma dwa końce.

TROMBONISTA.

Dlaczego? jakto dlaczego?

SFORKA.

Mnie się to wszystko takim głupstwem wydaje, że przyznam ci się, mam ochotę plunąć... i basta.

TROMBONISTA.

Otóż ja przeciwnie... Radzę Acanu nie zrażać się trudnościami. — Ale pójdźmy do drugiego zapytania... czytaj pan!

SFORKA.

A z pierwszym co zrobić?

TROMBONISTA.

Pst!... pierwsze to głupstwo!... Co tam dalej?...

SFORKA.

Secundo... co ja myślę?

TROMBONISTA.

To bardzo łatwe do rozwiązania, co ja myślę...

SFORKA.

Ale co ja myślę?

TROMBONISTA.

Jakto co Acan myślisz? — Czy ja wiem, co Acan myśli?

SFORKA.

Ale kto to ten ja? —

TROMBONISTA.

Ten, co pyta Acana... To jasno, jak słońce...

SFORKA.

Może to się jakoś rozwiąże. Idźmy dalej... Jak najprędzej świat objechać?

TROMBONISTA.

To, mości Sforko, rzecz najłatwiejsza. Gdyby na świecie nie było morza, to pocztą... Gdyby nie było ziemi, tylko morze, to okrętem. Ponieważ jest i ziemia, i morze na świecie, więc objechać pocztą i okrętem! Pisz, panie Sforka: pocztą i okrętem.

SFORKA.

No, niech tak będzie! Choć mi się to nie bardzo podoba... pocztą i okrętem... Ujdzie!... ujdzie!...

TROMBONISTA.

A ja mówię Acanu, że to nawet bardzo ujdzie...

SFORKA.

Winien ci będę, panie trombonista... No basta!... dalej!... Pij, przyjacielu...

TROMBONISTA.

Widzisz, że nie tak straszny wilk, jak się wydaje.

SFORKA.

Hum! Hum!... Ale ty wiesz, że to trzeba wszystko wygotować przed wieczorem; bo jeżeli nie... to finfa...

TROMBONISTA.

Więc śpieszmy się, panie Sforcya!

SFORKA.

To już mnie Acan nazywasz panie Sforcya?

TROMBONISTA.

Ha! wszystko idzie jak z płatka. Czytaj, mości Sforko!

SFORKA.

Co pierwaj Bóg stworzył, czy jajko, czy kurę?

TROMBONISTA.

Jak się Acanu wydaje?

SFORKA.

Kurę.

TROMBONISTA.

Mógł wprawdzie stworzyć kurę, ale mógł stworzyć i jajko. Trzeba odpisać z pewnością.

SFORKA.

Ale gdyby stworzył jajko — któżby je wysiedział?

TROMBONISTA.

Kura.

SFORKA.

Omyliłem się na Acana imaginacyi, mości trombonisto! Jakżeż kura?... to głupia odpowiedź.

TROMBONISTA.

A ja dowiodę Acanu, że nie głupia. Ja pewny jestem, że jajko stworzył. A na przykład, gdyby kury nie było, to wiesz Acan, że ciepło człowieka może... albo w piecu...

SFORKA.

Ale kiedy pieców nie było, mości dobrodzieju!

TROMBONISTA.

To Ewa mogła wysiedzieć. Więc to rzecz najłatwiejsza do rozwiązania. — Każ Acan żonie swojej spróbować. A jeżeli wysiedzi jajko, to Bóg stworzył jajko.

SFORKA.

Ja nie chcę zaczepiać mojej żony.

TROMBONISTA.

Więc odpisz prosto: jajko — odpisz: jajko. Ja ci uręczam, że jajko.

SFORKA.

Zdaje mi się, że ja to wszystko przemienię, namyśliwszy się głęboko. A teraz, do czasu, niech tak będzie! — Czytajmy... Quinto: co to ja?

TROMBONISTA.

Ale to już było to pytanie.

SFORKA.

Gdzie?

TROMBONISTA.

Wyżej!... już rozwiązałem i zapomniałem dawno.

SFORKA.

Ale ja ci uręczam, że nie było... Co to ja?

TROMBONISTA.

Głupie pytanie, co to ja!

SFORKA.

Ty — trombonista.

TROMBONISTA.

Ha! więc pisz: trombonista.

SFORKA.

Za pozwoleniem! Któż wie, że Acan byłeś ze mną i pytałeś się mnie, co to ja? Owszem, nie trzeba, aby się domyślili ludzie, że Acan pomagałeś mi w skrypcie.

TROMBONISTA.

Ładu z Acanem dojść nie można!

SFORKA.

O! gdyby tu karła hetmańskiego! ma więcej rozum w garnku, niż cała muzyka Hetmana.

TROMBONISTA.

Karzeł by tobie inaczej nie odpowiedział, mości Sforko! Spytaj go: co to ja? a powie: trombonista. A karzeł spyta mnie, to mu powiem: jesteś karzeł. A spytaj mnie, panie Sforko, co to ja?

SFORKA.

Dalibóg od godziny pytam, co to ja?

TROMBONISTA.

Ty — indendent Sforka.

SFORKA.

Ja wiem, że ja indendent Sforka.

TROMBONISTA.

A dlaczegoż pytasz Acan o takie głupstwo?

SFORKA.

Ale kiedy to nie ja pytam Acana, ale ten papier pyta.

TROMBONISTA.

Jakto papier?

SFORKA.

Żegnam ciebie, panie trombonisto. Bałamucisz mnie i potem kłócisz się ze mną, jak z dzieckiem. Odczytam Acanu te pytania, jak sam na nie odpiszę.

TROMBONISTA.

Nie odpiszesz, panie Sforka — dalibóg nie odpiszesz!

SFORKA.

Peknę, a odpiszę.

TROMBONISTA.

Do dziś wieczora?

SFORKA.

Do dziś wieczora!

TROMBONISTA.

Na wszystkie?

SFORKA.

Co do joty!

TROMBONISTA.

I na bańkę z mydła odpiszesz?

SFORKA.

Bańka!... Dalibóg, nie pomyślałem o bańce.

TROMBONISTA.

Otóż jeszcze przez przyjaźń poradzę tobie, panie Sforko, względem bańki. Wszak powinna być kwadratowa?

SFORKA.

Tak.

TROMBONISTA.

Otóż trzeba wynaleźć kwadratową słomkę...

SFORKA.

I ja wiem o tem... ja wiem o tem... Ale jak posłać próbkę... pocztą!

TROMBONISTA.

Posłać mydło i kwadratową słomkę, to rzecz jasna. Niech sami Medyolańczycy puszczejają bańki.

SFORKA.

Prawdziwie! Pójdę na pole szukać słomki... a ty gdzie idziesz?

TROMBONISTA.

Grać na trombonie.

SFORKA.

Przyjdź Acan zajrzeć wieczorem w pytania.

TROMBONISTA.

Uniżam się do nóg.

SFORKA.

Wyjdziemy razem...

(Zapomina listu na stoliku — wychodzą).

SCENA II.

(Odkrywa się głąb teatru — ogromna sala zegarowa — wieża w głębi — stoliki nakryte zielonem suknem. Młodzież gra w karty, pije i pali lulki. KSIŃSKI pomiędzy nimi. Jedni grają, drudzy tłumami chodzą i rozmawiają; ciągły gwar i śmiech).

PIERWSZA GRUPA.

— O dwie butelki szampana!

— Na honor...

— Ale kiedy ja się zakładałam z tobą...

— Dajcie pokój... Zakładacie się o rzecz bardzo jasną dla drugich.

— Cha! cha! cha!... Widziałeś ty kiedyś Kościuszkę?

— Gdyby mu był szlachcic dał córkę, siedziałby teraz spokojnie i siał grykę. A tak — bruździ i hałasuje.

— Acan także podobno w konkurach nieszczęśliwy?

— Wygrał! wygrał Wschowski — płac szampana!...

— O co zakład?

— Mówilem wam, że gdyby się był ożenił Kościuszko z córką tego szlachcica, który pogardził biednym inżynierem: nie byłby pojechał do Ameryki i nie byłby dziś straszny człowiek.

— To tak, jak Kromwel, co już był wsiadł na okręt, płynąc do kolonii jako majtek. Aż tu rozkaz królewski przyszedł, aby okręt nie odpływał. Kromwel został — i z nudy zaczął być wielkim republikaninem.

— Co? ty Kościuszkę równasz do Kromwela?

— Słuchajcie — założył się Wschowski i nie może kupić szampana, bo tu darmo dają!

— Szampan taki, to nie szampan zakładowy!

— Do Wilna — kupi w Wilnie...

(KSIŃSKI wchodzi na stół).

KSIŃSKI.

Panowie! uciszcie się na chwilę! Panowie! proszę o chwilę milczenia!... Panowie! Oto całą noc przepędziliśmy wesoło na kartach, czekając na pana Hetmanowicza, który miał nam dowodzić — który się nie pokazał w zamku... Więc...

— Więc i który! — Brawo, Ksiński! — więc!...

KSIŃSKI.

Panowie! Oto pierścień Hetmana — uszanowanie! Otóż ja obowiązany jestem wziąć nad wami dowództwo i prowadzić na wskazane miejsce.

GŁOSY.

Czekać na pana Hrabiego!... Czekać — czekać!

KSIŃSKI.

Poczekamy nań jeszcze kwadrans. Dłuższa zwłoka ściągnie na mnie wielką odpowiedzialność. Skończyłem.

(Złazi ze stołu).

— Brawo mówca! podrzuć go — podrzuć go!

(Chwytają Ksińskiego i podrzucają w górę).

— Hej! zdjąć firanki i na firankach podrzucić!

KSIŃSKI.

Ale ja mam ostrogi — zaczepię się i rozedrę firanki. Dosyć, mości panowie! to za wysoko! dosyć! Bardzo proszę — bo się będę gniewał.

— Przestańcie już grać w pęcherzowy balon!

— Gdzie poeta? niech improwizuje!

— Albo niech pan Kleofas śpiewa piosenkę swojej kochanki, która, kiedy gra na gitarze, to zdaje się, że woda leje się ciurkiem w cynowe naczynie...

— Jaka woda?

— Z czego?

— Śpiewaj poeto piosenkę panny Anieli!

Poszła Filis do ogrodu,

Nie mówiąc matce powodu...

(Wchodzi SZCZĘSNY czarno ubrany. Gwar z początku głośny uciucha stopniami. Niektórzy ściskają Szczęsnego za rękę, inni kłaniają się z daleka).

KSIŃSKI.

Mamy ciebie, panie Hrabio. — Bardzo się cieszę, że przecie... Chcesz? zapoznam ciebie z głowami...

SZCZĘSNY.

Jakto z głowami?

KSIŃSKI.

Koledzy! widzę, że nasz hetman w różowym humorze... Wszak hetmanisz nam, panie Szczęsny? Gdzie to noc przepędziłeś? Widzę kwiatki polne pozaczepiane na twoim kontuszu i we włosach...

(Po cichu).

Cyt! u Maryny?

(Głośno).

Sentymentalnie z gwiazdami pan Szczęsny noc przepędził, moi moi koledzy szlachta, ale uręczam, że na koniu nie zaśnie.

JEDEN Z OBECNYCH.

Ale patrzaj, on dalibóg jak śpiący. Co jemu dolega?

SZCZĘSNY.

Proszę panów bawić się — i być jak we własnym domu... Panie Ksiński, bardzo mi smutno, że zamroziłem tak nagle wesołość...

KSIŃSKI.

Panie Hrabio, zaklinam ciebie: obudź się i bądź przecie człowiekiem! — tak nie pójdiesz z nami!

SZCZĘSNY.

To rzecz obojętna.

KSIŃSKI.

Jakto obojętna?

SZCZĘSNY.

Obojętna dla mnie... Panowie grają w karty?

GŁOS Z TŁUMU.

Faraonik... Panie Hrabio, spróbuj szczęścia!

SZCZĘSNY.

Szczęścia?

KSIŃSKI.

Dajcie pokój z faraonem, na Boga!

SZCZĘSNY.

I owszem, będę grać.

(Zbliża się do stołu).

JEDEN Z GOŚCI.

Co pan Hrabia stawia?

SZCZĘSNY.

Moją osobę — to jest, moje przedsięwzięcie. Jeżeli wygracie, będę z wami; jeżeli ja wygram, zrobię, co mi się podoba.

KSIĄSKI.

Szczęsny, to śmiesznie!

SZCZĘSNY.

Wcale nie! Mówię z wielkiem zastanowieniem się... Król...

(Ciągną faraona).

GOŚĆ.

Król!... Wygrałeś, panie Hrabio.

SZCZĘSNY.

Karta bankiera?

GOŚĆ.

Król... to rzecz dziwna!...

SZCZĘSNY.

W takim razie...

GOŚĆ.

Połowa sumy dla bankiera.

SZCZĘSNY.

Połowa mojej woli do was należy. — Cóż wy zrobicie z połową mojej woli?...

KSIĄSKI.

Połowę twojej woli mamy, panie Hrabio! to już wiele!... Musisz nam drugą darować!...

SZCZĘSNY.

Ha!... Zapomniałem spytać o cel wyprawy?

KSIŃSKI.

Jakto?... Zartujesz, panie Szczęsny!... Sprawa twojego ojca — sprawa narodu...

SZCZĘSNY.

Wy myślicie o sprawie narodu? Czy państwo wszyscy jesteście szlachta?

GŁOSY.

Wszyscy! wszyscy! wszyscy!

JEDEN.

Oprócz mnie.

SZCZĘSNY.

Kto to krzyknął: oprócz mnie?

KSIŃSKI.

Któryś z panów chciał pozartować.

SZCZĘSNY.

Niech ten, kto się nie zaparł, stanie przy mnie. Jakto? żaden z panów?

GŁOS.

Pan Hrabia jak Dyogenes, z latarnią szuka człowieka.

SZCZĘSNY.

Jak dziwnie ten głos zabrzmiał w sercu mojem!... Ja go muszę odkryć, tego człowieka. — Słuchajcie mnie, panowie! Jest coś w atmosferze rewolucyjnej tego zamku, co zapala moje zmysły i duszę. Konia i lancę!... Dajcie mi konia i lancę! — będę z wami. Ludzie — mrówki — robaki — kamienie — mijam w przelocie konnym. Nic, z którego nic zrobić nie można, a co się nazywa narodem — to wszystko w moich oczach przybrało dziwną błahość. Jeżeli wy nie macie dosyć ognia na topienie koron, dosyć brylantów na tworzenie innych: — to ja wam wleję cały ogień, wysypię na was wszystkie skarby duszy mojej. Bo ja wam przysięgam, że wasza myśl nigdy nie ogarniała takich przestrzeni, jak moja powszednia kraina marzeń! marzeń!

GŁOSY.

Vivat Szczęsny! Vivat! vivat!...

SZCZĘSNY.

Cicho! — Wiecie wy, że my stworzymy kraj z brązową twarzą dawnych narodów? — Miecz będzie dłu-tem... Serce kraju ukształcimy na wzór żelaznego wołu Dyonizyusa. — Będzie ryczeć okropnie paszczą ognistą na cztery końce świata — jękiem zamkniętych i palonych we wnętrzu nędzarzy i męczenników... Czy serce wasze bije litością?... Ojcowie nasi mieli prawo zabijania, a my nie możemy wystawić teatru gladyatorów na zahartowanie serca dzieci naszych. Powiedzcież, żaden z was nie doznał niebieskiej rozkoszy? nie czuł się wyższą istotą, kiedy go chłopci wioski jego czcili jak Boga i przyznawali zwierzęcym instynktem wyższość natury? — Szaleńcy i przekłeci, co chcą pozbawić następne pokolenia tego uroku, tej puścizny, dawanej przez los szczęścia, zaczętego w kołysce, a skończonego wspaniałością marmurowych grobowców!...

KSIŃSKI.

Szczęsny!...

SZCZĘSNY.

Wszystkie wasze dumy pomieszczą się w mojem sercu. Staralem się długo otruć żywotną myśl wielkości błahymi napojami uczuć. I nie mogłem!... Myśleliście, że wy innie będziecie prowadzić... Ja was wtrącę w taki wir, że będziecie jak ludzie pijani albo lunatycy wchodzić po gzymsach ogromnej budowy. Biada temu, co się przebudzi — któremu nad uchem zawołają: zdrajca!... Zbudzi się — i upadnie w przepaść. Macie wy czoła tak blade, że na oczy świata błędne nie będą? — albo policzki tak rumiane, że napiętnowane uderzeniem całego ludu, płonąć nie będą? Jeżeli utworzeni jesteście z żelaza, to mówię wam, że będę z wami. — Bo ja szukałem czegoś twardego i wiel-

kiego na ziemi — będę zgrzytał i giął w ręku żelazne sztaby, a raz zasnawszy snem okropnym upojenia — nie obudzą się, póki ostatni z was nie skona za moją wielkość i dumę. Duma jest duszą duszy mojej. — Będę szczęśliwy, wywracając przesady i prawa — jak byłem szczęśliwy nieraz, wygrywając partję kościanych szachów. Duma jest to harfa, która ma tysiąc strun — tysiąc wielkich i cienkich tonów, tysiąc wzniosłych i błahych tryumfów. — Stańcie wy na szachownicy świata

(Tu braknie dwóch kart w manuskrypcie).

SZCZĘSNY.

.....pismu, które ja sam podpisałem.

KSIŃSKI.

Pan Hrabia odpowiesz przed ojcem!

SZCZĘSNY.

Podpisałeś, panie Ksiński?

KSIŃSKI.

Podpisałem.

SZCZĘSNY.

Koszta podjęte przez panów zapewne zwrócone będą przez mego ojca. Zegnam was, panowie!

KSIŃSKI.

Dalibóg, tęgi z ciebie chłopiec, panie Szczęsny! zadrwiłeś z nas.

SZCZĘSNY.

Nie! to mi wcale obojętne. Bywaj zdrów, sąsiedzie!

KSIŃSKI.

Zarekomenduj mnie twojemu przyjacielowi...

SZCZĘSNY.

Poznam was kiedyś... To bardzo godny człowiek — ale nie wiem jego nazwiska.

KSIŃSKI.

Upadam do nóg.

SZCZĘSNY.

Chodź tu!... Jakiś mam ciężar na sercu. Przyrzecz mi, że nikomu nie powiesz o tej dzisiejszej scenie. Dziecinna mi się wydaje, marzyliśmy kiedyś z tobą w szkołach o wielkiej sławie. Widzisz, że ja teraz pokazuję maryonетки, zabity jestem na sercu, jak inni ludzie zabici na duszy. Jutro może będę i na duszy zabity...

MARYNA.

Panie Szczesny, pan się gniewa na Marynę?

SZCZĘSNY.

Co? ty płaczesz, dziewczyno! Dalibóg ładna, jak aniołek!... chodź...

(Całuje ją w czoło).

Gdyby widok tej dziewczyny nie obudzał w sercu mojem niekczemnych pamiątek, kto wie, czem byłbym teraz.

MARYNA.

To już ja paniczowi niepotrzebna?

SZCZĘSNY.

Idź do chaty — weź swoją płócienną spodnicę i wianek bławatkowy. I siedź w oknie, uśmiechając się do młodych chłopców. Przyślę ci posag...

MARYNA.

Ale panicz mnie będzie zawsze kochał?

SZCZĘSNY.

Idź, kochaj męża i potem kochaj dzieci twoje! Niech twoje życie będzie spokojne i szczęśliwe!

MARYNA.

Jak panicz mówi, to mi się chce płakać... Mnie tak dobrze było, kiedy się panicz do mnie uśmiechał.

SZCZĘSNY.

Zapomnisz o mnie...

MARYNA.

Kto wie!... A może zawsze, jak pomyślę o panu... jak pomyślę o panu... kochaj mnie panicz, bo ja biedna dziewczyna!...

SZCZĘSNY.

Słuchaj: czy jak umrę, posadzisz mi różdżkę rozmarynu na mogile?

MARYNA.

Panicz nie umrze! Panicz nie umrze!... Jak panicz mówi takie rzeczy — bo już panicz raz mówił, że chce umrzeć: to ja płakałam przedząc na kołowrotku.

SZCZĘSNY.

Posadzisz mi garstkę rozmarynu... Ale nie rwij tego rozmarynu potem do ślubnego wianka, bo to mnie bardzo zasmuci. Idź do chaty...

MARYNA.

Ale pan przyjdzie?

SZCZĘSNY.

Może... jutro... przyślę ci posag...

MARYNA.

Ale pan przyjdzie...

(Odchodzi).

NIEZNAJOMY.

Szczęśny, ty marzysz o jakiejś smutnej rzeczy...

SZCZĘSNY.

Nie wiem, dlaczego — ale jestem senny. Czy sądzisz, że mój ojciec...

NIEZNAJOMY.

Na ojca twego padają podejrzenia — ale nie lękaj się o jego życie. — Lud nasz przywykł szanować wielką władzę — i blaskiem bogactw odepchnięty jest daleko od możnych ludzi...

SZCZĘSNY.

Ale są jakie podejrzenia na moim ojcu?

NIEZNAJOMY.

Tak, oskarżają go o dumę — i ambicję... Mówią nawet... ale to tylko między wyższemi osobami...

SZCZĘSNY.

Gdyby mnie nazwano zdrajcą — zdrajcy?... Ty jedziesz do Wilna...

NIEZNAJOMY.

Tak.

SZCZĘSNY.

Czuwaj nad nim!... weź arabskiego konia z mojej stajni. Jeżeliby co się zdarzyło tego wieczora, znajdziesz mnie jeszcze...

NIEZNAJOMY.

Co to znaczy: jeszcze?

SZCZĘSNY.

Ojciec mój niedoczekawszy się swoich ludzi, zapewne jutro rano wróci do zamku.

NIEZNAJOMY.

Cóż zamyślasz robić?

SZCZĘSNY.

Nic... W bramie będzie sosnowy próg — z czterech desek...

NIEZNAJOMY.

Szczesny, czyliż ja ciebie widzę wyniszczonym przez pierwszy czyn twojego życia? Wysiłkeś się, rzucając pierwszy pocisk na świat spróchniały?

SZCZĘSNY.

Nie pytaj, co się dzieje w sercu mojem... Słyszałeś, jakem gadał do tych ludzi, kiedy byłem w zapale.

NIEZNAJOMY.

Kłamałeś sam sobie i tym ludziom.

SZCZĘSNY.

Kto wie?... Może w tych wyrazach była część najprawdziwsza myśli mojej —

NIEZNAJOMY.

Nie wierzę!... nie wierzę, na Boga!

SZCZĘSNY.

Jedź do Wilna i zostaw mnie samotności... Przebyłem wiele smutnych wypadków, a mam przecucie, że to nie koniec wszystkiego...

AKT PIĄTY.

SCENA II.¹⁾

(Sala w pałacu, jak w akcie I).

(AMELIA prowadzi maleńkiego MICHASIA za rękę).

AMELIA.

Nie wiesz ty, gdzie braciszek Szczęsny?

MICHAŚ.

Widziałem go, siostrzyczko. Spał na sofie zielonej.

AMELIA.

Spał? Od nikogo dowiedzieć się nie mogę, co się stało w tym zamku. Taki był gwar — teraz tak cicho i spokojnie.

MICHAŚ.

Czy ty, Ameleczek, powiesz mi dziś jaką śmieszną bajeczkę.

AMELIA.

Wczoraj zapomnieliśmy zmówić pacierz, Michasiu.

MICHAŚ.

Cóż to szkodzi, Amelko?

AMELIA.

Bozio może się będzie gniewał na ciebie.

¹⁾ Sceny I tego aktu braknie. (Przyp. Wyd.)

MICHAS.

Nie będzie gniewał się, nie będzie — ja mu dam bębenek.

AMELIA.

Mój kochany wróbelku, chodź, pocałuj mnie, mocno — mocno...

MICHAS.

O tak!

Rzuca się jej na szyję. — SZCZĘSNY wchodzi zadumany).

SZCZĘSNY.

Co to? już noc?... Jakiś sen ciężki spadł na moje powieki. Spię od południa.

(Spostrzega Amelię).

Ha! — Amelio, dobry wieczór. Spałem, jak przed burzą, ciężko i głęboko... Czy pogodny czas?

AMELIA.

Księżyc świeci, wieczór bardzo spokojny i chłodny.

SZCZĘSNY.

Pogodny?

(Otwiera okno).

Czy nie przyjechał ojciec?

AMELIA.

Nie. — Chodź Michasiu spać, już późno...

MICHAS.

Nie późno — nie późno!... Braciszku, pohujdaj mnie na nodze!...

SZCZĘSNY.

No — trzymaj się, chłopcze.

MICHAS.

Jeszcze — jeszcze!

SZCZĘSNY.

Dosyć... już pojedziemy na koniku.

AMELIA.

Jeżeli grzecznie zmówisz paciorek.

MICHAŚ.

To ja przed braciszkiem zmówię paciorek.

AMELIA.

Dobrze. Klęknij tu na dywanie i złóż rączki. Mów za mną: Boże...

MICHAŚ.

Bozio...

AMELIA.

Daj zdrowie...

MICHAŚ.

Daj zdrowie...

AMELIA.

I szczęście...

MICHAŚ.

I szczęście...

AMELIA.

Mojemu papie...

MICHAŚ.

Mojemu papie...

AMELIA.

Bratu Szczęsnemu — siostrze Amelce...

MICHAŚ.

Bratu Szczęsnemu i siostrzyczce Amelce...

AMELIA.

I wszystkim ludziom.

MICHAŚ.

I wszystkim ludziom.

AMELIA.

Zmiłuj się, Boże, i weź do Nieba...

MICHAŚ.

Zmiłuj się, Boże, i weź do Nieba...

AMELIA.

Mamę moją ...

MICHAŚ.

Mamę moją ...

AMELIA.

I miej litość ...

MICHAŚ.

I miej litość ...

AMELIA.

Nad mamą Amelki.

MICHAŚ.

Nad mamą Amelki.

AMELIA.

Boże ...

MICHAŚ.

Boże ...

AMELIA.

Daj Michasiowi rozum ...

MICHAŚ.

Daj Michasiowi rozum ...

AMELIA.

I kochaj mnie, jak będę grzeczny ...

MICHAŚ.

I kochaj mnie, jak będę grzeczny ...

AMELIA.

Amen.

MICHAŚ.

Amen.

AMELIA.

Szczesny, jak daleko od nas czas, kiedy mówiliśmy tak cichy pacierz ...

SZCZESNY.

Bardzo daleko!

AMELIA.

Wiesz ty, jaki smutny wypadek w zamku? Biedny staruszek Sforka zwaryował — żona powiozła go do Wilna do szpitalu Bonifratów.

SZCZĘSNY.

Jakto do szpitalu?

AMELIA.

Mówi, że tam bardzo dobry doktor — i dlatego woli męża oddać pod dozór dobrych księży, niż go wystawiać w zamku na śmiech lokai.

SZCZĘSNY.

Cóż za przyczyna waryacy?

AMELIA.

Żona pana Sforki wróciła z kościoła i zastała męża puszczonego bańki z mydła. Puszczał je i śmiał się — dmuchał i płakał. Rozgniewana i zadziwiona staruszką rozbiła spodek filiżanki z mydlaną wodą — i połamała słomki. Starzec rzucił się na nią, jak wściekły — aż nareszcie musiano go związać. Widziałam, jak go związanego wynieśli ludzie i posadzili w kałamaszce. Pytał wszystkich: co to ja? co ja myślę? — Hajduki śmiali się — a żona biedaczka tak płakała, że aż litość była patrzeć...

SZCZĘSNY.

Waryacya — to rzecz okropna!... Idź połóż spać Michasia... Przyjdę potem pomówić z tobą... Wiele mam smutnych myśli, które dawno leżą na sercu. Przyjdę do ciebie, siostró, może się wypowiadam z całego życia.

AMELIA.

Mój najmilszy, będę ciebie czekać i nastroję moją harfę... Pocałuj braciszka, Michasiu, pójdziemy spać...

MICHAŚ.

A jutro na koniku...

AMELIA.

Będę cię czekać, Szczęśny...

(Odchodzi z dzieckiem).

SZCZĘSNY.

Jak sen dziwnie odświeża i hartuje myśli. Zdaje mi się, że gotów jestem zacząć drogę czynnego życia. — Myślałem o śmierci, jak o ostatniem schronieniu. Nie! Zacznę jeszcze walczyć z wypadkami i z ludźmi — wytrzymam spojrzenia ojca — i pokonam go spokojnością czoła...

(Wchodzi SŁUGA).

SŁUGA.

Panie! dziwne biegają wieści. — Żydzi mówią we wsi, że rewolucya w Wilnie.

SZCZĘSNY.

Rewolucya?... dzisiaj?...

SŁUGA.

Powiadają, że zaczęła się o siódmej godzinie wieczorem... Wzięto arsenał... lud cały uzbrojony...

SZCZĘSNY.

Każ osiodłać konie! zbierz co jest ludzi w zamku, niech się uzbroją natychmiast! natychmiast!

SŁUGA.

Żyd arendarz, rozsądny człowiek, radził, aby illuminować zamek: to płyty idące do Wilna zaniósą wieść o tem, że się nasz pan zdeklarował...

SZCZĘSNY.

Nie trzeba!... Nasz pan w Wilnie... Nie lubię tych świateł, co z poza szyb rzucają jakieś blade światła na pokoje. Osiodłać konie!

SŁUGA.

Mówią jeszcze żydzi, że kilka dni temu była rewolucya w Warszawie...

SZCZĘSNY.

Osiodłać konie!...

(SŁUGA odchodzi).

Warszawa — Wilno — Polska cała — naród — ja. — Orszak ogromnych wypadków przesuwają się przed moimi oczyma. Jak się weń wnieść — jak stanąć — gdzie?... Czem być?... Czem będzie mój ojciec?... O! ja mu się rzucę do nóg i będę płakał jak dziecko, prosząc za biednymi ludźmi, co się miotają w ogromnej sieci wypadków. Zdaje się, że słyszę krzyk rewolucyjny ozywających gruzów... Boże wielki! ja się dawno nie modliłem do Ciebie, a teraz czuję serce moje wołające z głębi wnętrza o litość nad nami... Nad nami? Czem ja jestem? Ja nie powstałem!... Krzyczę między czterema murami wten czas, kiedy inni umierają w milczeniu... Będę spokojnie patrzył na walkę ludu, jak na rzeź gladiatorów... W imię Boga idę skonać!...

(Wstaje i chce wychodzić. CIEN HETMANA wchodzi przez drzwi przedpokoju, staje na środku i macha ręką na Szczęsnego, aby został).

SZCZĘSNY.

Ojcie... ty wracasz?... Co mamy robić?

(Cień pokazuje ręką, aby został).

Ojcie... ale mów!... Przecie ty będziesz z narodem?...

CIEN.

(Przechodzi przez salę i wchodzi do gabinetu).

O! o! o!...

SZCZĘSNY.

Na Boga!... taki cichy i biały... włosy mi powstają na głowie...

(Dzwoni — wchodzi sługa).

Co to? Pan przyjechał?... co wam rozkazał?... czy mówił do was?...

SŁUGA.

Pan?!

SZCZĘSNY.

Czy byli ludzie w przedpokoju?

SŁUGA.

Było nas czterech.

SZCZĘSNY.

To spaliście pewnie! Idź do gabinetu i zapytaj pana, czy nie chce czego.

SŁUGA.

Ale ja przysięgam panu Hrabiemu, że pan Hetman nie wrócił. — Słyszelibyśmy zajeżdżający powóz.

SZCZĘSNY.

Musiał konno przyjechać... Jest teraz w tym gabinecie — zobacz...

(Sługa otwiera drzwi do gabinetu).

SŁUGA.

Panie Hrabio — tu niema żywej duszy.

SZCZĘSNY.

Kłamiesz!... Mój ojcie!...

(Patrzy do gabinetu).

O!... czy ja dostałem pomieszania zmysłów?... szklanek wody!

GŁOS HETMANA.

Szklanek wody!...

SZCZĘSNY.

Czy słyszałeś?... Wszak to głos mojego ojca — prosi o szklanek wody.

SŁUGA.

Ja nic nie słyszałem, panie.

SZCZĘSNY.

Ale ja przysięgam, że słyszałem głos mego ojca...

SŁUGA.

Gdzie?

SZCZĘSNY.

Tu!

(Uderza nogą).

Może wszedł do pokojów na pierwszym piętrze — szukajcie ze światłami, może jest na pierwszym piętrze...

SLUGA.

Ale pan mówiłeś, że wszedł do tego gabinetu... Z gabinetu niema wyjścia.

SZCZĘSNY.

Logika sługi... to rzecz dziwna!... Idź, bo ja muszę być chory... Nie mów nikomu w zamku... Na Boga, nie mów nikomu!... bo ja muszę być chory...

SLUGA.

Czy zawołać doktora?...

SZCZĘSNY.

Nie — nie!... Co to za tętent?... Ktoś jedzie konno w mojej głowie.

GŁOS (w przedpokoju).

Gdzie pan Szczęsny! gdzie Szczęsny?...

(Wpada NIEZNAJOMY).

NIEZNAJOMY.

Szczęśny! Szczęśny!...

(Do sługi).

Odejdź!...

Sługa odchodzi).

SZCZĘSNY (odpycha NIEZNAJOMEGO, patrzy na niego długo).

Ojciec mój — musiał umrzeć... Ja widziałem cień mojego ojca... Ojciec mój musiał umrzeć...

NIEZNAJOMY.

Umarł.

SZCZĘSNY.

Ha!...

(Pada na krzesło).

NIEZNAJOMY.

Nie wiem, co mu powiedzieć...

SZCZĘSNY.

Daj mi rękę... pomóż mi wstać... trzeba wiedzieć o wszystkim... Wiesz... a przynajmniej dowiedz mi w godzinie nieszczęścia, że mnie masz za człowieka. Opowiedz wszystko... jak tam było... w Wilnie. Patrz mi ciągle w oczy i trzymaj oczyma myśl moją, bo mi się głowa zawraca... Ale powiedz wszystko... bo jeżeli moja imaginacya będzie musiała kończyć obrazy, to gotów jestem — rozumiesz?... Co widziałeś?...

NIEZNAJOMY.

Siadź.

SZCZĘSNY.

Nie... stać będę... lżej... opowiadaj!...

NIEZNAJOMY.

Otóż... w nocy o godzinie siódmej Jasiński z trzy-stu ludźmi przeszedł wyłomem muru koło Ostrejbramy — księżycą jeszcze nie było — przed Ostrobramą świeciła lampa... Spiskowi idąc przed nią, zegnali się... i cicho podsunęli się wszyscy pod odwach naprzeciw ratusza. Jasiński poskoczył szybko i zabił szyldwachę, tak że Moskał nie jęknął... Chwycił za karabin. Spiskowi rozebrali broń z kozłów i tarabany. Jasiński rozesłał barabańszczyków na wszystkie ulice — i rozkazał, aby skoro uderzy ósma godzina, wszyscy zaczęli bębnić. Sam ulicą zamkową z dwiestu pięćdziesięciu ludźmi poszedł na Arsenał... Uderzyła ósma... we wszystkich ulicach ozwały się bębny — Moskale w popłochu sądzili, że na każdej ulicy stoi oddział żołnierzy — i uciekali od bębna do bębna... Jasiński wziął arsenał — i kazał bić we dzwony... Okropny rozgłos dzwonów obudził lud — zaczął w arsenale zbierać się — broń rozebrał i mordował Moskali... Byłem przy Jasińskim — wszyscy polscy panowie będący w Wilnie nie mieli się czego lękać — bo lud zajęty był Moskalami... Wtem jakiś stary przedziera się do Jasińskiego i podaje mu plikę papierów. Jasiński kazał po-

dać pochodnie i przeczytawszy papiery, plunął i rzu-
cił je ze wzgardą. — Lud rozerwał między siebie li-
sty... zaczął się zbierać koło tych, którzy umieli czy-
tać, i długo nie mogłem pojąć tej sceny. Myślałem,
że to były proklamacye i manifesta... Nagle sły-
szę... krzyk z tysiącznych ust! Hetman zdrajca!...
potem... jeszcze okropniejsze słowo...

SZCZĘSNY.

Mów!

NIEZNAJOMY.

Wieszać!...

(Szczęsny chwije się cały i daje znak ręką).

Przedzierając się, a raczej niesiony z falą ludu,
oparłem się aż o sztachety pałacu twego — Hetma-
na... Lud zapchał całe schody — i wył, jak hyena...
Nagle coś zleciało z otwartego okna i przebiło się na
pół na żelaznych sztachetach... to był karzeł. — Sko-
nał wijąc się jak robak na ostrzu żelaznem...

(Szczęsny trzęsie się).

W kilka chwil potem wyprowadzono... Błady był,
ale spokojny.

SZCZĘSNY.

Ubrany?

NIEZNAJOMY.

W szlafroku. W ręku coś ścisnął — tak mocno,
że nikt mu nie mógł ręki otworzyć.

SZCZĘSNY.

Mówił co?

NIEZNAJOMY.

Mówił: szklanke wody.

SZCZĘSNY.

Dali mu?

NIEZNAJOMY.

Jeden w tłumie chciał lud odwrócić namową od
zapędu: chciał, aby sądowi oddano nieszczęśliwego...

(Szczęsny ścisnął za rękę).

Potem jakiś ksiądz zbliżył się i słuchał spowiedzi. Spowiadający się był nieco roztargniony i patrzył często.

SZCZĘSNY.

Nie dręcz mnie!... patrzył w stronę zamku... czekał, jeszcze czekał!...

NIEZNAJOMY.

Spokojny był... i uśmiechnął się. Potem otworzył dłoń ściśnioną — w dłoni była papierowa tabakierka — zażył... i jednemu człowiekowi, co nic nie mówił i patrzył na niego, oddał tabakierkę.

(Szczęsny wyciąga rękę, ale nagle ją odsuwa machinalnie).

Krótko cierpiał...

SZCZĘSNY.

Jak krótko?...

NIEZNAJOMY.

Pół minuty, nie więcej...

(Szczęsny dobywa zegarka i patrzy).

SZCZĘSNY.

Ale to długo!... patrz, jak to długo!... widzisz, że ja spokojny... Bądź zdrow!

(Chce iść).

NIEZNAJOMY.

Szczęśny! Na miłość Boga, gdzie idziesz?

SZCZĘSNY.

Ale... idę odczepić ojca z szubienicy.

NIEZNAJOMY.

Spokoiności — rozwagi, mój przyjacielu!

SZCZĘSNY.

Ja nie zabiłem ojca mego — ale gdybym był pojechał z ludźmi przed kilku godzinami, to mój ojciec jeszczeby żył. Ale ja nie zabiłem mego ojca. — Czy sądzisz, że ja mógłbym być go obronić?...

NIEZNAJOMY.

Nie, na Boga nie!

SZCZĘSNY.

Tak! — przysięgam, tak, mogłem go być obro-
nić!... Przekonaj mnie, że nie — bo padnę trupem
na podłogę...

NIEZNAJOMY.

On nie może płakać... Szczęsny, daj rękę.

(Kładzie mu w rękę tabakierkę).

SZCZĘSNY.

O!... tabakierka.

(Zakrywa oczy i słyhać łkanie).

NIEZNAJOMY.

Biada! biada!

SZCZĘSNY.

Patrz — na tabakierce mój portret, kiedy by-
łem dzieckiem. Widzisz, miałem taką różową twarz,
taki uśmiech... Ojciec mnie takim całował i pieścił
na kolanach. Biedny mój ojciec! biedny mój ojciec!...
Idź! bo ty płakać nie możesz... Zaklinam ciebie, nie
patrzaj na mnie — ja chcę być dzieckiem.

(Przychodzi ŚLUGA).

ŚLUGA.

Panie! przyjechałem co koń miał ducha z Wilna.
Lud wściekły wali się tłumem z miasta rabować ten za-
mek. Za półtorej godziny będzie w bramie... Ojciec
pana zamordowany...

SZCZĘSNY.

Ha!... lud się wali rabować zamek?

NIEZNAJOMY.

Szczęsny, zaklinam ciebie: nie bierz przedsięwzię-
cia oporu. Trzeba mieć Rzymianina serce, Szczęsny...
trzeba lud wyjący zostawić, aby się wysilił na ścianach
i zwierciadłach. Trzeba się poświęcić, Szczęsny!

SZCZĘSNY.

Ha! chcesz, abym ja był latarnią zamku mojego?...

NIEZNAJOMY.

O! na Boga, nie mów tak okropnie!

SZCZĘSNY.

Czy on mnie zna, ten motłoch?... Czy nie zechce rzucić mi w oczy skrwawioną w sercu ojca mego chustką?

(Dzwoni — wchodzi SŁUGA).

Wszyscy!

(Dzwoni. — Wiele SŁUG).

Rozbierzcie między siebie wszystko złoto, które się znajduje w skarbcu — i idźcie spokojnie czekać mnie na górze o pół mili stąd. Nie ruszać sprzętów, a tak sprawiać się spokojnie, aby siostra moja nie posłyszała najmniejszego szelestu! Będę z wami o godzinie pierwszej w nocy; ale rozkazuję — ja teraz pan wasz, aby przed dwunastą godziną żadnego już w zamku nie było.

SŁUDZY.

Słuchamy...

SZCZĘSNY.

Dziękuję wam za wierne usługi. Czy są między wami tacy, co od dzieciństwa znają ojca mego?

(Kilku sług wychodzi).

Módlcie się za duszę pana waszego! —

(Ściska za rękę, daje znak, aby odeszli. Odechodzą. Szczęsny chodzi po pokoju).

NIEZNAJOMY.

Co myślisz robić?

SZCZĘSNY.

Powiedziałeś, że mam serce Rzymianina... Wy-sadzę zamek w powietrze... żadna go ręka nie dotknie... na wieży są prochy...

NIEZNAJOMY.

Jakto? więc chcesz zginąć? — słuchaj: ja jestem silny — wyniosę ciebie, jak dziecko z zamku.

SZCZĘSNY.

Nie! wszak można zamek wysadzić na powietrze i żyć. Mam sposób — sam mi dopomożesz... Wiesz, że nawet nie chciałbym zginąć. Muszę oczyścić w oczach narodów dwie pamiątki, zmazać dwie plamy. — Słuchaj! na wieży są prochy — włożysz ten pistolet nabity rurą do jaszczyka — cyngiel pistoletu połączysz długim sznurkiem z mechaniką zegara na wieży. Przywiążesz go do pałusza Pogoni litewskiej. Po wybiciu godziny dwunastej w nocy ta Pogoń podnosi pałasz i uderza w orła rosyjskiego — podnosząc pałasz, pociągnie sznurkiem za cyngiel pistoletu i wszystko będzie... popiołem, błyskawicą, niczem... Uczyni to!

NIEZNAJOMY.

Ale ty nie zostaniesz w zamku?

SZCZĘSNY.

Słuchaj! Oto biorę na siebie zbawienie siostry mojej i braciszka, którzy nie wiedzą o niczem i śpią w tym pokoju. Jakże chcesz, abym ja z nimi skonał? zostanę chwilę po tobie w zamku, aby moją siostrę przygotować i nie przestraszyć boleścią mojej twarzy. Muszę dlatego przez chwilę samotnie pomyśleć i uspokoić się, aby uspokoić drugich. Czekaj mnie na drugiej stronie Wilii, ale przyrządź pierwszej wszystko, jak mówiłem... przysięgnij!

NIEZNAJOMY.

Przysięgam...

SZCZĘSNY.

Chodź, uściśnij mnie!... Prawda, że to noc okropna?...

NIEZNAJOMY.

Będzie mi się śniła w grobie nawet.

SZCZĘSNY.

Czekaj! w grobie się nic nie śni... Czy sądzisz, że myśl jest tak silna, że jej nie mogą całkiem star-

gać wypadki okropne życia? Czy dusza jest niewypaloną nigdy lampą? Czy ziemia grobowa może dać nowe kolory i siły wilgocią, jak kwiatowi? Czy dlatego niszczy ciało, aby dusza śnić mogła?... więc niszczy i myśl. Gdybyś ty mógł teraz rozwiązać tę zagadkę wszystkich religii na świecie... Ja nie mogę do Nieba zanieść pamiątki tej nocy. A jeżeli nie będę pamiętał o tem, czem byłem: — cóż znaczy to słowo: być?

NIEZNAJOMY.

O jakże ty złamany nieszczęściem!

SZCZĘSNY.

I owszem: myślę — więc żyję...

NIEZNAJOMY.

Czekam ciebie z drugiej strony rzeki.

SZCZĘSNY.

Nie żegnamy się...

(Odechodzi NIEZNAJOMY).

Nie widzę żadnej drogi przed sobą... Zdaje się, że chodzę na gzymsach zamku. Ja... i siostra... i to dziecko... dziecko, co się modliło dziś jeszcze: Boże, daj zdrowie!... Jak głos tego dziecka stał się piosenką duszy mojej... Boże, daj zdrowie! Ale co robić? powiedz wahająca się myśli, co robić?

(KSIĄDZ wchodzi).

(Dokończenia dramatu niema).

BEATRYX CENCI.

TRAGEDIA

W PIĘCIU AKTACH

OSOBY:

ORSINI, Kardynał.

BEATRYX CENCI.

TOMASO CENCI

AZO CENCI

} jej bracia.

FRANCESCO CENCI, jej ojciec.

LUCREZIA CENCI, jej macocha.

PIETRO NEGRI, domownik rodziny Cencich.

GIANO GIANI, malarz.

CESARIO, przyjaciel Gianiego.

PADRE ANSELMO, zakonnik.

DON LUCENZIO, prawnik.

BARYGIEL, dozorca więzienia.

DOLORIDA, jego córka.

INKWIZYTOR.

SIGNOR PAMFILIO, mieszczanin.

TRASTEWERINA, przekupka.

ODŹWIERNY WIĘZIENIA.

Trzy WIEDŹMY.

Penitenci. Sędziowie. Mieszczanie itd.

Rzecz dzieje się w Rzymie, w roku 1599.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

(W pałacu Cencich).

OJCIEC CENCI i BEATRYX.

BEATRYX.

Puszczaj mnie, ojcze!

OJCIEC.

Ha! kłasasz mnie, wężu!

(Wchodzi MATKA CENCI).

MATKA.

Puść ją! Beatryx, odejdz! Cóż, człowieku?

OJCIEC.

Cóż. jędo?

MATKA.

W porę nadeszłam —

OJCIEC.

Zawcześnie!

MATKA.

Ja córkę moją oddam do klasztoru. —

OJCIEC.

Ja córkę moją kocham...

MATKA.

Wężu!...

OJCIEC.

Wiedźmo!...

MATKA.

Wężu!...

OJCIEC.

Syreno!

MATKA.

Idź spać, jesteś pijany!...

Gadając toczysz pianę z ust — idź zaśnij...

OJCIEC.

Ohydna strega — ona nigdy nie śpi.

(Wychodzi).

MATKA.

Idź do alkowy, idź! — O Eumenidy!

Dajcie mi węzów garść — niech mu je cisnę

Do jego łoża! dajcie mi tę straszną

Pochodnię, która w waszych bladych rękach

Płonie błękitno: niechaj tem piekielnem

Światłem zapalę dom, gdzie takie rzeczy

Ohydne dzieją się między ścianami!

(Do BEATRYCZY).

Cyt, córko! Chodź tu...

BEATRYX.

Matko! ja nieszczęsna!

MATKA.

Chodź do pokoju mego — noc głęboka —

Nie drzyj! zachowaj strach i inną porę.

(Wychodzi).

SCEN/ II.

TRZY WIDZMY.

I.

Wołała nas — jesteśmy trz —

II.

Spokojna noc, ale dom drż —

III.

Poszedł do krwawego łoża

I śpi —

I.

I śpi —

II.

I śpi —

III.

Daj noża!

I.

Czy sama myślisz robić czyn?

Jest matka, jest córka, jest syn...

II.

Żegnajmy węzami drzwi —

To nasz dom, to pałac krwi —

Potępione całe plemię. —

Szach pod ziemię — pod ziemię — pod ziemię!

SCENA III.

MATKA CENCI i BEATRYX (wracają).

MATKA.

Co to za szelest? Ten dom pełny szmerów
Nieodgadnionych...

BEATRYX.

Słyszałaś co, matko?

MATKA.

Gdym odemknęła drzwi, jakby gasnącą

Widziałem tutaj błyskawicę — Ave!

Idź spać, idź błada spać! Nie myśl o niczem.

(BEATRYX wychodzi).

Władze piekielne! jeśli wy jesteście

Duchami wszystko wiedzącymi; jeśli

Można śmiertelnej wyzwać was i nagiąć

Do posłuszeństwa; jeśli to wy, duchy,
Trzęsicie domem tym jak wicher burzy,
Wtenczas gdy parne powietrze bez ruchu
Cięży na myślach ludzkich... ciemne władze,
Eumenidami nazwane przed wieki,
Wzywam was!...

(WIEDŹMY się zjawiają).

WIEDZMA I-sza.

Jestem!

II.

Jestem!

III.

Jestem! Czego?

MATKA.

Okropne!... czy to wasz głos, czy gwizdanie
Waszych warkoczy słyszę, okropnice?
Od was śmiertelny chłód na twarz mi wieje —
Pochodnie wasze cuchną...

TRZY WIEDŹMY.

Czego żądasz?

MATKA.

Wy dobrze wiecie... Ja nieszczęsna matka
Na rzecz okropną ważę się — straszniejszą
Rzeczą przed wami usprawiedliwiona.
Warkocze moje pobiełały — oczy
Wpadły do sinych dołów, wykopanych
Zgryzotą, strachem, zgrozą i cierpieniem...
Mary, pomóżcie mi w robocie strasznej!
Lękam się w sercach dzieci, że tam znajdę
Niepewność — wstręty i myśl świętą grzechu...
Zróbcie z nich Rzymian!...

WIEDŹMY.

Rzymian? Rzymian? Rzymian?

MATKA.

Co znaczy wasze skomlenie, ohydne?...

WIEDŹMY.

Cha! cha! cha!

II.

Cha! cha! cha!

III.

Cha! cha! cha!

(Znikają).

MATKA.

Zniknęły!

Takaż jest pomoc z was ohydne kruki,
Duszy człowieczej? Dobrze — zobaczymy —
Ja was przełękne wszystkie... Kto to stuka?...

SCENA IV.

(Wchodzi TOMASO).

TOMASO.

Cóż to, ty nie śpisz, matko?

MATKA.

Jeszcze nie śpię.

TOMASO.

Bez światła, sama?

MATKA.

Skąd powracasz?

TOMASO.

Z boju.

MATKA.

Czy odebrałeś mój list?

TOMASO.

Nie, żadnego.

MATKA.

Pisałam wczoraj byś powracał śpiesznie.

Więc ty nic nie wiesz?

TOMASO.

Nic...

MATKA.

O wydarzenie!

Więc muszę wszystko mówić ustnie —

TOMASO.

Matko!

Najokropniejsze miałem wydarzenie
 Tej nocy, kiedyś powracał tu krwawy;
 Bowiem zdobyliśmy dzisiaj Petrełę
 Ze starym dyabłem Kolonną, a teraz
 Wiesza burmistrza na dzwonach, a z ognia
 Porobił więźniom jako czarownicom
 Straszne warkocze. Więc kiedy wracałem
 Przez głuche stepy Kampanii — ścigany
 Hukiem pożaru i wyjącym głosem
 Rzniętego miasta — na odludnym stepie
 Koniowi memu zaszły drogę mary.
 Marami bowiem być muszą bez ciała
 Te trzy okropne kształty... a może też
 Krew moja, walką rozdasana w żyłach,
 Zalała moje oczy i te mary
 Ubrała w czerwień straszną. Ja sam nie wiem.
 Kto one były... lecz ile pamiętam,
 Włos każda miała ruchomy i jakby
 Niezależący od poruszeń ciała,
 Dziwnego bardzo połysku, a w rękach
 Niosły pochodnie. — Matko, te trzy mary
 Koniowi memu zdębionemu stały
 Na drodze — a koń ostrogami rznięty
 Jęczał jak człowiek.

MATKA.

Cóż się stało? czy co

Rzekły?

TOMASO.

Zaczęły się śmiać okropnice.

Trzęsąc blademi pochodniami... potem
 Wrzasnęły wszystkie: śpiesz się, śpiesz się, śpiesz się —
 Siostrę ci gwałcą!... Na te słowa czułem,
 Że krew, z oblicza mego odegnana
 Trwogą, wróciła z szumem wodotrysku
 I mózg pod czaszką rozpierała, jako
 Kościół gotowy runąć. Gdym się ocknął,
 Mary zniknęły...

MATKA.

I cóż myślisz?

TOMASO.

Mary

Zniknęły. — Wtenczas na koniu drgającym
 Siedząc, dobyłem, matko, pugiuału
 I oglądając się w ciemne powietrze
 Cicho, jak miejsca przenikniony zgrozą,
 Rzekłem: przysięgam śmierć gwałcicielowi!
 Na te wyrazy, okropniejsze jeszcze
 Wrzaski powstały w powietrzu — jak gdyby
 Ta ciemność miała atomami cienia
 Człowiecze usta... Matko, i trzy razy
 Słyszałem, że mnie nazwano po nocy
 Straszmem imieniem! —

MATKA.

Mów —

TOMASO.

Matko, nie mogę —

MATKA.

Mów!

TOMASO.

Ty się wzdrygniesz, matko — ty się wzdrygniesz!

MATKA.

Więc ja ci powiem sama... powiem cicho:
 Nazwały ciebie ojcobójcą —

TOMASO.

A ha!

MATKA.

Te mary były tu...

TOMASO.

Kiedy?

MATKA.

Tej nocy...

TOMASO.

Lecz to piekielne, matko, są zjawiska.

MATKA.

W piekielnym domu są piekielni goście;

Czy masz odwagę...

TOMASO.

Na co?

MATKA.

Na to, o czem

Mówiły te trzy —

TOMASO.

Matko, za godzinę...

MATKA.

Teraz lub nigdy! Idź, obudź na dole
Pietra... on wszystko wie.

(Wychodzi TOMASO).

SCENA V.

MATKA (do wchodzącej właśnie BEATRYX).

Chodź, Beatrycze,

Chodź tu w koszuli. Tomaso przyjechał —

BEATRYX.

Pewnie się waha...



Beatrix Cenci.

(Obraz ten, oglądany przez Słowackiego w Rzymie w roku 1836, dał mu pomysł do dramatu o zbrodniczej i nieszczęsnej patrycyuszce, wystawionego w dniu 30 maja 1910 r. na scenie Teatru Wielkiego w Warszawie.)

MATKA.

Jak człowiek pijany

Krwia i pół tylko mający rozwagi,
Zdaje się miękkim na wszystko, i w gęszczu
Tych okropności najwyraźniej chwyta
Oczyrna twoją hańbę, a na resztę
Zdaje się chować senną obojętność...
Trzeba korzystać, córko, i dzisiejszą
Noc ofiarować bogom tajemniczym
Ciemnej przyszłości...

BEATRYX.

Matko, matko, mdło mi...

MATKA.

Chowaj krew zimną! Kazałam zawołać
Pietra...

(AZO wbiega na scenę).

Ha! co to? z łóżka wstał maleńki

Azo?

AZO.

O mamó! mamó!

MATKA.

Co?

AZO.

Po domu

Czerwone duchy chodzą!

MATKA.

Czemu nie śpisz?

AZO.

Nie mogę zasnąć... mamó, tak mi strasznie!

MATKA.

Czego się lękasz?

AZO.

Ciągłe przed oczyma

Jakieś czerwone latają mi plamy,
Jakby czerwone gołąbki...

MATKA.

Beatryx,

Weź go na ręce! — Że też wszystkie czyny
W powietrzu mają świadków! Cyt! — już idą —

SCENA VI.

TOMASO i PIETRO NEGRI wchodzą.

PIETRO.

Jesteście wszyscy... byłem na modlitwie,
Kiedy ten człowiek, na twarzy zielony,
Wszedł cicho. Cóż to, czy nowa narada?

MATKA.

Dziś, albo nigdy! Pietro, daj sztylety!

PIETRO.

Ręce umywam...

MATKA.

Ty? O! na Chrystusa.
Ty poradziłeś sam! Czy nie pamiętasz
Tej nocy, kiedy ścigana po gmachu,
Leciałam boso, wołając ratunku
Dla mnie i córki — ty sam poradziłeś:
Zabijcie tego węża, bo inaczej
Mieć nie będziecie pokoju... A teraz
Mówisz inaczej?

PIETRO.

Czy on śpi?

MATKA.

Nie słyszysz.

W tamtym pokoju chrapania? cyt, Azo!
Śpi jak zabity. — Córko, daj sztylety —
Kto pójdzie pierwszy? ha!... kto ma odwagę?
Ty chodź Tomaso za mną. — Cóż ty?... we śnie?

TOMASO.

Tam w kurytarzu, matko, te trzy mary
Stoją i w rękach mają krwawe chusty —
Ja tam nie pójdę — nie — to rzecz piekielna!

MATKA.

Więc zginęliśmy! — ha! ten człowiek stchórzył!
Czy ty się lękasz mar? chodź jako świadek —
Cóż? — twój nam sztylet niepotrzebny — zakrzesz
Ognia sztyletem... patrzaj — tu masz krzemień —
Przy tych czerwonych błyskawicach widzę
Naszą gromadę owczą... Wstyd! skupieni
Jak owce w burzy! — Cóż? czy pójdziesz teraz?
Co robisz? z lampą idziesz? — Beatrycze,
Weź mu z rąk światło, i niosąc nad głową
Wiedź nas w kurytarz ciemny!...

AZO.

Mamo, mamo!

MATKA.

Zaduście dziecka krzyk.

(Wychodzą).

PIETRO.

Sza! nie krzycz mały!

AZO.

Dlaczegoż wszyscy tak gadają cicho!

PIETRO.

Idź zobacz —

(AZO idzie za nimi).

Gadzin rodzinno — o! teraz
Mam ciebie w rękę, Hekate — okropna,
Ale piękniejsza, niż wszystkie marmury
Z grobów dobyte!... Cyt... dziś go społem
Blekotem — musi spać jak martwe drzewo —
Ja ułatwiłem czyn... widząc, że łatwość
Dla kobiet jest zachętą, a najmniejsza
Trudność odstrasza...

SCENA VII.

MATKA CENCI (wraca).

MATKA.

Pietro, rzecz skończona!

Lecz mój syn stchórzył... ja dobrze wiedziałam,
Że mój syn stchórzy.

PIETRO.

I cóż? nie zabity?

MATKA.

Ona zabiła... mój syn starszy stchórzył...
Ja sama nie wiem, co było. — Beatryx...

(BEATRYX wchodzi i rzuca sztylet).

BEATRYX.

Jestem spokojną. —

MATKA.

Ja chciałam już krzyczeć,
Syn mój opuścił już sztylet na podłogę...
Wtem ona przyszła z lampą i sztyлетem
Skończyła...

(Wchodzi TOMASO, prowadząc AZA).

TOMASO.

Weźcie to dziecko czerwone,
Pod łóżkiem je znalazłem. Chodźmy, Pietro,
Wyniesiem trupa — idźcie spać, kobiety!
Spać!... spać!...

MATKA.

Beatryx, weź dziecko na ręce,
A wy wynieście trupa na ulicę,
Potem zacznijcie lament — i wśród płaczu
Mieszajcie imię Orsinich — z przekleństwem.
Rzućcie krew jego na Orsinich głowy!
Tak się ukryje cała rzecz. My chodźmy
I na ulicę wybieżmy w koszuli,
Jakby zerwane z łoża przerażeniem.

SCENA VIII.

(Plac przed pałacem Cencich).

WIEDZMY.

I.

Radość! radość! radość! radość!
Kręgiem, jak przed burzą śmiecie!
Czy widziałeś węży bladość,
Sztylet w pacierzowym grzbiecie?
Ha! ha! ha! ohydna noc!

II.

Cóż teraz robić będziemy?

III.

Z człeka trup — a z trupa kloc!
Przeleciałyśmy gmach niemy
Szach — szach — skrzydłami szach — szach!
Piękność kobieca do szych —
Jej trzeba kochanka...

II.

A mnich?

I.

Czwarta, czwarta, bije czwarta!
Zlatujmy w dół! zlatujmy w dół! —
Pokażmy ją oczom bękarta —
Zakocha się, będzie truł. —
Czy nie warta?... czy nie warta?
Kss — kss — kss — kss! urodzi czarta,
Będzie ślub uciętych głów. —

III.

Cicho mów — cicho mów!
Słyszysz idzie człowiek nasz,
Cyt — cyt — cyt — cyt — pokażmy twarz.

SCENA IX.

(Nadchodzą GIANI i CESARIO zamaskowani).

GIANI.

Jaka noc parna, porzucajmy maski.
Cesario patrzaj — tam, przy obelisku —
Czy widzisz? jakieś trzy straszydła czarne,
Z blademi stoją pochodniami.

CESARIO.

Chodźmy!

GIANI.

Stój! w ich brzydkości jest jakaś wstydlivość.
Widzisz, jak się w cień usuwają? — za mną!
Muszę przemówić do nich. — Moje matki,
Co wy robicie na odludnym placu
We trzy, ze światłem w rękach? Czy wy macie
Jakie poselstwo od mocniejszej władzy,
Które musicie spełnić uzbrojone
W narzędzia strachu? Czy wasze zjawienie
Ma z moim przyszłym losem jaką styczność?
Czy mi się tylko nasuwacie, jako
Widma potrzebne malarzowi, aby
Ubrał je w kolor i ludziom zdziwionym
Pokazał rzeczy śnione?... Mówcie do mnie!...

WIEDZMA I-sza.

Patrz!

II.

Patrz!

III.

Patrz!

(Pokazują mu świętą głowę Beatryczy).

GIANI.

Co widzę! czyż wy z pod waszych fartuchów
Wydobyłyście tę rzecz straszną? — Patrzaj
Cesario — głowa cudownej piękności,

Lecz bez podstawy wisi na warkoczach,
Które do sinych rąk tych kobiet lipną;
Dreszcz mię przechodzi — patrzaj, jak ta głowa
Miłosne oczy we mnie utopiła,
Aż tu do serca... Słabo mi, Cesario —
Omdlałość-że to mnie pozbawia wzroku?
Czyli te widma ciemność między siebie
Na niewyraźne kształty rozebrała?

(WIEDŹMY nikną).

CESARIO.

Zniknięcie tych mar dziwne! Ty powiadasz,
Że coś trzymały w rękę?

GIANI.

O Cesario!

Ty nie widziałeś tej głowy?

CESARIO.

Nie, zgoła!

GIANI.

To rzecz nadludzka. — O! piękna piekielnie
Była ta głowa! A co jest dziwniejsza,
Że tak piekielna rzecz, jak przezroczysta
Anielskiem światłem urna, miała dla mnie,
Uśmiech i litość! O! nie nie mów do mnie,
Aż to, czego jest pamięć moja pełna,
Przeleję w płótno i od znikomego
Gaśnienia myśli obronę...

CESARIO.

Dziwaku!

GIANI.

Bądź zdrow, Cesario — idę żyć w pustyni.

(Wychodzi).

CESARIO.

O dziwna głowa! pełna przywidzenia!...
Wychodzą jaeyś ludzie, jak złodzieje...
Coś niosą — skryjmy się za obeliskiem.

SCENA X.

(Wchodzą TOMASO i PIETRO niosąc ciało ojca Cenci).

PIETRO.

Położmy trupa tu na środku placu.

TOMASO.

Czy nikt nie widzi?

PIETRO.

Niema żywej duszy.

TOMASO.

Ja się oddalę, a ty zacznij wołać.
Wtenczas nadejdę — matka zbudzi sługi,
Przylecą wszyscy na plac z pochodniami.

(Odechodzi).

PIETRO.

O! gwałtu! ludzie! gwałtu! gwałtu! ogień!
Pali się! gwałtu!

OBYWATEL Z OKNA.

Co to za krzyk?

PIETRO.

Gwałtu!

II-gi Z OKNA.

Co to za wrzaski?

PIETRO.

Trup leży na placu!

(Wbiega TOMASO).

TOMASO.

Co to za krzyki? kogo tu zabito?

PIETRO.

Latarni — światła — ratunku — lekarzy!

(Wchodzą ludzie z latarniami).

TOMASO.

O! to mój ojciec! mój ojciec — mój ojciec!
Ratunku! w bramę stukajcie do Cencich —

To Cenci leży skrwawiony — mój ojciec!
Stukajcie w bramę do Cencich — ratunku!
Obudźcie moją matkę — o morderstwo!

SCENA XI.

(Wbiega MATKA CENCI, potem BEATRYX i ludzie z pochodniami).

MATKA.

Słyszę głos mego syna i lamenty,
Ze snu się zrywam...

JEDEN Z MIESZCZAN.

Zabitego żona!

O nie puszczajcie kobiet!

MATKA.

Ach okropność!

Mój mąż zabity — na bruku — o Boże!
Szukajcie zbójcy! — O! tysiąc dukatów,
Kto sprawcę zbrodni wykryje — słyszyście!
O! noc okropna, boleść niespodziana —
O! córko — biedne my, osierocone —
Kto tu jest tylko, niechaj będzie świadkiem
Tego zabójstwa! niech zabójcę ściga!

TOMASO.

Matko, Orsinich to być musi sprawa!

MATKA.

Orsinich mówisz? O! tak! Jeszcze wczora
Kardynałowi mój mąż odpowiedział
Kwaśnemi słowy... O! biedny człowieku,
Za słowa tobie odpłacił sztyletem!
Widzicie wszyscy, jaki czyn haniebny —
Widzicie wszyscy, jak ohydna zbrodnia!

OBYWATEL.

Biedna kobieta, zachrypla od płaczu!

MATKA.

Córko, strętviałaś! biedna córko moja!

OBYWATEL.

My wam do domu zanieśmy trupa.

Płacz na ulicach — to śmiechy puszczyka...

MATKA.

O! pozwólcie mi rzucić się na ciało!

TOMASO.

Matko, do komnat idź — wyniosę gwałtem...

OBYWATEL.

Biedna rodzina! zanieśmy im trupa,

Resztę tej nocy niech przelamentują.

(Wnoszą trupa do domu Cencich).

SCENA XII.

CESARIO (wychodzi z poza obelisku).

CESARIO.

To dziwna scena — i lament wysoki!

Co się to znaczy, nie wiem i nie zgadnę —

A raczej myśli czem innem zajęte

Nie chcą wysilić się w poszukiwania

Bezowocowe. Jedna mnie tu tylko

Twarz zadziwiła... ta córka w bieliźnie,

Albowiem matka ją nazwała córką.

Nieporuszona stała i ku ziemi

Trzymając oczy i pochodnię — jakby

Posąg przeszłości, na którego twarzy

To, co obecne, nie zostawia śladu.

Ani się może odbić. — Pośród zgrai

Lamentującej — ona jedna cicha

I z surowymi na ustach uśmiechy

Stała — myślałby kto, że sprawiedliwość

Ważącą trupa krew na swojej szali...

Ta twarz zostanie mi wiecznie w pamięci!

Resztę wyświecą jutro ludzkie gwary.

AKT DRUGI.

SCENA I.

(Pracownia malarza GIANI).

GIANI i CESARIO.

CESARIO.

Gdybyś był został dłużej na tym placu,
Widziałbyś wszystko.

GIANI.

To dziwnie, Cesario.

Czy ci się furye trzy nie śniły w nocy?

CESARIO.

Nie —

GIANI.

Ja nie spałem, ale patrz, na płótnie
Wymalowałem twarz, którą mi w rękach
Te straszne mary pokazały... patrzaj — —

CESARIO.

Jezus, Marya!

GIANI.

Anielskie oblicze!

Lecz to jest tylko sen — filtrum szatańskie
Na obłąkanie moich zmysłów — prawda?
Na ziemi taka piękność nie istnieje.

CESARIO.

Więc to jest głowa mar — czy jesteś pewny?

GIANI.

Jam jej nie stworzył — wierz mi, jam ją widział.

CESARIO.

I chcesz ją żywą zobaczyć?

GIANI.

Cesario!...

CESARIO.

Nie drżysz tak! Powiedz, chcesz ją widzieć żywą?

GIANI.

Cesario!

CESARIO.

Chodź, chodź! Lecz ubiór Orsinich
Zakryj dominem czarnem — i mnie pożycz
Nieznaczonego żadną cyfrą płaszcza.

GIANI.

Lecz to nie może być!

CESARIO.

Chodź — a zobaczysz.

(Wychodzą).

SCENA II.

(Plac przed kościołem).

TRZY WIEDZMY.

I.

Śmierć nie cuchnie od nas w dzień —
Co masz zamiast nogi?

II.

Pień!

A ty — a ty?

III.

Kocie trzewy,
Koło kości wiszą jak cholewy.
Daj grosz, panie! daj grosz — daj grosz —

I.

Przyniosłam kosz
Woskowych świec —
Zakrystyan fryc
Trupa gromnicami piecze,
W gromnicach sadło człowiecze
Cuchnie, cuchnie, cuchnie, jak dżuma.

II.

Czy zaczęła się nad trupem suma?

Już dzwon bije — już dzwon bije —
Już na krzesłach kawki siedzą
I kłaniają się, kłaniają — lzy cedzą,
I kłaniają się — i gną szyję,
Godzinę mają szkaradną;
Szyje bolą — głowy spadną —
Cyt — cyt — don don — dzwon uderza.

III.

Szach! — skrzydłami nietoperza
Na cmentarz! już biją dzwony
Po ojcobójcy grosz złożony,
Co się na mogiłach zetrze...
Szach! — na cmentarz — już wichur i parne powietrze.
(Znikają).

SCENA III.

(Wchodzi GIANI i CESARIO).

GIANI.

Widziałeś tu ohydne żebraczki w spróchniałych
Szatach? one mi nocne fury odnowiły
W zatartej już pamięci —

CESARIO.

Stańmy tu na boku. —

Widzisz przygotowane krzesła dla rodziny,
Gdzie zasiądzie pokorne oddawać ukłony
Przyjaciołom zmarłego, idącym za trumną.

GIANI.

O! smutny obowiązek i grzeczność trudząca!
Lecz cóż to ma za związek z tą cudowną twarzą,
Którą mi obiecałeś ukazać na oczy?

CESARIO.

Zaczekaj — lud się kupi — zakryj oczy płaszczem.
Wszyscy wiedzą, że jesteś Orsinich malarzem —
Odkrycie tu być może fatalne — stój cicho...

SCENA IV.

(Wchodzą MATKA, BEATRYX i siadają na krzesłach; przy nich TOMASO
z gronem przyjaciół; rozpoczyna się pochód pogrzebny).

GIANI.

Co widzę! — jest że to sen? — O! Cesario,
To ona...

CESARIO.

Płaszcz nie odkrywaj z ramion!

GIANI.

Puść mię! — Na Boga, oczy me znalazły
Cel zapatrzenia się na całą wieczność,
I już z uczuciem zaczęły rozmowę
O niezliczonych wdziękach tej dziewicy...
Odtąd — to będzie mojem zatrudnieniem.
Jak się nazywa? — o! nie mów nazwiska!
Już ją nazwałem sam takim nazwiskiem,
Jakiego nie ma świat. — Ach! bowiem ona
Nie może tu być przez ludzi nazwana,
Tylko westchnieniem...

CESARIO.

Nie mieszaj się, Giani,

Z trumny orszakiem.

GIANI.

O patrz! pomyślałem —

I w myśli tylko stworzone pytanie
Posłałem do niej oczyma i na to
Odpowiedziała mi schyleniem głowy,
Choć w inną stronę zapatrzona, jakby
Oczu ją moich głos doleciał i już
Zmusił miłośnie uleść. O! anielska...

CESARIO.

W pochodzie trupa jakieś zamieszanie —
O! nie wrywaj się, Giani — szalony!

I-szy OBYWATEL.

Co to za zgiełki?... żona z krzesła spada!

II-gi OBYWATEL.

Krew się rzuciła z trupa.

I-szy OBYWATEL.

Cóż to znaczy?

II-gi OBYWATEL.

Zabójców w tłumie trup sam wyszukuje, —

CESARIO.

Giani! oddalmy się, tu niebezpiecznie.

GIANI.

Tu? — co ty mówisz!... mogli być jakie
Niebezpieczeństwo przy niej? — Patrzaj na nią —
Od niej strach żaden nie trąca mi duszy
I nie zaraża. Patrzaj teraz na nią:
Spokojna — jak cyprys, nadto smutny,
Aby nim ruszył wiatr... nieporuszona —
A te galonki, co się zowią łzami,
Ze srebra, lekko u szat zaczepione
Ledwo łyskają przy pochodni blasku.

CESARIO.

O Giani! Ty się odsłoniłeś cały —
Syn zabitego ma ciebie na oku...

(TOMASO przystępuje do GIANIEGO i chwyta go).

GIANI.

Puszczaj mnie!...

TOMASO.

Śmiałku, krew cię oskarżyła!
Patrzcie! to z domu Orsinich młodzieniec —
Na niego to krew wytrysnęła z trupa.

GIANI.

Czego ten człowiek blady chce ode mnie?

TOMASO.

Zabiwszy, trupa przyszedłeś na pogrzeb?
Przepowiedziałem, że się w tłumie kryje
Jakiś z Orsinich — szpieg, albo zabójca.

GIANI.

Nie jestem jednym ani drugim — a ty?

TOMASO.

Cóż to, człowieku? ja syn zabitego...

GIANI.

A więc do pochwy włóż twoje żelazo,
Bo ja nie będę nigdy twoim wrogiem!

CESARIO.

Oszalał! Giani, co słyszę? — oszalał!
Cenci, ja także jestem na usługi
Twojej wściekłości — ja także z Orsinich,

TOMASO.

Oba mi za krew ojca zapłacicie...

(Bije się z CESARIO — CESARIO pada).

CESARIO.

Giani! zabity jestem — o! zabity —
Pomścij się za mnie...

(Umiera).

GIANI.

O! drogi Cesario!...

Co ja zrobiłem?!...

(Do Tomasa).

Broń się — ty mój krewny!

TOMASO.

Nie jestem z tobą wcale spokrewniony —

GIANI.

Krewnym nazwałem cię od krwi — broń serca!...

(Biją się — wpada BEATRYX).

BEATRYX.

Stójcie!... już dosyć krwi na mojej duszy!

TOMASO.

Milez ty szalona!...

BEATRYX.

Panie! ty nam przebacz

I zabierz z sobą ciało przyjaciela,
A prędzej progi opuszczaj fatalne!

GIANI.

Te progi?

BEATRYX.

Odejdź!

GIANI.

Te progi?

BEATRYX.

Oddal się!

Trumnie tej strasznej zastępujesz drogę —

GIANI.

Niech mnie oddali trumna, ale nie ty...

BEATRYX.

Nie rozkazują trumny — lecz słuchają —

GIANI.

Lecz posłuszeństwo mnie położy w trumnę.

TOMASO.

Siostro, ja mu dam odpowiedź na szpadzie...

GIANI.

Śmierć moją zostaw siostrze...

BEATRYX.

O! bezwstydna!

W żałobie słucham, czego nawet w bieli

Nie winnam słuchać! Odejdź stąd, młodzieńcze!
Ten dom nieszczęściem przepełniony — odejdź.
Weź tę gałązkę smutnego cyprysu,
Abyś miał ubrać w co — ostygłe ciało
Twego martwego przyjaciela. Bądź zdrow! —
Tomaso, prowadź mię na czarne krzesło.

GIANI.

Jestem bez mowy, bez myśli, bez czucia.
Cesario! ty mi kupiłeś ten cyprys
I zapłaciłeś śmiercią. — O nieszczęsny!...
Mieszczanie! trupa mi nieście do domu!

(Wychodzi i pogrzeb mija; ciało CESARIA wynoszą).

SCENA V.

(Dom Cencich, PIETRO NEGRI).

PIETRO.

Łzy nastrajają serce do miłości.
Teraz czas! Wróci z pogrzebu płacząca —
Odejmę maskę i pokażę siebie
Takim, jak jestem. — Kiedy miasto całe
Przerażającym hukiem dzwonów wyje:
Użyję mocy podszeptów i miodu,
Nakłaniających rad do tajemniczych
Słodyczy. Jeśli się oprze — zabiję!
To jednak dziwna rzecz, jak się ta miłość
I ta nadzieja we mnie połączyła
Z wiedzą wewnętrzną mej własnej brzydoty...
Dotychczas wiodłem życie pełne brudu,
Nędzy, pogardy, i niejedną ślinę
Miałem na twarzy; bękart —, syn.....,
Wziąłem się kiedyś do pędzla i każda
Z wymalowanych przeze mnie piękności
Z płótna mi jak psu urągała, krzycząc:
Masz mnie na płótnie cichą: żywa — plunę!...

Podarłem wszystkie te widma — i teraz
 Próbuje ciepłych ciał — a w mych namowach
 Jestem malarzem żądy...

(Wchodzi BEATRYX).

BEATRYX.

Cóż się dzieje
 Z moją omdlałą matką?

PIETRO.

Ocucona.

BEATRYX.

Pójdę ją cieszyć...

PIETRO.

Widok twój, Signora,
 Rozrzewni —

BEATRYX.

Powiedz: przestraszy —

PIETRO.

Signora,

Kogożby twoja postać przeraziła?
 Lecz twoja matka jest w okropnym stanie!
 Żółta jak drewno — wyjąca jak wichur —
 Przeklina wszystko — gnie palcami srebra,
 Rzuca z lekarstwem kryształ o ścianę —
 Synka małego, gdy zawołał: mamo,
 Za krtań chwyciła i zaczęła dusić
 Krzycząc: przeklęty dzień twoich urodzin!...

BEATRYX.

Powiedz mi, Pietro Negri, czy tak ma być
 Aż do skończenia świata w naszym domu?
 Czy ciągle w sercach będą rosły bóle?

PIETRO.

Jeżeli w serce nie zachwycisz ognia
 Od jakiej innej żądy, to sumienie
 Krzewić się będzie wiecznie i gryźć serce.

BEATRYX.

Jakąż ja żądzą mogę karmić duszę?

PIETRO.

Miłość!...

BEATRYX.

Któż mego serca się nie złęknie?

PIETRO.

Każdy, kto ciebie, Signora, zna dobrze,
Kto umie w zbrodni nawet szukać cnoty.
Gdyby nie mój garb — o! gdyby natura
Dała mi ciało odpowiednie duszy —
Albowiem ja wiem, że zwyczajna miłość
Od zmysłów bierze pierwszy popęd, który
Znów przez uczucie traci swą cielesność
I w jedno zmysły i duszę jednoczy.
O! gdyby moje czoło pomarszczone
Było tak gładkie, jak czoło pierwszego
Głupca na świecie, który nigdy nie czuł
Żadnego ognia ani namiętności!
Gdybym był jeszcze niepewny, że każda
Niewiasta daje się złowić za skrzydła
Przez miłość własną — i wtenczas szczęśliwa,
Kiedy tę bańkę mydlaną obaczy
Swatem pomiędzy nią a jej kochankiem —
Gdybym nie wiedział, że wszystkie kobiety
Na ubiór patrzą, pióra i trzewiki...
Ja, który chodzę ubogo i boso —
Wierzaj mi — śmieć się z tego, co wyrzeknę —
Sądziłbym wtenczas, że cię tylko moja
Miłość zrozumieć może — i ocalić...
Śmieć się! patrz, jestem garbaty — co mówię,
Nie może żadnej mieć wagi zamiaru.

BEATRYX.

O mów! bo moja myśl te słowa chwyta.

PIETRO.

Miłość dziwaczną jest i fantastyczną.

Łączy pomiędzy sobą ludzi w pary —
Nie żąda nawet podobieństwa — owszem
Z przeciwieństw często jedność dziwną tworzy,
Jak ową dziwną platońską istotę
Androginesem nazwaną —

BEATRYX.

O! miłość!

PIETRO.

Wzdychasz!... I twoje łzy, jak niespokojne
Rosy perełki na trzęsionym kwiecie,
Łyskają w oczach. W ziemię utopiłaś
Oczy rozwarte, błyszczące i chciwe.
O! takie oczy nie widzą, lecz tworzą
Same obrazy — i na utworzone
Patrzą z litością lub zamiłowaniem...

(Na stronie).

Dotąd ją ojciec trzymał uwięzioną,
Nikogo nie zna...

BEATRYX.

Czy ty mnie nie zdradzisz?

PIETRO.

Przysięgam tobie dodam zaufania.

BEATRYX.

Pocałuj ten krzyż — tu, gdzie plama — tutaj!
Ten krzyż na piersiach miałam dziś — przysięgnij!

PIETRO.

Na ten krzyż i na piekło...

BEATRYX.

Przysięż na mnie,
Bo ja straszniejsza, niż piekło —

PIETRO.

Przysięgam
Na wdzięki twoje i na oczy twoje!

BEATRYX.

Ja kocham...

PIETRO.

Nie kończ!...

BEATRYX.

Już wiesz? — Ty widziałeś,
Jak stałam przed nim — byłeś na pogrzebie.
On się zapatrzył we mnie i upuścił
Krwawe żelazo. Idź, szukaj go, Pietro,
Powiedz mu wszystko, tak jakbym ja sama,
Gdyby mię nazwał czystą i niewinną,
Wszystkobyśmy usty drżącemi wyrzekła.
Idź — znajdź go — powiedz, że ojca zabiła,
I patrz mu w oczy — i zapisz to w sercu,
Co jego oczy czarne odpowiedzą,
Bo to mi będzie sądem, karą, śmiercią!...
Lecz kiedy wierzyć nie zechce: wróć do mnie,
Bo to jest człowiek czysty — i po drodze
Kup mi trucizny. Lecz jeśli zapyta,
Dlaczego ojca zabiłam — to powiedz,
Że przeczuciami dawno rozkochana
W nim jednym, jemu broniłam wierności
I ciała mego okupiłam czystości
Straszną ofiarą. — Idź — wszystko to powiedz;
Bo chociaż żadnej nie karmię nadziei
Zgubiona, krwawa i przerażająca,
Choć bez nadziei: — nie jestem gotowa
Umrzeć, nim on mię potępi... bez serca.

PIETRO.

Któż jest ten człowiek?

BEATRYX.

Raz go zobaczyłam,
Nie wiem nazwiska...

PIETRO.

Jak go poznać, po czym?

BEATRYX.

Pytaj się o dwóch, co dziś na pogrzebie
Mojego ojca szpad dobyli razem.
Jeden z nich martwy — drugiego ja kocham!
Pietro! jeżeli tobie nie uwierzy,
Że jestem krwawą i winną; to ja go przekonam,
Że mnie nie można kochać.

(Odchodzi).

PIETRO.

O! fatalność!

Miłość straszliwym płomieniem wybucha
Z tej okropnicy... Co robić? — co robić?...
Jej ciało dla mnie, a jej dusza piekła!

SCENA VI.

TOMASO — PIETRO NEGRI.

TOMASO.

Gdzie są niewiasty?

PIETRO.

W komnatach.

TOMASO.

O Pietro!

Jestże to straszny sen ta noc okropna?
Jaki dom teraz pusty!...

PIETRO.

Tak zwyczajnie.

Przed dziećmi muszą umierać rodzice.

TOMASO.

Stojąc nad grobem, gdy spuszczano trumnę,
Musiałem rzucić garść gliny do grobu.
Ścisnąłem ziemię w rękę, i krew czarna
Wyciekła z garści — jako pracze, kiedy
Czerwone chusty pierze... ha!

PIETRO.

Przesady!

TOMASO.

Cóż mówisz o tych trzech jędzach?

PIETRO.

Widzenie!

TOMASO.

Przynajmniej siostra spokojna i matka?

PIETRO.

Byle milczały ...

TOMASO.

Czy się lękasz o nie?

PIETRO.

Uważaj dobrze, a w siostrze spostrzeżesz
Dziwny fenomen. Ta zbrodnia jej cięży
I chce ją zrzucić z siebie — niespokojna;
A to uczyni, skoro się narai
Pora — i jaki powiernik. Uważaj,
Ona się brzydzi nie krwią — lecz przymusem
I fałszywością. W pierwszej to rozmowie
Spostrzeżesz.

TOMASO.

Co ty mówisz? —

PIETRO.

Słuchaj!

To jest rzecz ważna. — Ona dziś widziała
Człowieka, który nas zgubi. Uważaj,
Ona ci powie bezwstydnie, że kocha
Tego człowieka; — nazwij to szczerością,
Ale ta szczerość w młodej i niewinnej
Jest nadzwyczajną — i źle bardzo wróży...
Jest to jakoby duma grzechu. Rozważ,
Przez zapłonienie miłość się objawia
W zwyczajnych sercach; lecz u niej — przeciwnie
Przez błądą hardość...

TOMASO.

Precz z nią! do klasztoru!

PIETRO.

Dobra myśl! klasztor... klasztor... w samej rzeczy,
Nie widzę innej rady. — Na Montorio
Jest jeden klasztor pod moim dozorem.
Tam ją osadzić, a choćby przymusem!...

TOMASO.

Chodź, pogadamy o tem z naszą matką.

(Wychodzą).

SCENA VII.

(Dziedziniec w domu Cencich).

TRZY WIEDŹMY.

I.

Skwarno! skwarno! ciemno! skwarno!
Słońce piecze — w bramie czarno.
Tu krew każdy dyabeł zwącha...
Pod fontaną tętni koncha
Din, din, słyszycie? din don —
To jest płacz za ojca zgon,
To płacz za piekielne dusze...
Co robisz?

II.

Gołębia duszę,
Licom cery dobrej doda...

I.

Rubinowych nówek szkoda!
Biały jak śnieg — biały jak śnieg,
Z ptaszęcia krew — rumieniec streg —
Na kogo tu czekasz, ty maro?

III.

Przyjdzie tutaj w porę szarą
Bieliznę prać...

II.

Bieliznę prać?

Powiedz, kto? czy córka, czy mać?

I.

Sza! sza! obie... sza! dom pusty,
Przyjdą prać czerwone chusty...
W czarnej bramie — sza! do kąta!
Niech się gospodyni krząta!
Ohydna!... ohydna!... ohydna!...
Patrzcie, w korytarzu widna,
Idzie tu, chusty rozwinać
Jęknąć i wrzeszczeć i truchleć i zginać.

(Gina z jękiem).

SCENA VIII.

(Wchodzą MATKA CENCI i BEATRYX).

MATKA.

Słyszałaś ten jęk, córko?

BEATRYX.

To był plusk fontany.

MATKA.

Gołąb skrwawiony, patrzaj, w konsze pływa.

BEATRYX.

Idź, matko — umysł ty masz nastrojony
Do strasznych wrażeń...

MATKA.

Trzeba te rzeczy wyprać — stań przy bramie!
Jeśli usłyszysz kogo, krzycz na Boga,
Żeby nas nie zszedł kto...

BEATRYX.

Bojaźń ohydna!...

MATKA.

Czy rusztowania chcesz? Daj mi bieliznę —
A gdzie koszulka dziecka? — — ha!...

BEATRYX.

Br... zgroza!...

MATKA.

Patrz, ile tu krwi! na rany Chrystusa,
Ten się człek krwawił strasznie... Czy kto idzie?

BEATRYX.

Ulica pusta w upał południowy.

MATKA.

Ja słyszę jakieś... cyt... cyt!... Ktoś tak syka,
Jakby nakazać chciał święte milczenie...

BEATRYX.

To świerszcze...

MATKA.

Świerszcze?...

BEATRYX.

Cóż! dajesz mi chusty?

Ja się nie dotknę tych chust — wolę umrzeć!...

MATKA.

Umrzesz, nieszczęsna, umrzesz ty okropnie,
Dumna dziewczyno!

BEATRYX.

I dobrze...

MATKA.

O! dobrze!

Śmierć jest przepaścią czerwoną — ha!

BEATRYX.

Ciemną!

MATKA.

Mocno wlepiwszy oczy w samo łono
Rzeczy pośmiertnych, można widzieć więcej,
Niż ci się zdaje... Rozwieś tę bieliznę,

Niech wyschnie — powieś koszulkę dziecinną
Tam — ot na krzyżu!

BEATRYX.

Zgroza! dom szalonych!...

Matko! nie szukaj córki...

(Otwiera bramę i ucieka na ulicę).

MATKA.

Gwałtu — gwałtu!

Tomaso! Pietro! Moja córka! gwałtu!

SCENA IX.

(Wpadają TOMASO i PIETRO).

TOMASO.

I cóż się stało?

MATKA.

Przekłeta! biegajcie!

Brama otwarta — za nią! o przekłeta!...

Tu przyprowadźcie żywą lub umarłą!

Uciekła z domu — krew wyniosła z sobą —

TOMASO.

Już jej nie widać, matko, na ulicy!

Gdzież biedz?...

MATKA.

Ach! sen mój wyniosła i ciszę!...

Bieżcie na wszystkie strony i pytajcie,

Czy kto nie widział, gdzie poszła —

TOMASO.

Cóż, Negri?

PIETRO.

Idź, szukaj siostry! Rozsądną ci dałem

Rade, gdym radził zamknąć do klasztoru.

Biegnij i szukaj jej po całym Rzymie,

A ty, Signora... idź i módl się...

(Wychodzą TOMASO i MATKA CENCI).

Piekło!

Co mam tu ginąć z tą czarną rodziną?...
Wolę ocalić się jako delator.

(Wychodzi).

SCENA X.

(Ogród klasztorny — OJCIEC ANZELMO kopie — GIANO GIANI).

GIANI.

Ojczy, te furye trzy w rękach skościących
Trzymały głowę uciętą — a moje
Oczy w tej głowy oczach utonęły
Jako w głębokiem morzu zachwycenia.

ANSELMO.

Słucham, mów dalej. — Chociaż teraz myślę
O tych cebulkach w ziemi pogrzebanych,
W których są dziwne anioły kolorów,
Zmartwychwstające pod promieniem słońca:
Nie jestem wszakże bez ucha dla ciebie,
Młodziu żywy, z ognia — mów więc! Głowa
Była tak piękną, żeś ją zapamiętał
I z mózgu swego przeniosłeś na płótno,
A potem obraz swój spostrzegłeś żywy?
Rzecz to jest dziwna, lecz prawdopodobna.
Przynieś mi obraz, przynieś — niech zobaczę.
Bowiem natury każda tajemnica,
Zwłaszcza natura przeczuć, była zawsze
Celem rozwagi mojej — przynieś obraz!

(Wychodzi GIANI).

Nie trzeba sprzeczać się z młodością, ale
Potakiwaniem skłaniać do ufności,
A tym sposobem uzyskawszy władzę
Nad tą ognistą, stopniami ochładzać. —
Starości siła leży w odwlekaniu
Nauk, aż pora sposobna się zdarzy.
Inaczej czyniąc, stary się rozbraja...

Któż to z ulicy stuka do klasztoru?
Co widzę? jakaś Signora... w żałobie!...

(Wchodzi BEATRYX zakryta).

BEATRYX.

Scigana jestem — dzięki, żeś otworzył!
Chwilę mi tylko pozwól, dobry Ojcze,
W twoim ogrodzie skryć się, tylko chwilę!

ANSELMO.

Signora —

BEATRYX.

Czy tu jesteś sam?

ANSELMO.

W tych murach

Ja tylko jeden, oraz pewien malarz,
Człowiek dyskretny — chociaż bardzo młody.

BEATRYX.

Możesz mię ukryć, Ojcze, do wieczora
I sam być tylko moim powiernikiem?

ANSELMO.

Signora, malarz ów za chwilę wróci.
Jeżeli nie chcesz, aby cię zobaczył,
W tej bukszpanowej ukryj się alei.
Skoro wyprawię młodzieńca z ogrodu,
Dam ci schronienie; a co jeszcze lepsza,
Radę staruszka... bo jej potrzebujesz,
Jak widzę, cała drżąca, niespokojna —
Już słyszę... idzie korytarzem — skryj się!
(BEATRYX wchodzi do alei, która arkadą swoją otwarta jest dla sceny).
Zwolna a zwolna wyprawmy malarza.

(Kopie — GIANI wchodzi z obrazem).

GIANI.

Patrz na nią —

ANSELMO.

Boże, co widzę?

GIANI.

Czy znasz ją?...

Czego oglądasz się na wszystkie strony?

Czy teraz ci ją pokazały duchy?

Czy furye były tu?

ANSELMO.

Ciszej, człowieku!

To jest podobny obraz —

GIANI.

Dla niej zginąć!...

ANSELMO.

Czyś tu na kogo dziś czekał, mój synu?

Zakryj ten obraz i odnieś do celi;

Sam nie uważaj, że słońce — idź, przejdź się!

Ty masz gorączkę... Odwiedź Orsiniego.

Od czasu lekce ważysz jego względy,

Jego paternum amorem... rozumiesz?

Takie się rzeczy mówią po łacinie,

Język umarły jest czysty dla ucha...

GIANI.

Ty mię oddalasza?... Lecz miłośnik hardy,

Jeśli się waży raz zrobić wyznanie,

Jak bluszcz przyczepia się do powiernika

I ssie go listki wszystkimi. — Mój Ojcie,

Ja kocham! jam ją widział — kocham duszą —

Kocham z rozpaczą — kocham ją szalenie —

A jednak mądrze kocham! Bo z tysiąca

Ona najczystsza jest i najpiękniejszą!

Pomyślał o niej Bóg, gdy tworzył słońce

I z myśli światła ją stworzył — a ona

Dała początek tęczom i kolorom,

Które ze słońca duszy mają duszę!...

Gdy myślę o niej, braknie mi powietrza —

Jestem jak człowiek, który we śnie lata

I czuje, że mu nie stanie błękitu

Albo odwagi —

ANSELMO.

Czy wie, że ją kochasz?

GIANI.

Jam ją raz tylko widział...

ANSELMO.

Kiedy?

GIANI.

Dzisiaj —

ANSELMO.

Gdzie?

GIANI.

Na pogrzebie jej ojca —

ANSELMO.

Nazwisko?

GIANI.

Cenci —

(Wychodzi BEATRYX).

BEATRYX.

Strasznego wywołałeś ducha!

ANSELMO.

Wyście tu starca podeszli oboje!

W ogrodzie schadzka miłosna!...

BEATRYX.

Milcz, księżu!...

Ja teraz jestem strasznie zatrudniona

Czytaniem duszy na tej bladej twarzy.

Oddal się, księżu — zostaw! My się znamy —

Ja jestem jego siostrą.

(Do GIANIEGO).

Każ mu odejść!

GIANI.

Ojcze! mój dobry! oddal się — na Boga!

Jestem w tej chwili niebezpieczny —

ANSELMO.

Przemoc?!

GIANI.

Idź do szatana, dziwny, głuchy starcze!

(Wypycha go do klasztoru).

(Giani przez chwilę w milczeniu spogląda na Beatrycę, którą widzi w rozpacz).

GIANI.

Pani! dlaczego twoje ręce białe
Dręczą twe włosy... oczy zakrywają?
Czemu twe usta drżą? — Czemu się cofasz,
Jak do ucieczki nimfa obrócona,
I znów niepewnym stąpasz naprzód krokiem?...
O! powiedz...

BEATRYX.

Słuchaj! nie wiem, kto ty jesteś!

Ale przez twoje ręce pragnę skonać!
Ale przez twoje ręce — być zabita,
A przez two oczy, tak smutne — płakaną,
A przez two serce czyste — przebaczoną...
Czy ty masz sztylet? — o daj! o daj!

GIANI.

Sztylet?

O! co ty mówisz? co mówisz? O! patrzaj,
Ja na kolanach proszę, abyś żyła;
Abyś mi dała życie z twojej ręki;
Abyś mi dała oczu twoich niebo,
A jednym słowem twojem — nieśmiertelność!...

BEATRYX.

O! śmierć ja daję, nie zaś nieśmiertelność!

GIANI.

Twoim kochankom?

BEATRYX.

Tak! moim kochankom...

GIANI.

Ja ciebie kocham — chcę umrzeć!...

BEATRYX.

Z daleka!

Z daleka! Czy wiesz? czy wiesz, co się stało?

Cenci zabity... ja...

GIANI.

Księżę Anselmo!

BEATRYX.

Nie wołaj księdza!... ja zabiłam ojca —
Splamioną byłam — ha!!

GIANI.

Padre Anselmo!

(Wchodzi ANSELMO).

Weź tę umarłą! — Ja pójdę po trumny,
Po dwie — po jedną tylko... lecz szeroką!

(Zastona spada).

AKT TRZECI.

SCENA I.

(Ulica — OBYWATELE).

I-szy OBYWATEL.

Mości Pamfilio, coś nowego słysząc?

PAMFILIO.

Ogromna zbrodnia! Cenci zabili ojca. Aresztowano tej nocy matkę i syna i dziecko małe — lecz córka uciekła.

II-gi OBYWATEL.

Rzecz niesłychana! Któż wydał?

PAMFILIO.

Abate jakiś, zwie się Pietro Negri.

I-szy OBYWATEL.

Kiedyż będą sądzić?

PAMFILIO.

Niewiadomo.

I-szy OBYWATEL.

Ja ci powiadam, że to Orsinichi zawieść z Kolonnami, a nie żadna zbrodnia. To pretekst. Cenci był prawą ręką dyabła Kolonny.

II-gi OBYWATEL.

Zbrodnia, panie Pamfilio, zbrodnia! Tryumf nad cnotą! Zbiry znaleźli łóżko krwawe i sztylet pod łóżkiem.

I-szy OBYWATEL.

Doprawdy?...

PAMFILIO.

I na ścianie z prawej strony rękę krwawą — jak mi Bóg miły — z pięciu palcami na ścianie...

I-szy OBYWATEL.

Czy być może?

PAMFILIO.

Któreś z zabójców musiało się zachwiać i oparło się o ścianę. Teraz lud się kupi i nawiedza dom, gdzie ta krwawa ręka jak nietoperz oczy przeraża.

II-gi OBYWATEL.

I lud nie roztargał zabójców?

PAMFILIO.

Aresztowano ich w nocy, dziś o ósmej godzinie. Nikt o tem nie wiedział, wszystko odbyło się spokojnie.

I-szy OBYWATEL.

Chodź waćpan — opowiedz mojej żonie wszystkie szczegóły. Proszę na wieczerzę i na butelkę Kianti. To rzecz ciekawa... Ojca zabili!... Ja się tylko dziwię, że taka rzecz może przyjść ludziom do głowy...

SCENA II.

(Cela klasztoru. OJCIEC ANSELMO -- BEATRYX).

ANSELMO.

Zmęczona jesteś — nie łam się daremnie
Z ociężałością zmysłów! Rzecz zwyczajna,
Ze po ogromnej gorączce — strętwienie.
Oto jest łoże, twarde — lecz spokojne;
Ja na niem miałem ciche sny i dobre.

BEATRYX.

Jak wróci, to mnie obudzisz...

ANSELMO.

Śpij cicho.

Zostawię lampę przy tobie -- dobra noc!

(Wychodzi).

BEATRYX.

Jestem jak kamień. — O Jezu kochany,
Czuwaj nade mną! Oczy mi się kleją,
Jakby na rzesach krew gęstniała lipka.

(Usypia. — Zjawia się CIEŃ OJCA CENCI).

CIEŃ.

Piekło mi z ognia dało wyjść, i ciebie
Przerazić śpiącą. Wczora było ciemno —
Nie przypatrzyłaś się memu trupowi
I posiniałej twarzy! Co? Czy dosyć?...
Muszę ci zimną ręką dotknąć piersi —
Muszę wzdrygniętą widzieć — i posłuszną...
Wstań, i odprowadź mię z lampą do trumny!

(BEATRYX wstaje śpiąca i bierze lampę).

Za mną — za mną — pod ziemię śpiąca za mną!

(Wychodzi — BEATRYX za nim).

SCENA III.

(Wchodzi OJCIEC ANSELMO i GIANI).

ANSELMO.

Synu mój, ona tu śpi. Chcesz ją zbawić?
Zbudź i wyprowadź przez drzwiczki ogrodu.
Zbiry chcą trupa rewidować ciało —
Muszę z latarnią prowadzić do lochów.

GIANI.

Ojcie! to łóżko próżne...

ANSELMO.

Być nie może!

Te drzwiczki na klucz zamknięte — klucz u mnie!

GIANI.

Ona stąd wyszła...

ANSELMO.

Zbiry już stukają,

Muszę otworzyć...

GIANI.

Chciałem się z nią otruć —

Ja jej katowi nie dam! Księżu! zdrajco!

Ty ją gdzieś ukrył...

GŁOSY Z ZEWNĄTRZ.

Otwórzcie! justycya!

GIANI.

Jeśli ją wydasz — patrzaj, śmierć!

(Grozi sztyletem).

GŁOS.

Otwórzcie!

ANSELMO.

Zgubisz mnie! — święta Inkwizycya czeka...

GIANI.

Na wszystkich dyabłów, księżu! — pod sztyletem
Wyznaj, gdzie ona? — Wyznaj — bo na Boga
Sztylet uczujesz w sercu!...

ANSELMO.

Gwałtu! gwałtu!

GIANI.

Milcz! na Chrystusa mów! Nim drzwi wyłamią,
Będiesz jak kamień — — —

ANSELMO.

Cóż ja ci odpowiem?

Wyszła — uciekła — skoczyła do Tybru —

GIANI (obalając go).

Dyable!...

ANSELMO.

Zabójstwo!!

(Wywalają drzwi. Wchodzi INKWIZYTOR, PIETRO NEGRI, DON
LUCENZIO prawnik i ZBIRY).

SCENA IV.

INKWIZYTOR.

W imię Zbawiciela!

Tu się gwałt dzieje! Podnieście go z ziemi! —
Dlaczego, księże, drzwi nie odemknąłeś — ?
Kto się sprzeciwiał prawu?

ANSELMO.

Moja starość,

Moja zgrzybiała starość, Monsignore.

W nogach reumatyzm siedzi — i musiałem

Wołać na pomoc Signora malarza,

Który tu w blizkiej celi ma warsztaty.

Nim przybiegł, czekać musieliście trochę...

INKWIZYTOR.

Prowadź nas, księże, do kościelnych lochów,

Gdzie leży człowiek dzisiaj pochowany.

Obejrzyć przyszliśmy występku lice

I ślady wszystkie porównać z delacją.

GIANI.

Któż delatorem jest?

INKWIZYTOR.

Pytanie śmiałe!

Oto jest — Pietro Negri...

GIANI.

Co ja widzę?

Mój brat — stracony mój brat — Gino — brat mój!

PIETRO.

Tak — uściskajny się, Giani...

GIANI.

Nikczemny!

(Plwa mu w oczy i wychodzi).

INKWIZYTOR.

Księżu, weź klucze i prowadź do lochów.

(Wychodzą).

SCENA V.

(Lochy kościelne).

(Wchodzi CIEŃ CENCI, za nim BEATRYX śpiąca).

CIEŃ.

Pościel mi w trumnie, bo nie mogę zasnąć,
Lecz pierwszej ręce obetrzyj! — Tu trumna...

(Beatryx ściele trumnę).

Dobranoc! przykryj mię wiekiem na wieki.
O! jak tu zimno — Córko, dobrej nocy!
Długiej, ostatniej, ciemnej, wiecznej, dobrej!

(Kładzie się do trumny. Beatryx go wiekiem przykrywa).

BEATRYX (budząc się).

Gdzież jestem? byłże to sen? gdzie ja przyszła?
Ja tu nie sama szłam, lecz prowadzona
Przez jakieś widmo blade. — O! czym we śnie?

Czy mi się śniło, że memi rękami
 Słałam skrwawioną pościel trupa w trumnie?...
 Jezus Marya! — ha! — czy pochowana
 W letargu — żywom się tu obudziła
 I będę jadła z głodu moje ręce,
 Skrwawione moje ręce?... Okropności!
 Trumny, otwórzcie się jedna po drugiej,
 Bo nie wiem, która moja, pusta trumna,
 Tylko przeczuciem jedną z was poznałam —
 Tę, z której moje oczy... przez szczeliny
 Krew wysysają. — O! to drzewo jęczy!...
 Ha! kto mnie woła?... ha!... ratujcie ducha!...

(Wchodzi ANSELMO, INKWIZYTOR i ZBIRY).

INKWIZYTOR.

Z pochodnią, księżu, z pochodnią przed nami!

BEATRYX.

Ojcie!...

ANSELMO.

Nieszczęsna, cicho!

(Gasi pochodnię).

INKWIZYTOR.

Co to znaczy?

Kto tu zgasił pochodnię?

ANSELMO.

Wiatr grobów

Buchnął z otwartych drzwi i zgasił światło...

(Cicho do Beatryczy).

Signora, skryj się za trumny...

INKWIZYTOR.

Kto szepce?

ANSELMO.

To ja z przestachu w grobach mówię pacierz —

(Do Beatryczy).

Signora, skryj się! — już poszli po światło —

Matka i bracia twoi uwięzieni —
Z nami delator jest — jakiś Don Pietro...
Z kim ty rozmawiasz w grobie?

INKWIZYTOR.

Monsignore,
Jest to zwyczajem starości, chorobą,
Starzy do siebie mówią...

(Do Beatryczy).

Nieszczęśliwa!
Biedny mój malarz umrze, jak się dowie...

BEATRYX.

Czy z wami przyszedł?

ANSELMO.

Nie —

BEATRYX.

Więc go pożegnaj!
Drżałam należąc do niego — lecz teraz
Jestem własnością ludu i aktorką.
On wydarł ze mnie więcej, niż ogniste
Wydrą tortury, niż ta blada mara,
Która mnie tutaj prowadziła... Powiedz —
Lecz nie! — najlepiej do serca kochanka
Mówi milczący grób. Ten mnie wyprosi
Od zapomnienia... Przyszli z pochodniami —
Prowadź mnie do nich i powiedz, kto jestem.

ANSELMO.

Tu, Monsignore, przez zrządzenie Boskie
W grobie znalazła się Signora Cenci,
Która się sama dla uniewinnienia
W sprawiedliwości oto daje ręce...

INKWIZYTOR.

Gdzie jest delator? niech ją pozna!

PIETRO.

Boże!

BEATRYX.

Od wczoraj tyle rzeczy szlachetniejszych
Wygluzowało tę twarz z mego serca,
Żem go na wieki zapomniała. — Bądź zdrów!...
Widać, że garb twój był tylko tłomokiem,
W którym nosiłeś podłość. — Bądź szczęśliwy!
Więcej nie powiem nawet na torturach —
Jesteś kamieniem dla mnie — żyj spokojny!

INKWIZYTOR.

Otwórzcie trumnę —

BEATRYX.

Ten trup przed minutą
Zasnął, a wy go znowu turbujecie.
We mnie jest także pierś z krwawemi usty,
Która wygada więcej, niż ten człowiek,
Jeśli mię wasze tortury przymuszają...

(Trumnę otwierają).

INKWIZYTOR.

Zapisać! piersi rozdarte sztyletem —
Sztylet do rany przypada. — Signora,
Teraz cię będę konsygnował ja sam
Barygielowi świętego Anioła.

(Wychodzą).

ANSELMO.

Bogdaj ją Anioł zbawił!... biedna ona! —
Lecz cóż? — Skończona rzecz! nic nie pomogę.
Już zorza — pójdę sadzić moje kwiaty.

(Wychodzi).

SCENA VI.

(Pałac Orsinich).

ORSINI — i komisarz sprawiedliwości DON LUCENZIO.

ORSINI.

Ciemna zbrodnia — straszna zbrodnia! Papież przerażony, nakazał post. Don Lucenzio, czy zdjąłeś pierwszą interrogacyę?

DON LUCENZIO.

Oto jest, Monsignore —

ORSINI.

Zaparli się. Czy widzisz Acan w tej interrogacyi jaką sprzeczność, z którejby można wyciągnąć dowód ad confusionem?...

DON LUCENZIO.

Żadnego, Monsignore.

ORSINI.

To znów Kolonna będzie czekał po Rzymie, będzie obgadywał moją sprawiedliwość — sprawiedliwość, Don Lucenzio, która jest siostrą Ukrzyżowanego, a matką prawa.

(Wchodzi PRZEŁOŻONY ZBIRÓW).

ZBIR.

Rzecz dziwna, prawdziwe Boskie zrządzenie! W grobie Cencego znaleziono córkę Cencego. Podinkwizytor ją aresztował.

ORSINI.

Don Lucenzio, zdjąć z niej interrogacyę, lecz łagodnie, bez przymusu — ale zrećnie! Okropna zbrodnia — ludzie zamienają się w Etyopów. Przysłać mi tu Pietra Negri! Ja go sam wypytam, wyszę, wycisnę, wymyję go mydłem, pod którym puści, jeżeli źle farbowany —

(Wychodzą ZBIR i LUCENZIO).

Jakże to smutnie wykrywać z urzędu
Błędy ludzkości i szaleństwa krwawe!
Każdy dzień, w którym sądzę drugich ludzi,
Ciągnie bezsenną noc — a co jest gorsza,
Dukata ciągnie dla Eskulapiego,
Który mię potem z bezsenności leczy. —
Ta krwawa zbrodnia nie ujdzie bezkarnie...

(Wchodzi PIETRO NEGRI).

Ten mię garbaty człowiek we śnie ściga. —
Przystąp tu Acan — podnieś Acan oczy!
Muszę Waćpanu tu rzec bez ogródek,
Że jego sprawa zły bierze kierunek,
A brak dowodów oczywisty... Primo:
Mieszczanie świadczą, że Waćpan najpierwszy
Zbudziłś miasto, wołając ratunku
Owej to nocy, kiedy Cenci zginął.
Nie mogę tego Waćpanu zataić,
Że się zabójca odkrył sam, i równie
Jest uwięziony. Delacya Waćpana
Może mieć bardzo złe, bardzo złe skutki!...
Wreszcie zostaje jeszcze jakaś ciemność
Circa Waćpana samego. — Kto jesteś?
Nikt ciebie nie zna — nikt się nie przyznaje
Do znajomości z tobą, szary człeku!

PIETRO.

Jeżeli o to chodzi, Monsignore,
Znalazłem w Rzymie rodzonego brata;
Ten może o mnie poświadczyć.

ORSINI (zagadując).

To dobrze!

Waćpan się staraj o świadectwo, dobrze!
Ale to jeszcze nie koniec, mój mości!
Ta zbrodnia, to jest ta delacya, pachnie
Sznurem dla niego samego! Minimum,
Że na torturze skończy się — jeżeli
Nie zdołasz prawnie dowieść zaskarżenia...

PIETRO.

Dowody jasne są —

ORSINI.

Niedostateczne!

PIETRO.

Tortury srogie są —

ORSINI.

Boleść się znosi.

PIETRO.

Sumienie gada —

ORSINI.

Nie przed ludźmi!

PIETRO.

Panie!...

ORSINI.

Cóż mówisz?...

PIETRO.

Dawniej trudniłem się sztuką — —

ORSINI.

Jaką!

PIETRO.

Malarstwem.

ORSINI.

Szkoda, wielka szkoda,

Ześ nie mógł sobie wymalować ciała,

I dać na model Bogu, nim cię stworzył...

PIETRO.

Mogęz otwarcie mówić, Monsignore?

ORSINI.

Mów —

PIETRO.

Zbrodnia taka nawet i w sądzie

Wymaga pewnej sztuki, a justycya

Stawszy się muzą, poddanką Eschyla,

Winna zdjąć z czoła chustę — a przywołać
Z gwiazdami inne siostry ku pomocy.
Jeżeli moja delacya upadnie
I swym upadkiem zgniecie delatora,
Co za zysk, co za chwała, Monsignore?
Jedni powiedzą: kalumniator periit,
A ten głos znajdzie echo wyszydzenia
W pałacu Dyabła Kolonny! Lecz drudzy
Przypiszą moją śmierć Temidzie ślepej
Lub przerażonej liczbą obwinionych...
Twe Jowiszowe brwi, o Monsignore,
Próżno mi grożą, siwe kładąc chmury
Na błyskawicach. Jestem w mojem prawie
I mogę mówić wszystko na obronę.
Więc, Monsignore, powtarzam, że Cenci
Winni są zbrodni, winni ojcobójstwa;
Ze jeśli będzie wolno mnie samemu,
(A nie przez bojaźń to mówię, lecz w chęci
Odkrycia prawdy) jeśli będzie wolno
Podać sposoby, którymi być może
Zeznanie zbrodni ze zbrodniarzów miane:
Ja się podejmę! Choć wiem, że rzecz taka
Do trybunału należy, do sędziów,

ORSINI.

Miałżebyś jaki dowód pod kapturem?

PIETRO.

Nie, Monsignore! Lecz jestem artystą,
Malarzem jestem. Spróbuj, Monsignore,
Pytań, podstępów, głodu, kajdan, tortur;
A jeśli wszystko moc ludzi pokona:
Wystąpię z moją torturą — ostatnią,
Z torturą duszy, nie ciała... z torturą
Łagodną — ale okropną i pewną!...
Upraszam tylko, abyś Monsignore
Kazał mi warsztat postawić malarski

W miejscu dogodnem — i czekał ciepłiwie,
Aż tajemnica milczenia dojrzeje...

ORSINI.

Chodź — a w odległym pałacowem skrzydle
Każę urządzić wszystko, jako żądasz.

SCENA VII.

(W klasztorze Ojca Anselma. OJCIEC ANSELMO — GIANI).

GIANI.

Nie patrz tak na mnie, księżu! Ja spokojny...
Weź rydel i kop tulipany —

ANSELMO.

Giani!

Wszystko najlepiej Bóg wielki układa.
Gdyby się miłość ta zajęła w tobie
Karmiona dłuższą nieuwagą... — A tak
Dobrze, to będzie na przyszłość nauka —
Prędko zajęty ogień prędko gaśnie...

GIANI.

Piękny dziś ranek! słońce wybuchnęło
Gwałtownie ponad cyprysami Rzymu...

ANSELMO.

Spokojny ranek, lecz będzie gorąco,
Bo już bukszpany pachną mocno...

GIANI.

Ojcze,

Jak ty przepędzisz cały dzień?

ANSELMO.

Jak zawsze.

GIANI.

Nie czekaj na mnie z wieczerzą, mój Ojcze,
Bo noc przepędzę dzisiaj z przyjaciół —

ANSELMO.

Niech cię Bóg strzeż! — A ostrożnie, Giani,
Bo zabijają w nocy po ulicach...
Ostrożnie! Ale szukaj roztargnienia.

(Wyprowadza go).

SCENA VIII.

(W więzieniu świętego Anioła. BEATRYX — BARYGIEL).

BEATRYX.

Gdzie moja matka?

BARYGIEL.

Czekaj tu, Signora.

Matka i bracia teraz na torturach —

BEATRYX.

I dziecko?!

BARYGIEL.

Dziecko tylko patrzy.

BEATRYX.

Zgroza!!

Ohydny Rzymie — o! krwawa jaskinio! —
Wy nazywacie to zamkiem Anioła?!

BARYGIEL.

Anioł brązowy na tym zamku stoi —

BEATRYX.

O! niechaj Boskie strąca go pioruny!

(Wnoszą omdlałą MATKĘ. Wchodzi TOMASO i AZO).

BEATRYX.

Omdlała?

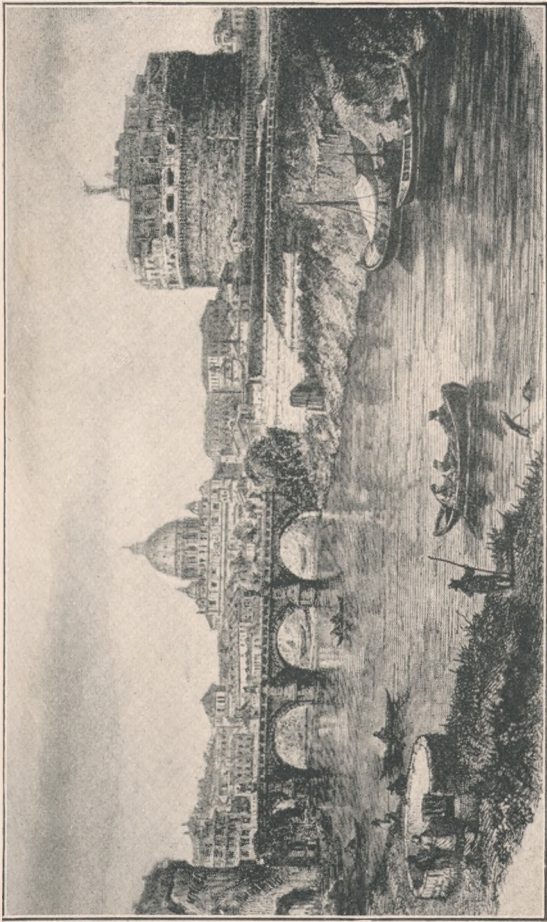
TOMASO.

Widzisz —

BARYGIEL (do straży).

Precz stąd, zbiry — precz stąd!

(Wychodzi ze zbirami).



Zamek i most św. Aniola.

BEATRYX.

Czarna godzina — módlmy się!...

AZO.

Czy mama umarła?

BEATRYX.

Umrze, jeżeli będziesz płakał. Powiedziała co?

TOMASO.

Nic.

BEATRYX.

A ty?

TOMASO.

Usta moje słone — krwi pełne. Język pokąsałem z bólu, ale głowa moja do mnie należy. Skronie matce nacieraj, bo moje ręce jak rozpalone żelazo, gorące i suche. Ją posadzono na żelaznem krześle — a jam wisiał na wyłamanej ręce — w powietrzu. I targano mię, i kości moje krzyczały w ciele o pomoc; ale moja dusza zagłuszyła wołanie kości i wrzask podły cielsnych władz, zbuntowanych przeciwko językowi — łkającemu...

BEATRYX.

Cicho, matka się budzi...

MATKA.

Beatryx...

BEATRYX.

Matko...

MATKA.

Czy ja nic nie powiedziałam?...

BEATRYX.

Nic.

MATKA.

A wy?

TOMASO.

Nic.

MATKA.

Jeżeli nas Chrystus wyratuje, oddam mu część mego światła na ziemi; każę sobie wydrzeć oczy — przysięgam. A ciebie, córko, kto wydał w ręce katów?

BEATRYX.

Ojciec...

MATKA.

Ha!!

BEATRYX.

To był sen okropny!...

MATKA.

Każde z nas ma tu filar — i kamień. Jak tu straszno!... Terazby mogły wyjść te furje czerwone, gdy smutni siedzimy po kątach, i przepowiedzieć nam jutro...

TOMASO.

Te okropne?...

AZO.

Mamo, ja senny.

MATKA.

Tu, psiątko, przy nogach, na kamieniu...

TOMASO.

Głowa mi cięży, nie mogę się oprzeć snowi —

MATKA.

Ha!! kto tu gadał?

BEATRYX.

Podдай się matko ~~z~~mysłom, twoje myśli błędzą sennie i ciężkie...

MATKA.

Jezu!

(Wszyscy zasypiają oprócz Beatrycy).

BEATRYX.

Śpią umęczeni, straszni i spokojni
W kątach — żałobne posągi nieszczęścia!...

A słońca smutny snop — jako czerwony
Piorun bez huk, ze sklepień upada
I trwa w powietrzu ciemnem nieruchomy,
Krwawiąc ciemności środek... O! tu... tu... tu...
Jestże to morze ze krwi promienistej,
W której się będę kąpała wzdrygnięta?
Czy z tego światła czerwonego wyjdą
Mary ohydne, co nieszczęścia szmerem
Dom napełniały przed czynem rąk naszych,
Zawsze przytomne, blizkie, niewidzialne...

TOMASO (przez sen).

Do mnie, Kolonna!

BEATRYX.

Mój brat przez sen gada.

TOMASO.

Mieczami kata!... ho! tu, tu, tu laną!...

BEATRYX.

Na swych rycerzy krzyczy — z rusztowania...
O! sen straszliwy i spełnienia blizki.

MATKA (przez sen).

Z Chrystusa płynie krew, a w piersiach słońce —
O! o! ratuj nas!

BEATRYX.

Sumienia bezsenne!...

AZO (przez sen).

O! mam, główka moja...

BEATRYX.

I ten ptaszek?...
Władze dręczące, precz od śpiących ludzi!
Podłe szatany, precz od niebronionych! —
Ha! drzwi więzienia skrzypią. Kto to? cicho!

(Wchodzi DOLORIDA).

Piękne dziewczątka jakieś. Czegoś przyszła?

DOLORIDA.

Jestem, Signora, Barygiela córką.

BEATRYX.

Jak się nazywasz, miła?

DOLORIDA.

Dolorida.

BEATRYX.

O! dobre imię, stworzone dla świata!

Dlaczego patrzysz na mnie tak ciekawie?

DOLORIDA.

Signora...

BEATRYX.

Nie drzyj — nie mieszaj się, ładna.

Jestem łagodną i cichą — chodź bliżej!

Jeżeli jakie wypełniasz poselstwo,

Mów, moje dziewczę...

DOLORIDA.

Mam listek od kogoś...

BEATRYX.

Daj! daj, daj, gdzie go ukryłaś?

DOLORIDA.

We włosach.

BEATRYX.

Chodź tu pod słońce i klękni — ja sama

Będę dziś twoją pokojówką...

(Wyjmuje strzałę srebrną z włosów Doloridy, rozpuszcza jej warkocze i wyjmuje list).

Czerwone słońce więzień, teraz nie zagaśnij,

Aż ten list we mnie zagasi nadzieje!

Dzieweczko! ten list — ten list pachnie sercem,

A jednak nie śmiem zajrzeć w jego serce.

Kto ci dał ten list?...

DOLORIDA.

Młody, piękny panicz.

BEATRYX.

Spokojny jaki człowiek?

DOLORIDA.

Hojny panicz,

Bo mi dał listek i ten sznur koralu
I... pocałunek — ale taki zimny,
Ze go nie można nazwać pocałunkiem.

BEATRYX.

Zimne są usta, gdy się pali serce.
Błogosławiona bądź, dziewczeczko moja,
Bo w twoich kruczych przyniosłaś warkoczach
List od kochanka i śmierci narzędzie...
Jeśli zrani list — to strzała zabije.

DOLORIDA.

Pani, ty ojca mojego zabijesz!...

BEATRYX.

Twojego ojca? — ja?

DOLORIDA.

Tak, twoją śmiercią.

BEATRYX.

Więc weź ode mnie to. O! do mnie, do mnie,
Myśli rozpierzchłe — do mnie, jak gołębie
W upał źródlanej wody upragnione!
Tu jest fontana łez... tu w tym listeczku
Najada płaczu jęczy w upał słońca
I rozognione moje myśli wabi —
A jednak może tu jest śmierć w tym liście —
(Czyta).

Patrz — pisze do mnie Giani, że mnie kocha...
Czy ty nie wierzysz? Patrz, pisze, że kocha!
Więc ja nie mogę wydrzeć mu osoby,
Którą on kocha — prawda? Ja nie swoją,
Ale kochanka jestem służebnicą. —
Gdyby cię kochał tak piękny kochanek,

Chciałażbyś umrzeć? powiedz, Dolorido! —
Czy taki dziki list nie uniewinnia,
A takie wielkie łzy nie myją duszy?
O Boże! Boże! — Chodź tu, Dolorido!
Daj mi tę srebrną strzałę bez bojaźni:
Ona mi będzie niczem — tylko piórem,
Które miłości bóg wyrwał ze skrzydeł
I dał mi w ręce drżące; a ta chustka,
Jeszcze wilgotna od łez, będzie kartą,
Na której miłość wypisze sztyletem
Całą historię skrucy i żałości...
Ale czem pisać? — Czy w ciemne powietrze
Więzienia tego pióro me umoczę?
Czy w tę czerwoną promienistą jasność?
Czy w moje serce teraz rozjaśnione?...
O! gdybym mogła w serce... lecz nie, lecz nie!
Pocóż zabijać serce już nie moje?
Pocóż tę miłość pisać krwi rubinem?
Pocóż tę chustkę oczerniać słowami?...
Zanieś mu chustkę i powiedz, że na niej
Są łzy, przysięgi, skargi, pożegnania...
Powiedz, że mnie tu widziałaś spokojną,
O nim myślącą i pełną radości...
Powiedz, że kocham go — jemu posłuszna;
Ze czekam śmierci — ale z jego woli,
Z jego rozkazu, z jego osądzenia,
Z jego wyroku; i to mię uczyni
Dla katów rzeczą cudzą, nietykalną,
I nieśmiertelną, tak jak miłość moja...

DOLORIDA.

Będzież on płakał — biedny, biedny człowiek!

BEATRYX.

Gdzież ty go dzisiaj obaczysz, dziewczyno?

DOLORIDA.

Czekać mię będzie na małym cmentarzu,
Koło świętego Piotra —

BEATRYX.

Znam ten cmentarz.

DOLORIDA.

Bądź zdrowa — młoda, piękna moja pani!

(Wychodzi).

BEATRYX.

Wejście tej czystej sen przyniosło cichy
Tym ciemnym, śpiącym; a mnie — żądze życia.

AKT CZWARTY.

SCENA I.

(Na cmentarzu).

TRZY WIEDZMY.

Na powietrzu złoty kurz —
Wicher — księżyc — chmura dusz —
Nóg nie raniąc mogił żwirem
Wkoło wirem, wirem, wirem.
Trwożyć dusze, serca mienić,
Klaskać węzem... zbrodnie żenić,
Szkarlatynę siać i krup...
Z Boga jest świat — ze świata trup...

I.

Czy widziałaś go — czy przyjdzie?

II.

Krew Chrystusa widziałam na żyzdnie.

I.

To nic, ale bękart nasz.

III.

Ja ci go dam, a ty co mi dasz?

I.

Kocie oczy?

II.

Brata garb.

I.

Byłam u brata — natarłam mu farb
I maluje, maluje i maże,
Pokąsają się malarze,
Krew rozleje brata brat,
W krwi umoczy szablę kat...

II.

Czuję siarkę, czuję krew,

III.

Po krwawemu niebo błyska
Z poza cyprysowych drzew,
To znaczy, że Bóg straci — a Lucyper zyska.

(Znikają).

GIANI (wchodzi).

Na tym cmentarzu leży Cesario mój drogi.
Oto jego mogiła — jeszcze biała... o! o!
Jak mi teraz potrzebny przyjaciel Cesario!
Czy ty mnie słyszysz? czy się litujesz nade mną?...
Czuję, że teraz, mocno natężywszy pamięć,
Mógłbym cię wydrzeć z ziemi. Ale pamięć moja
Jest jak zbite zwierciadło... Egoizm, egoizm!
Dla siebie chciałbym z grobu obudzić człowieka
I uczynić go żywym. Okropna nieprzyjaźń! —
O! tę mi chustkę białą przysłała... Cesario,
Co ty o tej kobiety łzach myślisz i sercu?
Cóż? — żadnej odpowiedzi?... i tylko cyprysy,
Sługi grobów, ruszyły się czarne przy ścianach,
Jakby tu zejść się chciały, otoczyć mnie wkoło,
I zacząć ze mną o mej miłości rozmowę...
Cóż? — nikogo w powietrzu cmentarzowym? ha! ha!
Świat się stał ciałem, z duchów wyludniał... A jednak
Czuję w powietrzu, że sam nie jestem, lecz blisko
Niewyjawione twarzą kupią się straszyla

I dotykając ręką zimną moich włosów,
 Szczepią w nie jakieś straszne myśli, przerażenia...
 Gotowy jestem — na co? sam nie wiem, a jednak
 Czuje, że mam przed sobą coś niewyraźnego,
 A to coś — będzie rzeczą spełnioną, nim słońce
 Ten blady księżyc zetrze...

GŁOS WIEDZMY.

Śpiesz się! śpiesz się! śpiesz się!

GIANI.

Na Boga! To wasz jęk, trzy piekielnice!
 Do głosu tego braknie waszych twarzy...
 Myślą dorobię wam, co braknie, mary,
 Przygotowany jestem, widma — do mnie!

GŁOS.

Mamy nad tobą litość, mamy litość —

GIANI.

O! o! nieprawdaż, że ja nieszczęśliwy,
 Ze mi czas tu być pod tą cichą ziemią?
 Wy same smętne, patrząc na mnie! i wasz
 Głos stał się więcej kobiecym, niewiasty...
 Przez kogokolwiek przysłane jesteście,
 Skoro moc macie nad mymi zmysłami:
 Jestem gotowy prawie wam się cały
 Oddać i waszym radom się powierzyć.
 Byleście były ze mną aż do końca
 I nie rzuciły z samym sobą, nim się
 Ta rzecz rozwiąże...

GŁOSY.

Zbaw ją!

Zbaw ją!

Zbaw ją!

GIANI.

Czy mogę zbawić? Powiedzcie, czy mogę?
 Wyteńcie oczy skrawe w ciemną przyszłość
 I tam zobaczcie, czy mi przeznaczono

Wybawicielem jej być i obrońcą...

Błagam was, mówcie! mówcie! ja was błagam...

GŁOS.

Od brata twego ją broń, broń od brata!

GIANI.

Co słyszę? miałaby ten wąż na plecach wzdęty

Do końca ścigać ją?...

GŁOS.

Twój brat ją kocha.

GIANI.

Co? w jego myśli ta piękna już była

Z szat rozebrana? On — ten człowiek sprośny!...

O mary, widzę, że mnie opuszczacie,

Uległe władzy silniejszej zniknienia,

Niż moja władza zakłęb. — Jeszcze słowo!

Mój brat... co słyszę? cmentarzowe echo

Odpowiedziało: kat!... ha... drżą mi nogi...

Tu straszne myśli są w powietrzu... brat mój...

Brat mój... okropny wiatr mnie stąd wypycha.

(Wychodzi).

SCENA II.

(Pracownia malarska. PIETRO NEGRI — ORSINI).

ORSINI.

Opowiedziałem już Trybunałowi

Waćpana zamiar, i uznał go zmyślnym,

Zwłaszcza że sztuka malarska raz pierwszy

Użyta jako tortura w procesie,

Oprócz piękności duchowego celu

Osiągnie drugi cel — użyteczności.

Waćpana pierwszy charakter uzyskał

Niby pozłotę od pochwał i wagę...

Kończ obraz — jutro uczynimy próbę.

(Wychodzi).

PIETRO.

A więc do pendzla! — kończmy dzieło piekła.
 Ta lampa płonie blado — niespokojnie,
 A obrzydliwy gość, nietoperz szary,
 W powietrzu kreśli koła tajemnicze
 I miga czarnym błyskiem. Cyt — ktoś idzie...
 To z halabardą strażnik pałacowy
 Po korytarzu przechadza się. — Dobrze!
 Jest bezpieczeństwo. Do pendzla, do pendzla!...
 Nie mogę — jakaś nadzwyczajna trwoga
 Mrozi mi w żyłach krew. — Ten obraz straszny,
 Wystawiający człowieka zarznięcie,
 Straszny jest w nocy towarzyszem. Wszystkie
 Osoby — oprócz trupa, poruszone
 Lampy miganiem, żyją, drżą i szepcą
 Straszne wyrazy. — Cyt!... co to?... stuknięcie...
 Ktoś w korytarzu upadł... ha!... co widzę?

(Wchodzi GIANO GIANI).

Co widzę? brat mój — rozczochrany — błady!
 Co ci jest? czego przychodzisz tak późno?
 Kto cię tu puścił? jesteś cały we krwi...
 Puszczaj — zawołam ludzi!

GIANI.

Stój, piekielny!

PIETRO.

Gwałtu, zabójstwo!

(Lampa gaśnie).

GIANI.

Trup jest w korytarzu,
 Ale nie słyszy. Sza! jesteś zgubiony...
 Mary, co robić? kto zagasił lampę?
 Zieloność twojej twarzy jest mi lampą,
 Twarz obrzydliwa twoja jest mi słońcem — —

PIETRO.

O! bracie!...

GŁOS.

W serce!

GIANI.

Ha! jesteście ze mną?
Zdejmijcie więc ze mnie braterstwo...

PIETRO.

O matko!

GIANI.

Matki na pomoc wołasz?... tyś ją zabił!...
Zbójco, na pomoc wołasz matki? ha! ha!
Czy wy słyszycie, furye? Ten morderca
Woła na pomoc tu — zamordowanych
I mnie tu robi sprawiedliwym...

PIETRO.

Puść mnie!...

GIANI.

Do piekła puszczę z rąk, morderco czarny!
Zmów pacierz!

PIETRO.

Pozwól, niechaj złożę ręce,
Niechaj krzyż wezmę...

GIANI.

Twój krzyż ostry, i rzuń...

(Chwyta sztylet Negriego).

Tym samym krzyżem giń! giń! giń!

PIETRO.

O Boże!

Sztyletem Cencich zabijasz... ratunku!
Konam — ratunku!... Zimno mi... o! zimno —
W oczach mi stoi bratobójca... o! tu...
Za nim osoby straszne z pochodniami —
Piekło otwarte — o! pożar i węże —
Krew, krew na brata — ziębnę — jestem trupem...

(Kona).

GIANI.

Ja nie wołałem was, lecz teraz czuję,
Ze wy jesteście z piekła. O! jak prędko
Myśl zaszczepiona przez was krwią się stała,
Matki rozpaczy! O! wy jako matki
Targacie włosy z okropności, bledsze
Niż przed godziną... ha!...

WIEDŹMA I-sza.

Uciekaj z nożem!

GIANI.

Nie przerażajcie mnie, bo ja się gotów
Rzucić pomiędzy was z sztyletem — wściekły
Przeciwko waszej naturze, i szukać
Śmierci pomiędzy wami, jak śród wichru
Piorunowego...

WIEDŹMY.

Zbliź się! zbliź się! zbliź się!

GIANI.

Gdzie drzwi?... To trupy są, z żywymi włosy,
Które podniosła im na czołach trwoga,
Jak garść płomieni... Gdzie drzwi? to są trupy!
Ja stąd nie mogę wyjść — przed moją ręką
Ucieka w ciemność mur...

WIEDŹMY.

Uciekaj z nożem!

GIANI.

Bładość mi własna świeci... tu... niech trupy
Goniać mię — ha! ha! — lampa w kurytarzu...

(Wychodzi).

WIEDŹMA I-sza.

Widzisz! widzisz! widzisz — trup!
Krwawa szata — oczy w słup...
Złożyć jemu ręce w krzyż...

II.

Czemu ty blada?

III.

A ty czemu drżysz?

I.

Na jutrznię usłyszałam dzwon,
Zebrałyśmy zbrodni plon,
Reszta jest dziełem dla katów i wron,
Wężami sądową zmiotłyśmy kurę,
Trzy głowy, trzech katów, trzy piekła, trzy furye.

(Znikają).

SCENA III.

(S a l a s ą d o w a).

DON LUCENZIO — ODŹWIERNY.

DON LUCENZIO.

Która godzina?

ODŹWIERNY.

Piąta.

DON LUCENZIO.

Czy już biła?

ODŹWIERNY.

O! właśnie teraz bije na zegarze.

DON LUCENZIO.

Bogdajby prędzej zeszli się sędziowie!

Ciekawy proces —

ODŹWIERNY.

Tak, ciekawy proces!

Żona dziś moja w nocy poroniła,
Słyszając od starej wiedźmy rozczochranej
Wszystkie szczegóły zbrodni, Don Lucenzio.
Ale ja sądzę, że nie z przerażenia,
Lecz z ciekawości zroniła mi żona.

Kobiety — to gotowe zawsze zbyć się płodu
Przed karnawałem albo egzekucją.

DON LUCENZIO.

Tą razą, mości Kustode, być może,
Że egzekucyi nie będzie —

ODŹWIERNY.

Na Boga?!

(Wchodzi GIANI i siada na ławie).

DON LUCENZIO.

Cóż to za człowiek tam w kącie usiada
Płaszczem okryty?

ODŹWIERNY.

Jakiś Avvocato —

GIANI.

Jeszcze raz ujrzę ją — po raz ostatni...

(Wchodzi OJCIEC ANSELMO).

ANSELMO.

Tu pewnie znajdę mojego malarza —
W nocy nie wrócił...

DON LUCENZIO.

Dobry dzień, mój Ojcze!

Ha, ha?... ogródek opuściłeś cichy
I tu przywiodła ciekawość?

ANSELMO.

Mój Boże!

Jak to wy prędko potępiać ludzi...
Ha! otóż widzę tam mojego ptaszka...
O! dzięki Bogu, Giani, że cię widzę,
Bom był o ciebie mocno niespokojny.

GIANI.

Ojcze! nie siadaj przy mnie...

ANSELMO.

Cóż takiego?

Ja zmordowany. Cóż? coś robił w nocy?
A raczej spytam ciebie, co tu robisz?
Jestże to miejsce dla ciebie — szalony,
Słuchać o krwawych rzeczach, o zabójstwach,
O rusztowaniach? Giani! chodź do domu!

GIANI.

O starcze, będziesz ty mnie dręczył?

ANSELMO.

Synu!

To mi przynajmniej przyrzecz, że w tym kącie
Będiesz spokojny i nieporuszony.

GIANI.

Będę spokojny —

ANSELMO.

Daj mi na to rękę!

GIANI.

Rękę?...

ANSELMO.

Jakiż ty jesteś dzisiaj trudny!
Widzę, że trzeba mi być twoim stróżem.

(Wchodzą sędziowie i siadają).

Pamiętaj, Giani, że sądu prezesem
Orsini, ojciec twój. Nie zrób mu wstydu!
Ty jeszcze może tę ohydną kochasz,
Nie sercem, ale głową?

GIANI.

Kocham głową...

Głowa ta, co ją kocha, ojczy, spadnie!

ANSELMO.

Co?

GIANI.

Spadnie mi na serce — jestem senny...
Pozwól mi nieco spocząć tu, przy ścianie.

ANSELMO.

Śpij, śpij... Nie wiedzieć, po co tu przyszedłem.

(ORSINI dzwoni).

ORSINI.

Wprowadzić obwinionych! Nie puszczać tu więcej ludu. Niech halabardniki strzegą drzwi od pospólstwa.

ANSELMO.

Nie wiedzieć, po co tu przyszedłem. Święty Boże! Taka sama cisza będzie przed sądem ostatecznym... Jezu drogi!

(Wchodzą obwinieni: MATKA CENCI, TOMASO, AZO, BEATRYX).

ORSINI.

Jak się nazywasz?

MATKA.

Matka Cencich.

ORSINI.

A ty?

TOMASO.

Tomaso Cenci, kapitan w kompanii Kolonny.

ORSINI.

A ty?

AZO.

Azo Cenci.

ORSINI.

A ty obwiniona?

BEATRYX.

Beatryx. —

ORSINI.

Oskarżeni jesteście o zabójstwo ojca waszego.

MATKA.

Kto skarży?

ORSINI.

Pietro Negri.

MATKA.

Więc zawołajcie — niechaj powie w oczy,

Niechaj mi spojrzę w oczy i powtórzę!
Bo ja w tej chwili mam zabójcze oczy;
Bo jeśli kogo w życiu chciałam zabić,
A na czyn taki miałam dosyć mocy,
To teraz zabić go chcę w oczach waszych
Memi oczyma... Gdzie jest ten ohydny?
Czy już go chęcią zabicia zabiłam?
A więc mnie sądźcie, bo chciałam go zabić...
Chęć moja była sztyletem, piorunem,
I wypełniła się, jak słowo Boże.

ORSINI.

Żywy jest człowiek, o którym ty mówisz,
I wprowadzony będzie na czas —

MATKA.

Synu!

Powiedz tym sędziom, że są zabójcami...

TOMASO.

Orsini sędzi, to dosyć!... Orsini...
Więc się nie dziwię, że chce sądzić na śmierć.
Przed trzema dniami koń mój kopytami
Druzgotał herby niedźwiedzie i kości;
Ręka paliła Orsyńczyków wieże,
Miecz rąbał bramy. Cóż? niema tu w sali
Jednego nawet z Kolonnów — choćby psa,
Coby wył, widząc mnie oskarżonego
Tak niegodziwie przez tego szatana?
Lecz i ten szatan nie pokazał twarzy
W całym procesie — tylko swoją duszę
Przelał w tortury, które nas dręczyły...
O! więc nie on mię skarży, lecz tortury...

MATKA.

Nie sprawiedliwość sędzi, lecz Orsini...

TOMASO.

Nie prawdę z nas chcą wycisnąć, lecz krew!...

MATKA.

Azo, o dziecko moje, rośnij ty na zemstę!
Ciebie przynajmniej katy nie zabiją...
Pamiętaj o mnie, małe dziecko moje!
Niechaj przekleństwa moje rosną z tobą
I rosną w tobie!... i rośnij na zemstę!

BEATRYX.

Orsini! Sądu i sprawiedliwości...

GIANI.

Mówi!...

ANSELMO.

Mój synu, nie wstawaj, zaklinam!
Widzisz — im teraz potrzebna przytomność,
A twarz znajoma, nagle ukazana,
Pomiesza myśli...

GIANI.

Boże, czuwaj nad nią!

ORSINI.

Akuzatora postawić im w oczy!

GIANI.

Anselmo, słabo mi...

ANSELMO.

Oprzyj się na mnie...
Co widzę? ręka twoja krwią zwalana?

GIANI.

Trup gotów powstać...

ANSELMO.

Jaki trup? na Boga!
O czym ty gadasz z twarzą tak okropną?

GIANI.

Anselmo!

ANSELMO.

Usiądź, uf! jak tu gorąco...

(Wchodzi ZBIB).

ORSINI.

Gdzież Pietro Negri, oskarżyciel?

ZBIR.

Monsignore, Pietro Negri zabity —

ORSINI.

Co???

ZBIR.

Zamordowany.

ORSINI.

Przez kogo?

ZBIR.

Nie wiadomo. Strażnik, który stał na korytarzu, nie żyje. Negri leży we krwi na podłodze, a od trupa aż do drzwi znaleźliśmy ślad krwawy zabójcy i ten sztylet —

ORSINI.

Ten sztylet należał do procesu. Cenci, to wasz sztylet?

BEATRYX.

Mój!

(Wyciąga ręce po niego).

ORSINI.

Signora, nie dam ci do rąk żelaza. Życie twoje należy do sądu —

ANSELMO.

Sąd, przerażony wieścią o zabiciu delatora, waha się. To dobrze dla Cencich!

GIANI.

Dobrze?

ANSELMO.

Orsini wydaje cicho jakieś rozkazy —

MATKA.

Ha! gdzież delator wasz?... gdzie wasz delator?
Trupy z sądzących! — ha!

ORSINI.

Tryumfujecie!

Kolonna znalazł zabójcę — to dobrze!
 W Kolonny fakcyi jest wielu zabójców —
 Wielu zabójców, przyjaciół zabójców —

BEATRYX.

O Monsignore, ty nam nie urągaj!
 A ty, o matko, oddaj się modlitwie,
 Bo wola twoja straszną jest i rządzi
 Mocą tajemnych władz...

MATKA.

Więc jestem silna!

O! jestem silna. I chcecież wy teraz,
 To wam wywołam delatora z grobu
 I tu postawię za twem, Monsignore,
 Krzesłem... Ja śmierci tej się nie zapieram —
 Jam go zabiła przez mury... przez ziemię!
 Bo ja pod ziemią byłam uwięziona,
 Ale przegryzłam się myślą przez ziemię
 I w samo łotra serce ukąsiłam —
 Czuję na zębach krew... Cóż, Monsignore?
 Czy chcesz mię zamknąć pod ziemię — i zaśniesz?

TOMASO.

Czy zaśniesz, póki jest w Rzymie Kolonna?

ORSINI (do sędziów).

Cóż wy mówicie?

SĘDZIA.

Wielki brak dowodów...

GIANI.

Księżu, o! widzisz ją? uniewinniona!

ANSELMO.

Jezus, Marya! ręka twoja we krwi...
 Krew masz na ręce suchą — kto cię ranił? —
 Ty pokazałeś na nią palcem krwawym...

GIANI.

Ją uniewinnia...

ANSELMO.

Słuchaj — sędzia mówi

GIANI.

Ojczy, niewinna! Powiedz, ojczy!

ANSELMO.

Nie krzycz!...

GIANI.

Ja bym chciał w ustach jego być wyrazem,
Jednym wyrazem: niewinna!... Cóż to jest?
Wnoszą zakryty obraz. Księżu, co to?

ORSINI.

Winnych niech własne potępi sumienie.
Bracia, uważnie patrzcie na ich twarze,
Bo porównani będą z delatorem...

GIANI.

Nie widzę — co to jest?...

ORSINI.

Odkryć zasłonę!

Sumienia ludzi — gadajcie!

GIANI.

O! bladną!...

AZO.

Mamo! papa we krwi —

MATKA.

Ha!...

GIANI.

Jak się im twarze mienia!

MATKA.

Ha! to tak — to tak — o! krew — my zbrodniarze!
O Jezu! kto to wymalował? — Jezu!
Dzieci, nie patrzcie — Jezu! łóżko z trupem —

Strwożony mój syn, biały jak trup — patrzy
 W ciemność, a córka moja... ha! — czy już?
 Czy już?... już... już? ha!!! czy już umarły?
 Dajcie mi lampę... sza!... Tomaso stchórzył...
 Zobaczę z lampą trupa... jaki krwawy!...
 Jaki okropny... o!!

(Mdleje).

TOMASO.

Zabójstwo żyje!

AZO.

Mama umarła!...

BEATRYX.

Dosyć tej tortury!

Czy wy czekacie, aż z nas będą trupy
 Pozabijane własnymi oczyma?...
 Zasłońcie obraz ten rozdzierający!
 Mnie samą zimny zlał pot i rozstroił
 Tak, że nie słowa mam w ustach, lecz jęki...
 Więc mnie potępcie — bo choć jestem biała,
 To jestem jako najbielsza z gołębic,
 Co się w kałuży krwawej chciała kąpać
 I opryskała krwią całą rodzinę...
 Oni niewinni! Ja jedna znalazłam
 Sztyletem serce ojca. Oni wszyscy
 Niewinni. Trup miał jedno tylko serce,
 I jedną córkę, i jedną miał ranę...
 To rzecz okropna — i straszne wyznanie!
 Lecz gdybym miała zasłonę na twarzy
 I mogła mówić z twarzą niewidzialną:
 Opowiedziałabym straszną historią,
 Któraby wstrząsła was, a mnie spłoniła...
 Na miejscu, gdzie krew moją rozlejecie,
 Postawcie ołtarz białemu wstydowi
 I z alabastru posąg przezroczysty;
 A szyję jego krwią oczerwieniwszy,
 Zakryjcie perły albo liliami;

A będzie to bóg nowy — w nowym Rzymie!...
I to jest całą obroną — Rzymianki.

ORSINI.

Rzucić welony czarne na tych ludzi
I odprowadzić ich w ciemne więzienia! —

GIANI.

Ha! ha! ha! ojcie —

ANSELMO.

Płaszcz mi został w ręku.
Gdzie ten szalony leci?

GIANI.

Beatrycze!

ORSINI.

Zbiry, młodzieńca tego wyprowadzić!
Precz, do więzienia iść z potępionymi!

(Wyprowadzają Cencich — Beatryx wychodząc ogląda się w stronę, gdzie zbiry chwytają za ręce pasującego się ze sztyletem Giani).

GIANI.

Precz — precz ode mnie! Czy wy nie widzicie,
Żem cały we krwi i na swoim miejscu?...
Orsini dzisiaj pracuje dla kata —

Ja pracowałem dziś dla Orsiniego.

O! usta pełne śmierci otwórz, starcze,

Otwórz raz jeszcze i potęp zbrodniarza!

Tu brakowało jeszcze delatora

I brakowało zabójcy z sztyletem: —

Oto więc macie sztylet i zabójcę,

Który zostawił krwawy ślad przy trupie

I ścigającym furyom pokazywał

Krwiań szczerwienione podeszwy. O sędzio!

Jeśli nie dosyć, żem zabił człowieka —

Jeżeli moja zbrodnia przy promieniach

Krwawego słońca ojcobójców błednie:

Ja rozczzerwienie ją nowem wyznaniem

I śmierć kryjącą się pod waszym stołem

Wywołam — żółtą, cichą — ale wściekłą...

O! śmierci — wystąp — i bądź urodzona
Słowami sądu! Śmierci, ja cię pragnę,
A ty mnie zimną twoją zetnij kosą
Tu przed Orsinim — u nóg tego starca,
Który dziś swoją własną krew potępi
Za to, że jego krew... rozlała własną —
On nie wie... zem jest bratobójcą!

I-szy SĘDZIA.

Nieba!

Monsignor mdleje — wody — octu — mdleje!...

ANSELMO.

O! wielki Boże, jak Twe sądy straszne!...

AKT PIĄTY.

SCENA I.

(Mieszkanie Barygiela. — BARYGIEL — DOLORIDA).

BARYGIEL.

Czego ty płaczesz, głupia? — Za godzinę
Egzekwowani będą nasi ludzie.
Dobry dla kata dzień!... za cztery głowy —
Każda po dziesięć dukatów — czterdzieści.
Czego ty płaczesz, księżniczko zaklęta?

DOLORIDA.

Ten młody biedny człowiek pozawczora
Przyszedł tu do mnie, gdy grałam na harfie,
Jakaś zabawną piosneczkę śpiewając...
Taki spokojny zdawał mi się człowiek,
Taki łagodny — tak miły w rozmowie...
Jabym przysięgła była, że to święty
I dobry człowiek, nie żaden zabójca...
Oczy miał takie smutne!...

BARYGIEL.

Cyt... ktoś stuka —

DOLORIDA.

Czy już ich przyszli brać? — o! ja mdleję...

(BARYGIEL otwiera, wchodzi OJCIEC ANSELMO).

ANSELMO.

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony —

BARYGIEL.

Na wieki wieków. — Czy spowiednik?

ANSELMO.

Czytaj!

BARYGIEL.

Ojca świętego rozkaz...

ANSELMO.

Czytaj cicho!

To jest tajemna rzecz... rozumiesz Waćpan!

Monsignor tu Orsini przyśle ludzi

Z pomiędzy szarych penitentów — i tak,

Jak tutaj stoi w papierze, stanie się.

Wmieszasz to Waćpan zgrabnie do napoju...

(Daje mu proszek w pakieciku).

Rozumiesz? —

BARYGIEL.

Córko, chodź — dam ci rozkazy.

ANSELMO.

O! moje kości — com ja się nalatał!

Co na tym świecie trudów i żalości —

Ledwie ułożysz rzecz z rozważą starca,

Młodość wnet spadnie i pomiesza wszystko...

Panie Barygiel, chodź tu Waćpan do mnie...

Jak dziś spał więzień twój, Signore Giani?...

BARYGIEL.

Spokojnie...

ANSELMO.

To to jest młodość, mospanie!
Przed śmiercią śpi, jak zabity. — A powiedz:
Gdy zapytano go dawnym zwyczajem,
Czegoby pragnął przed śmierci godziną —
Ten młokos dumne miał zawsze fantazyę —
Ciekawy jestem, o co prosił?

BARYGIEL.

Córko,

O co maestro prosił?

DOLORIDA.

Ojczy drogi,

O pół godziny rozmowy samotnej
Z Signorą Cenci...

ANSELMO.

Nie pozwalać!...

DOLORIDA.

Czemu?

ANSELMO.

Oni gotowi zapłakać się na śmierć...
A ta panienka o co was prosiła?

DOLORIDA.

Gdyby wiedziała, że kochanek blisko,
Pewnie prosiłaby mnie o kochanka.
Ale nie wiedząc, że Signore Giani
Przez mur więzienia tylko... biedny człowiek
Na rusztowanie skazany... Bo ona
Nic nie wie, ojczy, o swoim kochanku
I myśli, że Signore Giani, jak zwyczajnie,
Już się pocieszył i wyjechał z Rzymu...
Więc gdy spytałam ją dziś, czego żąda?
Biedaczka z takim żalosnym uśmiechem
Rzekła: przynieś mi koszyk napęczniony
Różami — aż mi łzy stanęły w oczach —
Przynieś mi, rzekła, koszyk róż... biedaczka!
Patrz, ojczy, róże stoją; o! czy widzisz,
Jaka biedaczka?

ANSELMO.

Bu!... ja stary płaksa!
To dobrze, córko — zanieś biednej róże!...
A wreszcie... to jej zaprowadź kochanka!
Niech płaczą. — Ja to wszystko znów naprawię...

(Odchodzi).

BARYGIEL.

Addio, księżu!...

ANSELMO (we drzwiach).

Wrócę niezabawem,
A Waćpan wszystko zrób, jak rozkazano.

BARYGIEL.

Córko, zanieś jej róże — a ja pójdę
I drzwi otworzę do niej malarzowi.

SCENA II.

(Więzienie. MATKA CENCI, TOMASO, AZO i BEATRYX).

MATKA.

Pobłogosławie was po raz ostatni.
Już za więzieniem słyhać straszne gwary
Ludzi ciekawych. — O dzieci, odwagi!...
Ja was zgubiłam, przebaczcie mi, dzieci!
Jam się oddała czarnym duchom, które
Czyhały na krew naszą.

(Do Tomasa).

Cóż, człowieku?

Nie stchórz — i nie bądź blady! — A ty Azo,
Ty jeden, naszą krwią okryty, rośnij,
A ja do ciebie będę przychodziła
We śnie... i uczyć będę rzeczy strasznych,
O których wiedzieć trzeba człowiekowi
Krwia oblanemu matczyną w dzieciństwie.
Furye! oddaję wam dziecko w opiekę!...

BEATRYX.

Matko! ja znajdę dziecku opiekuna,
Który przez pamięć i litość nade mną
Będzie mu starszym bratem...

TOMASO.

Moja siostró,
Nie śmiem cię w czoło pocałować — siostró,
Módl się i za mnie...

MATKA (do Tomasza).

Chodź, spowiednik czeka.

AZO.

Mamo, ja pójdę z tobą...

MATKA.

Chodź, kurczátko...

(Wychodzą).

BEATRYX.

Jam nie wybrała jeszcze spowiednika
I wszystko mi się snem wydaje strasznym.

(Wchodzi DOLORIDA).

DOLORIDA.

Signora, róże przyniosłam...

BEATRYX.

Kochanko,
Postaw tu koszyk pod memi nogami...
Niech się zapatrzę na kwiaty spokojne. —
Która godzina?

DOLORIDA.

Jeszcze do zachodu
Długie godziny pół, długie... o długie!

BEATRYX.

Słońce zejść musi —

DOLORIDA.

Gdybym była, Pani,
Panną Najświętszą, nie zasłoby słońce...

BEATRYX.

Moja dziewczynko, czy ty masz kochanka?

DOLORIDA.

Lat jedenaście mam — to jeszcze nie czas...

BEATRYX.

Spiesz się i kochaj — lecz wybierz człowieka,
Który ma pamięć dobrą... dobrą pamięć
I dobre serce...

(Wchodzi GIANI, bez szpady — i BARYGIEL. Barygiel daje znak
ręką córce, aby odeszła).

DOLORIDA (do Gianiego).

Nie mów jej, że umrzesz...

BEATRYX (do wychodzącej).

Kochaj — i bądź zbawioną — i żyj długo!...

(DOLORIDA z OJCEM wychodzą).

O! żyj tak cicho, jak te róże łąawe,
Jak te ucięte głowy róż... te głowy,
Które są piękne i świeże... ucięte
I rozsypane, o tak, po więzieniu,
Jak prześcieradło śmiertelne —

(Spostrzega GIANIEGO).

Ach Giani!

GIANI.

Beatryx!

(Roztwiera ręce, BEATRYX rzuca się w jego objęcia).

BEATRYX.

Usta twoje!

GIANI.

Twoje usta!

BEATRYX.

Czy ty mój jesteś kochanek?...

GIANI.

Beatryx!

BEATRYX.

Ziemio, pochłoń nas!...

GIANI.

Śmierci! teraz śmierci!

Jaki to nagły dreszcz? — czemuś wzdrygnięta?

BEATRYX.

Jak ty przyszedłeś tu? Prócz spowiednika

I Barygiela, tu nikt nie przychodzi;

A kto przychodzi — śmierć go wyprowadza...

O! mów, mów — mów mi, kto cię tutaj wpuścił?

GIANI.

Kto?

BEATRYX.

Wychodź, blady mój kochanku — wychodź!

Ja tu zostanę sama. Kto cię wpuścił?

GIANI.

O bądź spokojna! miłość mię przywiodła.

BEATRYX.

Ty spokojniejszy, niżli mój kochanek —

GIANI.

Ja cię spokojnie kocham — ale wiecznie...

BEATRYX.

Jeśli mnie kochasz, uciekaj na słońce!

GIANI.

Słońce... ty moje słońce — ja cię kocham —

Dlaczego ty mnie odsyłasz do ludzi?

O! zapomnijmy o nich, duszo moja!...

BEATRYX.

O! zapomnijmy o nich. — Siądź tu, Giani,

A ja upadnę na drżące kolana

Tutaj na różach — i będę mówiła,

Jak ty masz o mnie pamiętać... O Giani!

Jestem spokojną teraz i szczęśliwą...

Pamiętaj o mnie — pamiętaj ty o mnie
Inaczej, niż lud, który się lituje;
Inaczej, niż Bóg, co patrzy bez żalu.
Pamiętaj o mnie — jako o Rzymiance
Nieskazitelnej, strasznej, nieszczęśliwej,
Którą... splamioną... miłość oczyściła
Ze wszelkiej zmazy. — Ja się czuję czystą!
Lecz miłość przyszła późno... Słuchaj, Giani!
Ty weźmiesz mego małego braciszka
I będziesz kochał — co? będziesz go kochał?
A jeśli przyjdzie do ciebie splakany,
Ze go odepchnął jaki człek zwyczajny
Przejęty zgrozą... weźmiesz go na ręce
I będziesz mu łzy ocierał — ustami...
To mój braciszek. — Cóż?... będziesz go kochał?
Dzisiaj go tobie przywiodą wieczorem —
Sam umyjesz mu rączki — sam — i uśpisz,
Bo on się będzie lękał... Przebacz, Giani —
Ja ci rozdieram serce, ale muszę. —
Dzisiaj wieczorem — ty będziesz... Nie mogę
Wystawić sobie — dziś — tam — w twojej celi
Ciebie — beze mnie — ha! Lecz bądź spokojny,
Zaklinam ciebie — dziwnie rozczulona;
Bo nie myślałam nawet, żem ja zdolna
Tak miękko i tak łzawo mówić z tobą!
Lecz ta godzina jest bez drugiej dla mnie,
I ty nareszcie znikniesz mi z przed oczu...
I Bóg mnie weźmie... o! tak rozplakaną...

(Słychać głos dzwonów i hałas głuchy).

GIANI.

Co to za dzwony są? co to za głosy?

BEATRYX.

Straszne zbudzenie — to czytają wyrok.

GIANI.

Komu czytają?...

BEATRYX.

Tutaj, przed więzieniem .

GIANI.

Słuchajmy, moja kochanko.

BEATRYX.

Słuchajmy...

GŁOS.

Obwinieni i przekonani mają być nakryci czarną zasłoną ojcobójców, prowadzeni na rusztowanie i ścięci przez kata: Lukrecya Cenci, żona — Tomaso Cenci, syn — i Beatryx Cenci, córka zabitego. Niech Bóg odpuści duszom zmarłych!

BEATRYX.

Amen! odpowiedz, Giani: Amen...

GIANI.

Amen...

GŁOS.

Ma być zaprowadzony pod rusztowanie Azo Cenci, syn zabitego, który patrzył oczyma swemi na czyn zbrodni, aby oblany był krwią zbrodniarzy. Niech Bóg oczyści duszę dziecka! Amen.

BEATRYX.

Słyszałeś?...

GIANI.

Słuchaj!

BEATRYX.

Co?... wyrok skończony!

O Boże, ten sam głos pod oknem wyje.

GŁOS.

Obwiniony i przekonany o zabójstwo Pietra Negri, powszechnie nazwanego Gino, zaprowadzony ma być na rusztowanie, okryty zasłoną bratobójców i ścięty przez kata brat zabitego, Giano Giani. Boże, świeć nad jego duszą.

GIANI.

Beatryx!

BEATRYX.

Ścięty — ścięty — ścięty!...

GIANI.

Amen.

BEATRYX.

Ty?

GIANI.

O Beatryx — ja! — idziemy razem!

BEATRYX.

I nie przeczułam, że on zabił Pietra!

O! jak okropne nas związały losy!

O! jak mi będzie strasznie skonać...

(Wchodzi OJCIEC ANSELMO i drugi kapłan).

ANSELMO.

Dzieci,

Przyszła godzina — trzeba się rozłączyć.

BEATRYX.

O! o! tu Giani, na serce...

GIANI.

Beatryx!...

ANSELMO.

Przyszła godzina, trzeba się rozłączyć...

GIANI.

Do zobaczenia!... Anselmo — ty ją weź...

A ty chodź, ojcze nieznajomy, ze mną

I porusz słońce, niech prędzej zachodzi!

(Wychodzą).

ANSELMO.

Chodź, moja córko, odwagi, odwagi!

BEATRYX.

Czy on ma umrzeć? — czy on skonać musi?

ANSELMO.

Córko — ja ciebie pocieszę... Orsini
 Wyprosił życie syna u Papieża;
 I oto zaraz mu dadzą w napoju
 Usypiający napój Penitenci
 I do mej celi zanosą śpiącego...

BEATRYX.

O dzięki tobie! bo mi dałeś życie...

ANSELMO.

Biedna — ja tobie życia dać nie mogę!
 Ty nie masz żadnej nadziei, prócz w Bogu —
 A Boga zyskaj skrucą i spowiedzią...

SCENA III.

(Plac Ponte Sant' Angelo).

TYŁUM LUDU.

1-szy Z LUDU.

Nudzą nas, mówię — nudzą nielitośnie!

II.

Co jeszcze gorsza, powiadam, co gorsza,
 Że pewnie wszystkich głów nie zobaczymy!
 Powiadam, czterech głów. Panie Pamfilio,
 Powiadam, że nam czterech głów nie dadzą.

I.

Parno, jak w piecu! — Hej! Trastewerina!
 Z pomarańczami tu! — hej! moja Juno —

TRASTEWERINA.

Cóż, mój signore Babuino?

PAMFILIO.

Eheu,
 Tu, Atalante z Hesperyd owocem!...

III.

Ephemerido, wiele za bajoka?

TRASTEWERINA.

Trzy, signor Bacco!

PAMFILIO.

Per Bacco! daj quatro!

II.

Cztery pomarańcz, głowa w głowę cztery!...
A ta maleńka, powiadam, w przydatku —
Za główkę dziecka daj w przydatku piątą.

TRASTEWERINA.

Piąta na drzewie wisi — idź pod drzewo
I urwij sobie piątą z szubienicy...

PAMFILIO.

Cyt — cyt — więzienie się otwiera czarne,
Pochodnie blade wychodzą na słońce.

PANTALON.

Ta pierwsza — matka...

PAMFILIO.

Mości Secretario,
Co na welonach napisano białem?

PANTALON.

Biało na czarnem stoi: parricida.

PAMFILIO.

Po grecku? — to ja rozumiem — po grecku!

TRASTEWERINA.

Ha! ojcobójce — dobrze wam tak, dobrze!
Chcecie pomarańcz? hej hej! parricidi!
Chcecie pomarańcz, co pod zębem ciekłą
Czerwoną śliną?... ho! ho! apelcyny
Czerwone wszystkie głowa w głowę.

PAMFILIO.

Furyo!

TRASTEWERINA.

Socrate!

PAMFILIO.

Wiedźmo, czego krzyczysz?...

TRASTEWERINA.

Krzyczę,

Bo to zabójce... to zabójce... słyszysz?...

I-szy Z LUDU.

Idzie ostatnia pod czarnym fartuchem,
Idzie, jak jaka królowa z dzieciątkiem
I białą świecą — ona najwinniejsza!

KOBIEŃA.

Niesprawiedliwość, że idzie ostatnia!
Powinnaby iść pierwsza — Santo Padre,
Powinnaby iść pierwsza!

PENITENCI i DOLORIDA (wchodzą).

DOLORIDA.

Penitenci!

Bierzcie z tej tacy, dawajcie ubogim,
Niech proszą za nich!

(PENITENCI rozdają pieniądze).

I-szy PENITENT.

Starcze weź bajocco,

Módl się za dusze Cencich.

ŻEBRACZKA.

Kaleka, uboga...

II-gi PENITENT.

Módl się za dusze Cencich.

ŻEBRAK.

Un bajocco!...

III-ci PENITENT.

Módl się za dusze Cencich.

Zdrowaś Marya —

I-szy PENITENT.

Módlcie się za nich, za matkę i syna,
I za panienkę...

I-szy Z LUDU.

O widok okropny!
Rozpłakała się, gdy kat uciął włosy.

DOLORIDA.

Płakała...

I-szy Z LUDU.

A z nią i lud zaczął płakać,
Jak małe dziecko...

DOLORIDA.

Gracya! gracya! gracya!
Wszyscy wy idźcie za mną na Watykan!
Chodźmy do Ojca Świętego po łaskę!...
Ucięto włosy — czyż nie dosyć? — gracya!

ŻEBRACY.

Na kulach za nią! — gracya, Santo padre!

(Wchodzi PANTALON i PAMFILIO).

PANTALON.

Signor Pamfilio, widok był okropny!
Czego ci ludzie krzyczą?

PAMFILIO.

At! jak zawsze.
Krzyczą zapóźno i chcą zmartwychwstania!
Jakby prosili, aby zachodzące
Słońce wróciło. Idźmy spać do domu.

SCENA IV.

(Cela Giano Giani).

(Penitenci wnoszą na noszach śpiącego GIANI i mówią po łacinie na dwa głosy Ave Maria).

I-szy PENITENT.

Tu go położmy śpiącego na łożu.
Trzeba opatrzyć, czy gdzie nie ma broni
I zabrać noże — to rozpaczny człowiek...

II-gi PENITENT.

Niech śpi! Za chwilę wróci Don Anselmo.
(Zdejmują broń ze ściany i wychodzą).

WIEDZMY.

I-sza WIEDZMA.

W oczy jego blaskiem rzuć!
Dotknij go węzem i zbudź —

II.

Poco?

III.

Niech zobaczy życie!

I.

Sza! zawieśmy na suficie
Głowę ściętą — on widzi śpiąc...

II.

Dajcie mu pokój — zabije go ksiądz.

I i III.

Czem? czem? czem? czem?

II.

Ha! siostrzyce,

Rzućmy tu trzy błyskawice,
Rzućmy ciche ognie trzy!

Niech się jemu w oczach skrzy,
 Niech okropność w oczach błysnie,
 Aż serce się skurczy i zadrży i pryśnie.

WSZYSTKIE.

Dyabeł tutaj księdza śle
 W powietrze! znikajmy w mgle...

(Znikają).

GIANI.

Oh!... gdzie ja jestem? — żywy to ja, Jezu?
 Czy ta noc śmiercią jest? — gdzie Beatrycze?
 Aha! to księdza mieszkane — o! widzę
 Całą okropność rzeczy. Gdzie sztylety?

(Rzuca się na ścianę, skąd penitenci zabrali broń).

Tu była moja broń — zabrano — żywy!
 Wszak słońce zaszło już — okropne słońce,
 Które widziałem za krwawemi plamy.
 Kiedy? — dziś, we śnie... Ha! wiem ja zasnął! —
 O! morze ciemnej okropności... czarne,
 Rozwidniające się teraz stopniami,
 Gdy tonę w strasznej pamięci oczyma —
 Morze krwi! pochłoń mnie... pochłoń mię, ziemio!

(Wehodzi ANSELMO z latarnią, prowadząc AZA za rękę).

ANSELMO.

Gdzie tu mój Giani, mój syn ukochany?
 Cóż to? na ziemi leży mój syn twarzą?
 Jestże to człowiek? rozumne stworzenie? —
 O! wstań, mój synu — i odgoń od siebie
 Rozpacz bez celu... smutek bez nadziei!

GIANI.

Więc już umarli?

ANSELMO.

Co te jęki znaczą,
 Które do ucha mówisz tej podłodze?...
 Wstań! tu jest ciepłe łono przyjaciela...

GIANI.

Ziemia mnie woła...

ANSELMO.

Wstań i obacz, Giani,
Z kim ja przyszedłem... Wstań, bo mnie przerażasz!

(Podnosi go).

O! — wstań ja ciebie nie udźwignę, martwy!
Mamże na ziemię paść, synu, przy tobie?

GIANI.

Czegoż ode mnie ty chcesz, starcze? — wstałem.

ANSELMO.

Bogdajby w tobie tak powstała dusza!
Maleńki! — przystąp do tego człowieka
I zaszczebiotaj mu, jak cię uczono...

AZO.

Panie! kazała prosić cię siostrzyczka,
Abyś mnie kochał...

GIANI.

Nie tul się ty do mnie!

ANSELMO.

I cóż? odpychasz go?

GIANI.

To jest... ostatni?...

ANSELMO.

Tak...

GIANI.

Jeśli głodny, daj mu jeść —

ANSELMO.

Mój synu,

Ja nie poznaję ciebie — twarde serce
I twarda jakaś obojętność dla mnie!...
Ja nie poznaję ciebie.

GIANI.

Czy mam płakać?

ANSELMO.

Płakać?... O! mógłbyś ty płakać nad sobą!
Teraz godzina, że serce zmiękczone
Winnoby płakać przestępstwa. — O Giani!
Jestto okropna nauka i krwawa,
Ale na całe życie pozostanie. —
Tak! kto bez Boga, lecz z ciemnymi duchy
Chce porządkować świat, często go łamie
Bóg, tak jak ciebie, i myli go w drodze.
Tyś ją chciał zbawić — jak? — okropną zbrodnią?
A zbrodnia ta się nagle obróciła
Przeciwno właśnie tej drogiej osobie,
Którą ty chciałeś zbawić. — Sam się dowiesz,
Że Ojciec święty, poruszony wdziękiem
Tej biednej panny — już umoczył pióro
I chciał podpisać już ułaskawienie:
Gdy oto nagle... druga w Rzymie zbrodnia,
Jakby świadcząca o strasznej zarazie
Upadającej na Rzymianów ducha,
Z rąk Papieżowi wytrąciła pióro
A zaś tę drugą tyś popełnił zbrodnię. —

GIANI.

Ha! okropności! —

ANSELMO.

Boleścią się zrywa --
Co ja wyrzekłem!!...

GIANI.

Nic — tylko rzuciłeś

Do mego serca wianek gadzin. Starcze,
Onaby żyła, gdyby nie ja... Starcze,
O! tu mi serce boli — ha — tu, starcze!
Zrobiłeś ze mnie zabójcę i kata...
To jest rzecz... onaby żyła, bo Papież
Chciał ułaskawić...

(Tłucze szybę i szkło polyka).

ANSELMO.

Boże! szkłem się truje —
Matko Najświętsza! szkłem!...

GIANI.

Cicho! daj rękę!

Bo tam — w ciemności furye widzę ciemne.
Przyszły po ducha. — Precz! ohydne mary —
Krwia! plwam na wasze węże — precz! precz, matki!
Widzisz — zniknęły. Patrz, ja na tej szybie
Najświętszą Pannę sam wymalowałem,
A teraz zbita — w tęczę blasków — o! tu —
Pod sercem tu już!...

(Upada).

ANSELMO.

Ociężał i skonał...

Skonał — mój drogi syn — mój słodki chłopiec!
A ja z tem dzieckiem sam — w cichym klasztorze...
Dobra noc, Giani! — Niewdzięczni są ludzie
I to im powiem na ostatnim sądzie.
Ja go kochałem jak mojego syna:
Tyle nadziei moich... leży w grobie! —

FANTAZY.

(NIEPOPRAWNI).

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

OSOBY.

HRABIA RESPEKT, były marszałek powiatowy.

HRABINA RESPEKTOWA, jego żona.

DYANA }
STELLA } ich córki.

HRABIA FANTAZY DAFNICKI.

RZECZNICKI, marszałek powiatowy, jego przyjaciel.

HRABINA IDALIA, rozwódka, sąsiadka Respektów.

KSIĄDZ LOGA, kapelan.

WOŁDEMAR HAWRYŁOWICZ, rodem Czerkies, stary major rosyjski.

JAN, zesłany na Sybir w soldaty.

KAJETAN, kamerdyner hr. Respektów.

HELENKA, pokojowa Idalii.

KALMUK, sługa majora.

Rzecz dzieje się na Podolu, około r. 1841 — w trzech pierwszych aktach
w domu hr. Respektów, w obu ostatnich — w majątności hr. Idalii.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

(W domu hr. Respektów).

FANTAZY i RZECZNICKI. Później HR. RESPEKT.

FANTAZY.

Widziałeś Wasan, jakie w przedpokoju
Hamadryjady, Laokonty, Psyllę
W ojca Adama przenajświętszym stroju
Stoją, z lokajstwem w zgodzie? — A nie tyle
Lokajów, ile posągów! — a wszyscy
Postaci większej, niżli chce natura:
Bo ci lokaje są sufitów blizcy
Głowami, a ich olbrzymia struktura
Herkulesowe przypomina członki.
Sądzę więc, że i panny tu znajdziemy
Jako Dryjady albo Amazonki,
Nadludzkie. — Ślepy więc będę lub niemy,
A ty, rozsądny, patrz za mnie i gadaj;
Co człowieczego znajdziesz pod boskością
Kształtu, wydobądź, ojca wypowiadaj
Z politycznego sumienia, z Jejmością
Wejść w jak najbliższe stosunki, aż ci się
Przyzna, pod jakie jarzmo zegniesz zięcia; —
Słowem: jak gdybyś zjechał na komisję,
Gadaj, rób i patrz; a ja się w dziecięcia
Roli dam wszystkim, gdzie chcą, za nos wodzić.

RZECZNICKI.

Lecz ciebie znają.

FANTAZY.

Cóż, że kilka listów,
 Które w gorączce można było spłodzić,
 Przepisać nawet przez płatnych kopistów,
 Samemu nawet pisać nie umiejac —
 Że kilka listów, które na Podolu
 Panny czytały wyuczone, mdlejąc
 I krzycząc: ach! ten list na Kapitolu
 Był napisany! a ten z Wezuwiusza
 Leciał jak gołąb aż na Ukrainę!
 Ze wykrzykniki te: ach! co za dusza!
 Ach! co za ogień!

Brzmiały tu stokroć razy: to ja, hrabia
 Fantazyusz, głupim być już nie mam prawa?
 A cóż to, powiedz, jest opinia babia?
 Czy to szacunku godna rzecz? czy strawa,
 Na której serce tyje? czy poduszka,
 Na której głowa leży? — Mój Rzecznicki,
 Ty mój swat, ty mój — raczej moja družka,
 Bo się jak panna spłonie, w jezuicki
 Talerz wlepiwszy me panieńskie wzroki...
 Ty mnie zachwalaj, wynoś pod lazury,
 Ponad Wezuwiusz, nad Alpy, obłoki!
 Mów, żem napisał poemat ponury
 O czterech wiatrach; złoć mię jak barana!
 A mnie pozwól się troszeczkę zagapić
 I z siebie lakier byroński szatana
 Zrzucić...

RZECZNICKI.

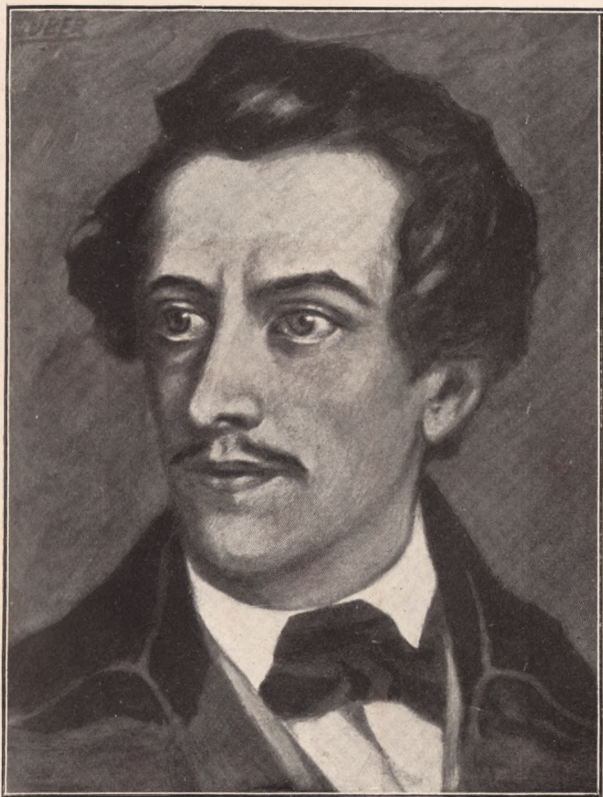
Fantazy! możesz się poszkapić
 I źle wyjść —

FANTAZY.

Jakto?

RZECZNICKI.

Pierwsze złe wrażenie
 Trudno się ściara...



Juliusz Słowacki.

FANTAZY (przerywając niecierpliwie).

Nie dbaj, nie dbaj o to!

Jeśli zakocham się, to się odmienię;

Jeśli nie ...

(Widząc wchodzącego HR. RESPEKTA).

Hrabia Respekt ...

HR. RESPEKT.

Jakto? co to?

Sami? nikogo na wasze przyjęcie?

Sami?... Przepraszam was za moje baby.

Przynajmniej tu was ...

RZECZNICKI (na stronie do Fantazego).

Nie chodź mi po pięcie!

HR. RESPEKT.

Przynajmniej tu was moje główne sztaby

Przedpokojowe ...

FANTAZY (do Rzecznickiego).

Rekomendujże mię!

RZECZNICKI.

Hrabia Fantazy, mój przyjaciel.

HR. RESPEKT.

Miły

Będzie mi w domu gość: ziemia o ziemię

Nasze dwa dwory, a bogdajby były

Serce o serce nasze dwa stosunki!

Lecz gdzie to moja żona i figlarne

Córki? gdzież moje kobiety? Koronki

Mówią, czy jakie gdzie romanse czarne

Gryzą po kątach i żółć w sobie płodzą?

(Do lokaja).

Kajetan! gości zaanonsuj paniom!

Ha! otóż przecie i są — otóż wchodzą.

SCENA II.

(Wchodzą) HRABINA RESPEKTOWA, DYANA i STELLA.

HR. RESPEKT.

Hrabia Dafnicki —

HRABINA.

Pana opisanom
Rzymu winniśmy bardzo miłe chwile!
Znamy go dobrze: taki ogień w piórze
I tyle serca, entuzjazmu tyle!
Ach! listy pana... to są na marmurze
Pisane lawą! czy prawda Dyanno?
Te dwie fontany, co przed Watykanem
Jak duchy, tęczą opasane ranną —
Ten krzyż drewniany w Cyrku — ach! my z panem
Dawno się znamy, dawno!

FANTAZY.

To być może,
Żeśmy się znali przed śmiercią...

HRABINA.

Słyszałam,

Że pan jest mistyk — teraz się założę,
Że pan jest mistyk. — Ach! jak ja się bałam,
Że pana znajdę mistycznym.

HR. RESPEKT.

Maryanno,
Nie zaczynajże zaraz z gościem kłótni!
Proszę was za mną, proszę. Ty Dyanno
Zagrasz nam; a was ostrzegam, że sinutni
Ludzie są w mojem sercu podejrzani
O brak szczerości!

(Wychodzą wszyscy oprócz HRABINY).

SCENA III.

HRABINA.

Kajetanie!

(LOKAJ wchodzi).

LOKAJ.

Pani,

Co pani każe?

HRABINA.

Każ zapędzić trzody

Na małą łąkę w ogrodzie! Niech stary

Anton zapuści swoją sieć do wody

I sam pod wierzbą siądzie obok pary

Chłopiąt plotących koszyki — jak w Tassie.

Opodał żeńców postawić gromadę

I niech śpiewają! Anna niechaj pasie

Kozy na skałach... Ach! puścić kaskadę!

Pamiętaj, puścić kaskadę wieczorem,

Wprzód nim wstaniemy od stołu... Ach, jeszcze

Powiedz Dubynie, niech stanie za dworem

I pieśń Padury śpiewa!

LOKAJ.

Ale deszcze

Popsuły rurę w kaskadzie — —

HRABINA.

Nowina!

No, to nie puszczać wody...

LOKAJ.

Ale, pani...

HRABINA.

Ale! co ale?!

LOKAJ.

Ale dziś Dubyna

Pojechał kupić cukru i araku

Do Berdyczowa —

HRABINA.

No, to się bez dumy
Obejdzie; ale pomnij o rybaku —
Pomnij o trzodach i...

LOKAJ.

Suma do sumy;
Rybak i trzody.

HRABINA.

I małe chłopięta,
Które koszyki plotą.

LOKAJ.

I koszyki.

HRABINA.

I żeńce!

LOKAJ.

Ale pszenica pożęta!

HRABINA.

Mój Kajetanie, rób, co chcesz. Ten dziki
Ogród angielski, to kłopot prawdziwy!

LOKAJ.

Zawsze w nim czegoś brak: to się altana
Załamie, burza krzyż umyślnie krzywy
Zwali — o mało co nie zabił pana.

(Odechodzi).

HRABINA.

Ach, jaka, jaka z tym ogrodem biada!
Stelko!

SCENA IV.

STELLA (za sceną).

Co?

HRABINA.

Stelko, chodź tutaj!

STELLA (wchodzi).

Co mam?

HRABINA.

Czy pan Fantazy już z Dyanką gada?

STELLA.

Nie.

HRABINA.

Zostaw, Stelko, ją w salonie samą,
A ty idź dziadka odwiedź, potem biało
Ubierz się cała, i wiesz — tam nad stawem,
Pod brzozą naszą płaczką — stań pod skałą
I wab łabędzie; bo my niezabawem
Wyjdziemy z gośćmi pod dąb Wernyhory
Pić kawę...

STELLA.

Dobrze, mam; ale potem
Pozwolisz mi pójść z Hanką na nieszpory?

HRABINA.

Dobrze... Lecz cóż to widzę? Ach, pod płotem
Kibitka jakaś i konne Baszkiry! —

(Do wchodzącego LOKAJA).

Co to?

LOKAJ.

Oficer moskiewski, gwardzista.

HRABINA.

Proś! — ach! drzę cała... Nie wiesz, czy kwatery
Żąda?

LOKAJ.

Nic nie wiem.

HRABINA.

Proś!... Matko przeczysta!
Jeśli to jaki feldjegier... drzę cała...
Idź, ostrzeż ojca, Stelko!

(STELLA wybiega).

SCENA V.

(Wchodzi MAJOR).

HRABINA.

Witam pana...

Kogoż mam honor?...

MAJOR.

Pani nie poznała?

HRABINA.

Ach! Pan Wołdemar! Ach! coś za kochana
Siurpryza! — Mężu! Steluniu! Dyanko!

(Wbiegają wołani, a z nimi FANTAZY i RZECZNICKI).

HR. RESPEKT.

Co to jest?

HRABINA.

Patrzcie! nasz dawny znajomy!

HR. RESPEKT.

Ach Major! przyjąć-że go pełną szklanką!
Illuminować-że mój dach poziomy!
Cukrem wysypać srebrnym mój dziedziniec
I zamienić mu w Sybir! — Mój ty drogi!

(Ściska go).

Teraz-że widzisz: ot ja, Ukrainiec,
Już nie twój więzień! już tobie bez trwogi
Patrzę za mundur, czy zeń nie wyziera
Jaki róg biały carskiego ukazu...
Panowie! w rękach tego oficera
Był mój los; a on — mówię, ani razu
Nie dał mi uczuć niewoli! i owszem —
Gdym z żoną, z dziećmi, w pobliżu Tobolska
Siedział, zasłany tam jakoby w zdrowszem
Dla mnie powietrzu, aby dżuma polska
Nie zaraziła mej skóry (bo wiecie,
Żem takiej rządu pieczołowitości
O moje zdrowie, jako tu w powiecie

Pierwszy urzędnik, doznał): — on, litości
Pełny, widząc mię z córkami i z żoną
W małej wioszczynie, w dziurawej stodole,
Był nam pomocą wtenczas i obroną,
Tak, że nas wściekłe sybirskie Eole
Nie rozdmuchały.

MAJOR.

Szczesny, żeście w zdrowiu.

HRABINA.

A jak się ma pop Osip?

MAJOR.

Pijany z duszą!

STELLA.

A moje gile czerwone?

MAJOR.

W pustkowiu

Świszczą po drzewach i w róże się puszą,
Smutne, że niema panny na Sybirze!

STELLA.

A oswojone szczygielki?

MAJOR.

Jak w raju

U kaznaczeja ...

DYANA.

A trzy polskie krzyże?

MAJOR.

Stoją.

HRABINA.

A pani Potopof.

MAJOR.

Przy czaju —

W zielonej sukni.

HRABINA.

I zawsze w zielonej?

MAJOR.

I w kokoszniku —

STELLA.

Z którego ja chciałam
Zrobić gniazdeczko suczce oszczenionej!
Ach, jak tam zimno być musi! zadrżałam
Myśląc, jak zimno tam pani Potopof!
Dyanko, a nasz?...

DYANA.

Kto nasz?

STELLA.

Kto? — nasz drogi,
Nasz biedny pan Jan, co na czele chłopów
Z kosą wzięty był. On taki ubogi,
A taki dobry! aresztant — i taki
Piękny, jak Michał Anioł na obrazie.

MAJOR.

Ten wasz przyjaciel dał nam się we znaki:
Buntował nam lud — a dziś na Kaukazie
Bije się, w proste posłany żołdacy.

STELLA.

Patrzaj, Dyjanko!

HRABINA.

Dość, Steluniu! prowadź
Pana Majora do polskiej herbaty,
Którą przyrzekłaś jego ucztować
Za kwas sybirski.

(Wychodzą wszyscy oprócz Fantazego i Rzecznickiego).

SCENA VI.

FANTAZY i RZECZNICKI, przy końcu STELLA.

FANTAZY.

O nas zapomnieli!

RZECZNICKI.

Gniewasz się?

FANTAZY.

O! nie.

RZECZNICKI.

Lecz trochę zazdrościsz.

FANTAZY.

Czego?

RZECZNICKI.

Dyany spojrzeń i łez Stelli.

FANTAZY.

Jeszcze nie kocham.

RZECZNICKI.

Ale już się złościsz.

FANTAZY.

Wcale nie! — Ale powiedz mi, Rzecznicki,
Kto to jest ów to pan Jan, wzięty z kosą?

RZECZNICKI.

Jakiś kosynier...

FANTAZY.

Jesteś jak delficki

Posąg: wyrocznie twoje prosto niosą
W sam cel i w samo serce prawdy; ale
Radbym dowiedzieć się, jaki to smutny
Upior nad srebrne gdzieś sybirskie fale
Piers pokazuje i łańcuch okrutny
Wstrząsa, i w panien tych ładnej pamięci
Staje z ranioną piersią i z brylantem
Tej lzy, co mu się w oczach mglistych kręci,

Próżno roniona. Z takim aresztantem
Adonis nie mógłby walczyć o miłość
Szlachetnej Polki!...

RZECZNICKI.

Przecudna tyrada:

Peryody długie...

FANTAZY.

Ta dawna zażyłość
Sybirska — chmura ta błękitno-błada
Szronu złotego, która go obwiewa —
Te pod nim jary, pełne wilczych kości —
Te nad nim czarne sosny, straszne drzewa,
I to nieszczęście czarne...

RZECZNICKI.

I w czarności

Kominie białą napisane kredą

Imię Dyany...

FANTAZY.

Przeklęty człowieku,
Któremu jeszcze dziś świątynie w Knido
Dostarczą wody kastalskiej! O! ćwieku
Z byronowego krzyża! O! baranie,
O którym niegdyś w mistycznym widzeniu
Snił Sanczo Pansa, w niebie niespodzianie
Ujrzawszy bydło! O! ty, co w płomieniu
Wiekowym głupstwa jesteś Salamandrą
I w ogniu będąc, tyjesz, o Rzecznicki!

RZECZNICKI.

O nieszczęśliwy wieszczu!

FANTAZY.

O Kasandro

Przedkontraktowa!

RZECZNICKI.

O ty, potrzebnicki

Zdrowego sensu!

FANTAZY.

O ty, sekaturó!

Patrz — poszli wszyscy na ogród, a o nas
Ani kto wspomniał!

RZECZNICKI.

Bo ty jesteś pióro,

Które sonety pisze... et andronas
Scribit — i bawisz ludzi, gdy się nudzą,
A nudzisz, gdy się bawią.

FANTAZY.

To być może...

RZECZNICKI.

Abys się widział sam, weź głowę cudzą
I włóż na swój kark.

FANTAZY.

A moją położę

Na twoim?

RZECZNICKI.

W karty przegraj swoją głowę,
Jeśli na stawkę szulery pozwolą
Stawić wiatr, a nie pieniądze gotowe.
Lecz pierwszej złap ją tak, jak wróbla — solą
Na ogon, bo ci z rąk samych wyleci!

FANTAZY.

Prawdę ty mówisz: same jakieś światła
Chodzą po mojej głowie — jak u dzieci —
Zielone, jasne, czerwone — jak na tła
Złote rzucone przez Wenecyanina
Świętych postaci; różne jakieś tony,
Z których ton każdy mi coś przypomina
Smutnego, a ma niewytlomaczony
Urok dla ducha. W powietrzu mi dzwonią
Różne pamiątki miejsc; koło mnie chodzą,
Każda ze swoją twarzą, swoją wonią,
Zmieniona w Nimfę, w postać... Ach! jak szkodzą

Uczuciom myśli nadto rozwinięte!
 Zda się, upiory piękniejsze, że smętne —
 Zdaje się, kwiaty smętniejsze, że ścięte —
 Zda się, że bóstwa — tak, krwią nie namiętne,
 Ale grzejące słonecznością lica —
 W wieńcach, w kameliach z gwiazd, których kolory
 Niepewne jako półtęcze księżycy
 Srebrzeją... Myśli me — już pół-upiory,
 A jeszcze myśli...

RZECZNICKI.

Bądź zdrow, bałaguło,
 Który handlujesz końmi Apolina!

FANTAZY.

Stój!

RZECZNICKI.

A co?

FANTAZY.

Serce moje coś uczuło.

RZECZNICKI.

Fenomen!

FANTAZY.

Słuchaj: ta w czerni dziewczyna,
 Ta wybielona wiatrem na Sybirze
 Dyana, która czarnemi oczyma
 Widzi tam jakieś mogiły i krzyże,
 Słyszy tam jakieś łańcuchy, i trzyma
 Ręce na piersiach, jak posąg słuchania
 I bólu — słuchaj! — ta Dyana dumna,
 Co pod piorunem tu zatradowania,
 Pod ruinami gmachu, jak kolumna
 Ostatnia trzyma wysoko swe czoło —
 Ta, która patrząc na matki aktorstwo
 I na twarz ojca — zbladła, a wesoła
 Dla ludzi... czuje całe gladyatorstwo
 Nędzy domowej, ze światem walczącej —
 Ona, co na mnie jako narzeczona

Patrzeć tu musi, a w duszy gorącej
Czuje, że będzie majątkiem kupiona,
A cierpliwością wypłacić się musi —
Ta panna — czuję, że to podłość we mnie!
Ale mnie jakiś szatan wewnętrzny kusi
Popęłnić taką podłość i nikiemnie
Kupić ją złotych polskich pół-milionem!

RZECZNICKI.

Rzecz ułożona.

FANTAZY.

Tak — lecz jakim tonem
Mówić z nią?

RZECZNICKI.

Tonem kupca trzeciej gildy.

(Przychodzi STELLA).

STELLA.

Mama przysłała mi zaprosić panów
Pod dąb, na małą wysepkę Matyldy.

FANTAZY.

Z romansu Cottin...

STELLA.

Bo do trzech kurhanów
Pójdziemy potem na spacer.

FANTAZY.

Cudownie!

(FANTAZY i RZECZNICKI wychodzą).

SCENA VII.

STELLA (sama).

Smutni dziś wszyscy! Dyanka — tak blada,
Jakby opłatek, wzdryga się gwałtownie
I drży jak w febrze i z nóg, zda się, pada;
Papa nie mówi anegdot, a mama —

Kiedy spojrzałam na nią: tom się złąła!
Taka przy oczach szafirowa plama
I taka wielka łza w jej oczach pękła
I taka twarz się wydaje stroskana!...

(Wbiega do pokoju JAN).

Ach! jakiś Baszkir! Baszkir! ach! w drzwi wpada
Baszkir!... Czego pan chce! Ach! proszę pana,
Ja jestem sama...

JAN.

Stelka mi nie rada?

STELLA.

Ach! Pan Jan?!

JAN.

Cyt! cyt!

STELLA.

Ach! Pan Jan przebrany?

JAN.

Moja Steluniu, cicho!... Jak urosła!
Jaki z niej kwiatek biały i różany!

STELLA.

Puść mię, ażebym Dyance doniosła,
Ze tutaj jesteś...

JAN.

Moja dobrodziejko,
Mój aniołeczku, o tem ani słowa!
Pamiętaj, że mnie prosiłaś na mleko
I miód z pasieki twojej, jak królowa
Rusałek, kwiatów podolskich caryna.
Bądźże mi teraz wierną i zakłęta,
Jak czar — bo dla mnie ta cała kraina
Musi być tylko snem i wizyą świętą,
Na którą muszę patrzeć tak jak we śnie —
Z uśmiechem, ale w milczeniu... O! biada
Tym, co stracili Ojczyznę!...

STELLA.

Boleśnie

Gadasz — i słyszę, jak za ciebie gada
Głuchy sybirski wiatr, co tak okropnie
Wył, w szyby bijąc brzęczące...

JAN.

Milutka!

Proszę cię — teraz postępuj roztropnie,
Widząc mię tutaj: jedna bowiem krótka
Radość mogłaby mnie i dom wasz cały
Stracić w nieszczęście...

STELLA.

Pan zawsze w niewoli?

JAN.

Zawsze —

STELLA.

I wraca znów na Sybir biały?

JAN.

Wracam.

STELLA.

I pan mi mówić nie pozwoli,
Że pan przyjechał?

JAN.

Zgubiłabyś obu,

Mnie i Majora!

STELLA.

Cóż mam robić?

JAN.

Oto

Ja, Stello, szukam jakiego sposobu,
Abym Dyane tę obrączkę złotą,
Zgubioną... dawno w śniegu, dziś wieczorem
Oddał. — O wschodzie słońca wyjeżdżamy!

STELLA.

Jakże to zrobić? — Ach! oto za dworem
Jest staw i łódka, którą my pływamy —
Niekiedy same nawet tylko panny —
Na drugą stronę do ładnej pasieki.
Lasek należy cały do Dyanny;
Lecz teraz, jak nam tutaj mnichy Greki
Wzięli kościółek i parafię, w dworku
Pasiecznym mieszka nasz ksiądz, ojciec Loga. —
Otóż w tym — jak dziś zwiemy go — klasztorku
Często z Dyanką prosiłyśmy Boga
Za ciebie, biedny panie Janie; często
Wieczorem, kiedy w łąkach derkacz krzyczy,
A staw nakryty mgłą srebrną i gęstą,
Pełny różowych smug, a głos słowiczy
Po czarnym lasku girlandami spada
Z dębów aż na staw, i za stawem jęczy:
Często Dyanka księdzu Łodze gada
O tobie, o tej śnieżno złotej tęczy,
Która świeciła, gdyście wy Cyganki
Na Sybirze się o wasz los pytali. —
Nie wiem, czy równie ty nas, dwie wygnanki,
Pamiętał? — Jak ty westchnąłeś! — Cóż dalej?...
Cóż ja mówiłam? Ha!... więc do tej chaty,
Jeśli chcesz, siostrę moją zaprowadzę.

JAN.

Ale nic nie mów!

STELLA.

Nic...

JAN.

Ptaszku skrzydlaty!

Zawsze, jak widzę, masz rusałki władzę
Nad twoją siostrą.

STELLA.

O! zawsze mnie słucha!

JAN.

Więc dobrze: będę wieczorem w pasiece.
(Wychodzi).

STELLA.

Powiem Dyance, że zobaczy ducha.
(Żywo).

Ducha zobaczy! ach! zaraz polecę
I powiem Dyani, że ducha zobaczy.

(Chce wychodzić — wchodzi HRABINA IDALIA).

SCENA VIII.

STELLA i HRABINA IDALIA.

IDALIA.

Stelko!

STELLA.

Ach! pani hrabina —

IDALIA.

Gdzie mama?

STELLA.

Niech pani chwilę tu zaczekać raczy!
Pobiegnę, powiem...

IDALIA.

Stój! — ja pójdę sama?

Powiedz mi...

STELLA.

Pani jesteś cała drżąca.

IDALIA.

To nic... serce mi bije... jestem chora:
Z podróży jestem... z wielkiego gorąca...
Prędko jechałam pomimo doktora
Rad... mimo własne stokrotne zakazy.

(Na stronie).

O nieszczęśliwa ja!... ach, i szalona! —

(Głośno).

Czy są tu goście?

STELLA.

Jest hrabia Fantazy
Z panem Rzecznickim.

IDALIA.

Czy niepostrzeżona
Mogłabym, powiedz, podejść tam, gdzie oni
Są teraz wszyscy?

STELLA.

Wszyscy są nad wodą...

IDALIA.

Czy mię tam jakie ukrycie zasłoni?
Powiedz — czy jakie drzewa tam dowiodą
Aż do nich — blisko — abym niewidziana
Mogła dać jaki znak twej mamie? Stello!
Patrzaj ty, jak drżą pode mną kolana,
Jak moje oczy...

(Na stronie).

Ach! piorunem strzelą
Na czoło tego zmiennika! sztyletem
Przebiją serce jego! —

STELLA.

Chodźmy, pani!
Staniemy za drzew tych oto bukietem
W kłębach georgiń —

IDALIA.

Ach, z kwiatów otchłani
Wyjdę jak mara ogirlandowana
Georginiami... jak tęczą gwiazd różnych,
Czy się mnie zaprze...

STELLA.

Zdziwi się mama, że tak niespodziana
Wizyta pani — tylu dziś podróżnych...

(Wychodzą).

SCENA IX.

(Pod dębem w ogrodzie).

HRABIA i HRABINA RESPEKTOWIE, DYANA, MAJOR, FANTAZY
i RZECZNICKI.

DYANA (nalewając w filiżanki).

Pan Major herbaty?

MAJOR.

Dawno ja takie widział jasne kwiaty
I takie drzewa!

HRABINA.

Bez kultury rosną.

MAJOR.

Wasz kraj ogrodem zdaje się i wiosną
Temu, kto stoi w śniegach garnizonem.
Nie dziw, że tęskno wam do waszej ziemi,
Że wy wzdychali do niej pełnem łonem.
Ja to czułem dobrze!

HRABINA (do Fantazego będącego w zamyśleniu).

Z uszkami złotemi

Ta filiżanka grotesque się należy
Panu hrabiemu. Panie hrabio, proszę —

RZECZNICKI.

Fantazy!

FANTAZY.

Niechaj piorun mię uderzy!
Chociaż amulet koralowy noszę
Od złego oka, słyszałem za sobą
Szelest... i znany krok... czyścowej duszy!

HRABINA.

Ta dusza miłą być musi osobą,
Że tak w hrabiego sercu wszystko głuszy
I tak daleko od nas odprowadza
Myśli... i w taką nieprzytomność wtrąca!

FANTAZY.

Przepraszam panią — to mi nie przeszkadza
Być tu — jak światło bladego miesiąca
Nie szkodzi lampom.

HRABINA.

Więc pan hrabia z nami?

FANTAZY.

Duszą i ciałem, sercem i oczyma!

HRABINA.

I nie zostało teraz nic z duchami?

FANTAZY.

Ani włos jeden!

DYANA (podając filiżankę nieprzytomnemu Fantazemu).

Ale czy pan trzyma?

Niechże pan trzyma! Ach! Pan puszcza z ręki!

(Filiżanka pada i tłucze się).

HRABINA.

To nic! Dyanko, nalej panu drugą!

FANTAZY.

Na Chrystusowe zaklinam się męki,
Że nie umyślnie! — Jestem pani sługą
Najpokorniejszym — przepraszam ją za to;
Ale w tej chwili... gdybyś była pani
W oczy mi lała gorącą herbatą
Byłbym nie poczuł.

(Na stronie).

Sami tu szatani
Grają komedję ze mną najsmutniejszą.

HRABINA.

Dyanko, nalejże panu Hrabiemu,
Ale herbatę daj mu jak najlżejszą,
Daj cień herbaty.

FANTAZY.

Cień jej? a to czemu?

HRABINA.

Szanuję nerwy Pana...

(Widać za plecami Fantazego stojącą wśród zarośli Idalię).

Co ja widzę?

(Kłania głową).

FANTAZY.

Co to jest? komuż ukłon ten, Hrabino?

HRABINA.

Nic... Stelka widząc na jednej łodydze
Kwiat rzadki — za tą w gwiazdach georginą —
Gestem pytała czy zerwać pozwolę,
A jam jej na to odkłoniła głową...
Dawno Pan z Rzymu przybył na Podole?

FANTAZY.

Pół roku —

HRABINA.

Któż tam z naszych?

FANTAZY.

Daję słowo,
Ze oprócz kilku wielkich dziwolągów
Suchych, co jeden za drugim się wleką,
Powysychani nakształt wodociągów
I wydają się ruinom opieką
Jak mech i chwasty: niema w całym Rzymie,
Kogobym wspomniał.

HRABINA.

Przecież dla nas sielan

Wszystko ciekawe.

FANTAZY.

Przy ruinach drzemie
Jeden katolik Polak — i szambelan

Cesarskiej Mości, wielki filharmonik:
 Rogaty złotą lirą Apolina,
 Śpiewa, ale tak, jak Egeryi ponik
 Mruczając: niteczka głosu tylko sina
 Z ust mu wypływa, młynów nie obróci,
 A jednak ciurka wciąż włoską ruladą;
 Milczenia anioł w nim siedzi i nuci;
 Pitagor z całą swych uczni gromadą
 Milczącą siedzi w nim; a rzeczy można,
 Ze swojej szkolnej zasady nie łamie. —

HRABINA.

Któż więcej?

FANTAZY.

Jedna hrabina pobożna,
 Której spadają loki aż na ramię,
 A w każdym włosie pierścieniu ukryty
 Albo kanonik, albo Monsignore.

HRABINA.

Dewotka. — Jakież są więcej kobiety?

FANTAZY.

Najwięcej blade są i bardzo chore,
 Ruiny kobiet, resztki Karlisbadu,
 Wód stalaktyty, zgasłe Wezuwiusze.

HRABINA.

Zacytuj mi pan jedną dla przykładu!

FANTAZY.

Ach! jest tam, chora do głębi na duszę,
 Znajoma pani — Hrabina Idalia,
 Rodzaj Pani Stael — machina parowa
 Pisząca listy...

HRABINA.

Czy ładna?

FANTAZY.

Jej talia
 Jest do połowy z mgły, druga połowa

Bez kości, sprężyn, samą siłą skrętu
Idąca naprzód — zresztą w oczach cała...

HRABINA.

Piękne?

FANTAZY.

Dwie czarne plamy atramentu
Na prześcieradle białem...

HRABINA.

Taka biała?!

FANTAZY.

Jak przerścieradło.

HRABINA.

I takie ma oczy?

FANTAZY.

Jakby atrament.

HRABINA.

Widzę ją przed sobą!

FANTAZY.

Kto prześcieradło to sztyletem zboczy:
Popelni — wielką poezią... z osobą,
Któraby dała dziś dziesięć lat życia
Za jaką scenę głośną i tragiczną. —
Jej trzeba rany, usta ma do picia
Trucizny; — byłaby osobą śliczną,
Mając rozdarte serce lub sumienie,
Do miesięcznego modląc się blasku.
Nieszczęściem — takie biednej przeznaczenie —
Ze jako okręt rozbity na piasku
Siedzi i czeka; lecz żądane burze
Nigdy ją z ziemi zabrać nie przychodzą.
Gdym przybył, chciała mnie poznać: ja służyć
Chętnie kobietom, ale się nie godzę
Być Danaidy beczką, w którą leją
Wszystkie serc swoich rdzawych niedokwasy. —
Przychodzę: była zajęta idea,

Że miłość wszędy i po wszystkie czasy
 Była święconą, bo w treści jest wiarą
 I jedynie się zasadza na wierze. —
 Na to krzyknąłem bardzo wielkie „haro!“
 I powiedziałem mojej pani szczerze,
 Że miłość nie jest taką narkotyczną
 Niedowiedzioną istotą; — że trzeba,
 Aby tę gwiazdę zobaczyła śliczną
 Przez alabastry płci jakiego Feba
 Świecącą, w oczu skrze i na koralu
 Ust gorączkowych... Gdym to rzekł, westchnienie
 Z burnusowego wyrwało się szalu,
 A ten szal — amiant — owinał płomienie
 I przepalony, srebrniał w moich oczach,
 Amiant prawdziwy! — Tu rzekłem, że widzę
 Na jej błękitno-kruczanych warkoczach
 Gwiazdę nieszczęścia. — Myślała, że szydę,
 Z początku; ale widząc, że ja na tem
 Stałem, jako okręt na kotwicy,
 Rzekła: Ach! Pan mi będziesz duszą bratem!
 Pan jeden — w jednej czucia błyskawicy
 Pojąłeś, co ja cierpię, co ja czuję,
 Na jaką jestem samotność skazana...
 Rzekłem, że sercem się nad nią lituję,
 Że mi potrzebna jest dusza siostrzana,
 Jak rękawicze nieparzystej druga
 Z tej samej pary i z tego numeru.

HRABINA.

Przepraszam pana — Stelka na mnie mruga.

(Wychodzi Tu Idalii i odchodzi z nią razem).

(RESPEKT bierze MAJORA pod ramie i odchodzi w inną stronę ogrodu).

RZECZNICKI (na stronie do Fantazego).

Teraz, Fantazy, z drugiego krateru
 Sypnij Dyanie w oczy.

FANTAZY.

Idź do dyabła!...

RZECZNICKI (do Dyany).

Zapewne mamie pani co się stało —
Może tam w domu Stelunia zasłabła:
Pójdę zobaczyć.

(Do Fantazego).

Przypuść szturm, a śmiało!

(Odchodzi).

SCENA X.

(FANTAZY i DYANA sami).

DYANA.

Chce pan herbaty?

FANTAZY.

Nie.

DYANA.

Chce pan odwiedzić

Moją ptaszkarnię?

FANTAZY.

Nie — pozwól mi pani

Przy samowarze tym, co zaczął cedzić
Ukrop — pozwól mi z Plutona otchłani
Wydobyć słowo, które na cmentarzu
Żywych jest, jako trupia głowa w kwiatach.

DYANA.

Pan mówi?

FANTAZY.

Prosto mówię — o maryażu.

DYANA.

Ha!

FANTAZY.

Czy mam klęknąć?

DYANA.

W tych namiętnych światach,
W których pan żyjesz, klękanie nie w modzie.

FANTAZY.

Zaprawdę — trochę już się zestarzało.

DYANA.

Więc...

FANTAZY.

Więc, hrabianko?...

DYANA.

W słowach tych na spodzie

Jest oświadczenie...

FANTAZY.

Cukier...

DYANA.

To za śmiało,

Mój panie hrabio! Wcale po kupiecku
Zbliżyłeś się pan po towar. Gdzież łokieć?
I gdzie są szalki? — Szlacheckiemu dziecku
Bóg dał — patrz, hrabio — nawet ten paznokcieć
U palca, jako rubin gdzieś obmyty
Krwia przodków, a gdzieś wzięty na Wezyrze!
Me łyzy — patrz, są jak perły Amfitryty,
Bom obrażona we łzach. — W tym szafirze
Oka mojego znajdziesz niby mętne
Łzami rodowych myśli zdrojowisko.
Wszystko, co mogło w spadku dziecko smętne
Wziąć po umarłych: całe serc ognisko,
Z szlachetnościami wszystkiemi — i całą
Myśli ich piękność — ja mam po nich w spadku;
A ten mój posag ich — to moje ciało!
Gdybym więc nawet kładła na ostatku
Duszę, i o niej nie mówiła wcale,
Traktując z tobą o sobie na funty: —
To jeszczeby mi ust jasne korale,
To jeszcze oczy te, co straszne bunt
Podnoszą, ogniem i łzami ciskając,
Kazały dumną być w targu i trudną. —

Jakto? — więc chciałeś, hrabio, nie klękając
Jak przed Madonną na stepie odludną
Rafaelową, zrumienić jej lice
I grubiaństwem cud otrzymać święty,
Że się łzami jej napełnią źrenice
Lub z płótna tryśnie krew? — Więc żeś ty wzięty,
Żeś w okolicy sławny, że się ludzka
Miłość za tobą goni, żeś pomięty
Jak dziwna jaka perła kałakucka,
Tem droższa, że ma kształt nieodgadnięty
I do perły jest niepodobna wcale,
Ale jest jako monstrum dziwne, drogie:
To już myślałeś, że ja się zapalę
Do tego dziwu, jak dziecko ubogie
Pierwszy raz brylant słoneczny widzące
Na twej koszuli?... Bo wyznasz mi, hrabio,
Że Endymiona mirty i miesiące
Niepotrzebne ci były tu, gdzie grabią
Siano tak podłych, jak ja, pełne kwiatków!...
Dobrze więc! oto odpowiem ci szczerze,
Tem szczerzej, że tu jesteśmy bez świadków:
Ojciec mój daje mnie tobie, a bierze
Twoje pieniądze. Przebach, że wyraźnie
Mówię... Mój ojciec ma ojcowskie długi,
A sam jest winien pół miliona w kaźnie,
A jutro wszystkim chłopom biorą pługi
I w każdej chacie stawiają żołnierza.
Więc jeśli chaty te jutro posłyszę,
Że krzyczą: Boże! a Bóg nie uderza
Piorunem; jeśli duch, co we mnie dysze,
Modlitwą o! tej wioski nie obroni;
Jeśli mnie chłopki okrażą i padną
Do nóg, jak gdybym z gwiazdami na skroni
Stała w niebiosach, a ja męką żadną
Nie będę mogła wyratować ludu;
Jeśli Bóg z mego jedynie nieszczęścia

Chce siły, która, podobna do cudu,
Ten lud obroni: — to się do zameścia
Z panem... przychyle.

(Wychodzi).

FANTAZY.

Co za duch! o Jezu!

RZECZNICKI (wychodząc z za drzew).

A cóż? — za drzewem stałem...

FANTAZY.

Wichry! burze!

Jestem szalony!

RZECZNICKI.

Napij się Xerezu.

FANTAZY.

Rzecznicki! w mojej duchowej naturze
Wielka się stała, ogromna przemiana!

RZECZNICKI.

Wiwat! — A cóż? rzecz czy do skutku doszła?
Czy panna w tobie szczerze zakochana?

FANTAZY.

Duchowi memu dała w pysk i poszła!

RZECZNICKI.

Wiwat!...

FANTAZY.

Lecz partya ta nierozegrana!

(Wybiega).

RZECZNICKI.

Poleciał; — dziwnie ten Fantazyusz żyje:
Z babami się jak na pałasze bije.

AKT DRUGI.

SCENA I.

(Z jednej strony widać domek księdza Logi, z drugiej sztuczną grootę otwartą; środek sceny zajmuje ogród, pełny w głębi skał połamanych, mostków wiszących i kwiatów).

IDALIA (sama).

Nie! nie! Ja w domu tym, gdzie oni żyją,
Nie będę... tylko wytchnę sobie z drogi
I tu, gdzie różne powoje się wiją
Okolo sosen, w domku księdza Logi
Pomieszkam. — Niech te źródła, gdzie Dyanna
Widziała swą twarz, widzą me oblicze;
Niech widzą, że ja chociaż w serce ranna,
Bez trucizn jestem... Nie! — ja jej nie życzę
Żadnej tortury! Ja egzaltowana,
Mówią: dlatego właśnie przebaczyłam
I w osty moje kolące ubrana —
W osty, które ja łzami uiskrzyłam —
Podobna jestem... do jakiej Rzymianki
Lub Florentynki, co poety słucha
I ma kolczate na warkoczach wianki,
Jak gdyby burza, powstająca z ducha,
Tłomaczyła się wieńca rozczochraniem
I kolcem liści zjeżonych na głowie. —
Poetą moim jest przeszłość: śpiewaniem
Mego poety, jestem tu w połowie
Smutna i razem na poły radosna
Jestem, że mnie ta pieśń nad nich podnosi. —
Widzę, że trzeba mi będzie wziąć krosna,
Jak dawnej Polce; i ten duch, co prosi
O piękność, a chciał niegdyś miesiąc złoty
Uczynić swoim zwykłym domownikiem —
Trzeba go, widzę, pięknnością prostoty

Upoić; i mieć nad moim stolikiem
Zamiast miesiąca — twarz prababki białą,
Groźną — świętości lampę, twarz umarłą...
Tak, tak! — wrzeczono będzie mi burczało
I tańcząc złote me dywany darło,
A ja pomyślę patrząc: tak się kręci
Świat — tak tańczy każdy modniś młody!
Taką niteczkę z jedwabnej pamięci
Snuje za sobą! tak się w jedwab mody
Obwija, i tak — ot z rąk mi wylata
I już... ode mnie wziął ruch, a mnie nie zna!...
Zaprawdę, że tak będę drwić ze świata,
Przedąc jedwabie —

SCENA II.

(STELLA i JAN wchodzą z przeciwnych stron, nie widząc Idalii).

JAN.

Stelleczko lubiezna!

A cóż?...

IDALIA.

Ktoś idzie! — skryjmy się do groty.

(Wchodzi do groty).

STELLA.

Niech pan Jan do mnie po rusku nie gada.

JAN.

Słuchaj — to język jest mojej tęsknoty,
Język, który mi z piersi tak wypada,
Jak pies, i wyje — wyje, jak przy trumnie,
A czasem w ustach jak karabin szczęknę...

STELLA.

Dobrze — lecz pan tu na gościnie u mnie,
W mojej pasiece; a więc to niepięknie
W mojem królestwie i przy moim piesku,

Który jest moim ministrem policyi,
Niepięknie, że pan mówi po moskiewsku.

JAN.

Dowcipny ptaszku!

STELLA.

Pies mój ciebie chwyci
Za piętę, jak cię poczuje Moskałem,
Bo nauczony tak — wziął edukacją...

JAN.

Gdzież jest Dyana?

STELLA.

Z bardzo wielkim żalem
Nie mogła tu przyjść.

JAN.

Ha!

STELLA.

Humla waryacją
Na fortepianie gra...

JAN.

I tu nie przyjdzie?

STELLA.

Nie wiem; jak skończy, to może spacerem...
Bo wiesz, że ona jutro za męża idzie.

JAN.

Jutro?!...

STELLA.

Cóż ci to?

JAN.

Prawda! — to jest zerem
W moim rachunku... Jutro więc — drzę cały —
Dyana za męża idzie... a za kogo?

STELLA.

Ach! jak szcękneły dziwnie twoje strzały
W kołczanie! — Słuchaj — teraz z wielką trwogą

Patrzę na ciebie — teraz ty zupełny
 Baszkir — ach czarny teraz Baszkir z ciebie!
 Czemu ty patrzysz tak na księżyc pełny?

JAN.

To nie, Steluniu; szukałem na niebie
 Tych gwiazd — tych siedmiu gwiazd, związanych razem,
 Które ty niegdyś, astronomka złota,
 Pokazałaś mi nad strasznym obrazem
 Zmrozonej nędzy, zgasłego żywota,
 Śnieżnego piekła. — Tutaj być powinny,
 W tej stronie niebios — te skrzypce z gwiazd — skrzyp-
 Po których ty jak aniołek niewinny [ce,
 Wodziłaś smyczkiem. Twej pasieki lipce
 Nie są tak słodkie, jako ta muzyka,
 Która na gwiazdach po tobie została;
 I kiedym siadał pośród mogilnika,
 To na Sybirze mi tam grała — grała —
 Grała — jak wasz głos, panny...

(Na stronie).

Czy w łeb strzelę
 Sobie? Czy pójdę po żołniersku spać się? —

STELLA.

Skrzypeczka ta z gwiazd?...

JAN.

Na siostry wesele

Sprowadź ją z nieba!

STELLA.

Więc ty musisz kryć się?

Więc ty nie przyjdiesz jutro do kościoła?

Więc ty...

JAN.

O! biedny! biedny! biedny! biedny!

Który ojczyznę straci!

STELLA.

Nie kryj czoła!

My z Dyanią pacierz kończyły powszedny

Twojem imieniem; ty byłeś tu z nami
Każdej niedzieli i każdego piątku;
Dyanka twojemi gadała słowami,
Na chrzcinach chłopskich każdemu dzieciątku
Dawała imię Jan... Dyanka dzisiaj szłocha,
Dyanka dziś blada, Dyanka dzisiaj chora:
O! ty wiesz, ty wiesz, że cię Dyanka kocha!

JAN.

Ha!

STELLA.

Ale mama z papą przyszli wczora,
Na łóżku siedli, mnie kazali iść precz,
Zamknęli na klucz drzwi — i coś tam siostrze
Gadali. Ona krzyczała: To miecz!
Trucizny dajcie! Sama nóż wyostrzę
I sobie gardło poderznę po ślubie! —
A mama z papą do niej: Jesteś głupia!
Gadasz, jak gdybyś żyła w jakiej grubie
Albo w romansach! — A tu nędza trupia!
A tu rodziny naszej honor trzeba
Ratować! — A ty, głupia firecynelo,
Myślisz co? — z torbą po kawałek chleba
Naprzód, a starych nas dwoje ze Stellą
Za tobą, grać po kawiarniach w Kijowie
Na starych harfach? — Tu zaczęła mama
Mdleć — i mój papa załamał na głowie
Ręce — i nie wiem, co... Ale ja sama
Pod drzwiami płakać zaczęłam i ryczeć,
Aż po mnie biedna Dyanka wybiegła,
Wzięła na ręce i zaczęła krzyczeć:
— Wezmę krzyż! wezmę krzyż! — i prześcieradła
Wlokąc, na ręku mię w ogród wyniosła,
Jak obłąkana krzycząc: — Wezmę krzyża,
Bo widzę, żem tu w domu na to rosła!

JAN.

To tak?... Więc niechaj do mnie się nie zbliża
Ta męczennica! — Stelko, daj mi rączkę —

Proszę cię... teraz... na wszystko zaklinam,
Weź... oto widzisz tę złotą obrączkę!
Czekaj — bo jeszcze czegoś zapominam —
Weź... i ten suchy pierwiosnek, urwany
W dalekiej ziemi leż, do której wrócę
Kończyć mój straszny czas... dźwigać kajdany.
Cóż mi więc z tego, że tu w piersi rzuć
Więcej boleści i otworzę rany,
Zamiast... o! Stelko, dokończ tych wyrazów!...
I te — oto masz — drogie dla mnie dary
Schowaj!... I kiedyś, później — gdy z obrazów
Przeszłości żołdak, wasz przyjaciel stary,
Na umilenie jakiego wieczora
Wtrąci się nagle do waszej rozmowy:
Gdy ten dom czarny z postacią upióra,
Cały sybirską zorzą purpurowy,
W oczach wam stanie; gdy to wszystko dawno,
Co kiedyś serca nam biedne dręczyło,
Stanie się marą: — ty wtenczas te jawne
Ślady przeszłości — z twarzą taką miłą,
Jak anioł, który w niebie przypomina
Boleści nasze, już dawno przebyte —
Rzucisz przed siostrą twoją do komina
I w skrach pokażesz — czarne — leż już syte
I obrócone w popiół...

STELLA.

Więc już z tobą — —

JAN.

Więcej już ze mną nic...

STELLA.

Lecz cię zobaczę?

JAN.

W tym domu żadną nie jestem osobą,
Ale mundurem! Mniej niż człowiek znaczę,
A więcej żądałbym, niż król niebieski!

Więc wolę nie mieć nic — niż mieć pod miarą.
 Nawet już, Stelko, te perłowe łezki,
 Które ty, co mi serduszkciem i wiarą
 Dotrwałaś, sączysz odwrócona bokiem —
 Że są litością, to mi są obrazą! —
 Idź, Stelko — ja tu sobie nad potokiem
 Legnę i strzałek mych będę żelazo
 Ostrzył, bo w biedzie przywykłem do pracy —
 Jest mi kochanką! — mam także piosenki,
 Które śpiewamy sobie my żołdacy,
 A w których jest — brud śmiechu i są jęki...
 Bądź zdrowa! —

(STELLA odchodzi).

SCENA III.

JAN, IDALIA.

IDALIA.

Poszła!... O! cudowna scena!

JAN (kładzie się i śpiewa, Idalia słucha, postępując zwolna i cicho naprzód).

Hej! hej! — Kaukaz nasz!

Hej! hej! kopalnia cyn!

Hej! matka gorzałka!

Hej! kochanka mi pałka!

Hej ojczyzny ja syn!

Kto idiot? — Swój! — Ty mój? ja nie wasz! —
 — Dobrze ta straszna pieśń tu z echem wyje. —
 Jeszcze raz niechaj mi jaka Kamena
 Da głos i schwyci mię razem za szyję,
 Abym zacharkał i wył jak hyena. —

Hej! hej! trzymaj straż!

Hej! hej! zabębnił grzmot!

Hej! hej! siostra gorzałka!

A śmierć generałka!

Hej na konia, taj wlot!

Kto idiot? — Swój! — Ty mój? ja nie wasz!

Jaka cudowna pieśń! — czekają skały,
Jakby stu wilków otworzyło paszcze
I razem z głosem czarną krwią rzygały.
Po pieśni jęczy powietrze i klaszcze,
Jak czarownica...

IDALIA (niepostrzeżona przez Jana).

A on u strumienia

Niby cudowny rycerz z Ariosta:
Głowę mu srebrny kołczan opromienia,
I zda się, ciepłe to powietrze chłosta
Energia głosu. Sylaby ostatnie
Jeszcze grzmia. — Ach! to jedna z dusz ranionych,
Jedna z dusz, które są mi dawno bratnie...
Znam go — ach! i tych wyłogów czerwonych
Dotknę się — nie tak, jak ten świat francuski,
Ale się dotknę, jak relikwii świętych...

(Podchodzi ku niemu).

JAN.

Kto takoj?

IDALIA.

Polka!

JAN.

Nu tak szto?! ja Ruskij!

IDALIA.

Czy wielu takich jest na Sybir wziętych,
Jak ty? — Przebacz mi, że cię prosto tykam,
A nie obrzucam cię światowym „Panem.”
Wtem „ty“ ja wiele — ja wiele zamykam!
I więcej daję ci nad ludzi stanem
Wyższości, niż świat da Jaśnie Wielmożnym.

JAN.

Nu — ja nie znaju szto!... ja z moim Chanem
Z majorem... tak my tu za podorożnym
Zjechali pocztą.

IDALIA.

Biedny ty, człowieku,
Że się wystrzegać musisz własnej mowy!
I ciągle być za serce — na tym świecie
Twojego krzyża! Jam mniejszej połowy
Historii twojej wysłuchiwała, w grocie
Ukrytą będąc: domyślałam się reszty.

JAN.

Jeśli tak, powiem pani, że w istocie
Spiewałem z bólu i z męki.

IDALIA.

A wiesz ty,

Ze ja słuchając przysięgłam na ciernie
Chrystusa, że tej boleści pół biorę,
I będę tobie tutaj służyć wiernie
Sercem, co we mnie także bólem gore,
Także ranione. — Nie pytaj o więcej,
Ale wiedz, że tu jedne mamy cele:
Ty ustępujesz — bo kochasz goręcej,
Boś jest mężczyzną, bo masz mocy wiele
I szlachteność ci męska nie pozwala
Za prawo serca przeciw prawom ziemi
Bunt podnieść. Lecz ja — ja — mnie tu krwi fala
Na brzeg rzuciła, żaglami złotymi
Płynącą; tu ja próchnięję — ja, dawniej
Różanym gwiazdom i kwiatom kochanka,
Ja, rozgłoszona już miłością sławniej,
Niżli niejedna Neapolitanka
Sztyletem romans kończąca — a przecie
Tak porzucona, jak Basia lub Różia,
W której się cała palestra w powiecie
Kocha i wierszem dzwoni, że jej buzia

Jest pełna cukru!... Horror! mówię tobie.
Bo że ojczyzna ta mrze, to się zdaje,
Że wszystkie kwiaty więdną na tym grobie
I wszystko państwo ginie — a lokaje
W panów ubrawszy się, wiodą romanse,
Serca zdobyte czepiac u zegarka;
Potem poezye piszą i bilanse
Handlowe... Taka wielka gospodarka
W głowie tych ludzi teraz, że na wszystko
Jest czas i miejsce: to też wszystko blade;
Każdy jest panem, paniczem i chłystką,
Każdy od kuchty swego bierze radę,
A gdy co czyni, to siebie się pyta,
Czy kamerdyner się tam gdzie na boku
Nie śmieje. — Słuchaj! ja jestem kobieta:
To co mam w sercu, to widzisz i w oku —
Wzgardę, ogromną wzgardę, błyskawicę!
Otóż tą wzgardą... z tą wzgardą, o Boże!
Z tą wzgardą ja tu wpadłam w nawałnicę
Nieszczęścia — i coś rzucam w mgłę — coś tworzę —
Coś — sama nie wiem; ale jestem pewna,
Że przyjdzie jaki wypadek, zdarzenie,
Które tonącej mi jak kawał drewna
Pomoże. A nie? — ha! to mam schronienie
Nie między ludźmi!...

JAN.

Darujesz mi pani,
Lecz jeśli tutaj jest jaka kobieca
Zemsta...

IDALIA (z śmiechem szydersko-bolesnym).

To ona się nie ukołczani! —
Co? — to ty, rycerz, nie spadniesz z księżycy
Na Ariostowym koniu, i kochanki
Jak sokół sobie nie weźmiesz z dziedzica?
To za mnie bić się ty nie pójdiesz w szranki?
Cha! cha! cha! — ludzie myślą, że prócz sińca
Nic ofiarować nie można kobiecie!

Jeżeli nie dasz ręki — daj modlitwę,
Daj serce, sercem mi pomagaj skrycie!
Myśl twoją zawieś tak jako rybitwę
Nade mną — sercem bijącą, krzykliwą!
Niechaj mię broni, niech wiem, że nade mną
Jest kto mój — z parą skrzydeł sprawiedliwą,
Z szalą, która tu przez rękę niktzemną
Pofałszowaną nie była. I więcej,
Więcej żądałabym jeszcze od ciebie —
Ale to ledwo za kilka tysięcy
Lat człowiek będzie mógł dać zaraz z siebie
Na pierwszą prośbę, anielską a szczerą...

JAN.

Cóż to za taka prośba?

IDALIA.

O pokorę...

JAN.

A! to jest dla mnie, pani, wielkie zero!
Ja, który teraz z kazny co rok biorę
Na żołd pół rubla, a resztę u chłopca
Muszę wyżebrać, mam pokory tyle...

IDALIA.

Nie masz jej dosyć!

JAN.

Patrzaj: moja stopa

Wygląda z buta...

IDALIA.

Słuchaj: ja się schylę

I pocałuję tę krzyczącą ranę
Twojego buta — jeśli mi dasz słowo...

JAN.

Że?...

IDALIA.

Słuchaj! — wioski te są zrujnowane,
Połową jedną szlachcie, a połową

Skarbowi dłużne; — słuchaj! ślub Dyanny
Jest oto takim buta załataniem.

JAN.

A więc jest święty!

IDALIA.

Towar z niej nie tanny
Zrobiono długiem bardzo targowaniem!
Na pół miliona zbito panny cenę
I teraz idzie z domu w pół-milionie!

JAN.

Nie drogo!

IDALIA.

Prosto idź na targu scenę
I mów, że siostra ci jedna po zgonie
Na zagranicznym banku zostawiła
Tyle, ile ci ludzie chcą za córkę...
Ja jestem twoją siostrą!

JAN.

Pani miła!

To przypomina mi „Z gorki na gorę“,
Piosenkę ruską...

IDALIA.

Oko moje śledzi
Twe czoło — i twarz zda się nieczłowiecza.

JAN.

Nie, nie! — Coś w sercu tu polskiego siedzi,
Coś w sercu siedzi tutaj i zaprzecza
Takiego czynu — jakieś straszne „veto“,
Przeciw któremu nic — świat cały! — Nawet
Gdybyś nie była, o pani, kobietą:
Czuję, że musiałbym zaraz wet-za-wet
Na twoją złotą kulę odpowiedzieć
Ciężką, żebracką kulą — ołowianą...
Co to los! — Można nad strumieniem siedzieć

I kwiatów wonią oddychać różaną
I mieć w boleści ulgę od natury,
Co wszystkie, zda się, części zna bolące
I wie, gdzie dotknąć kości, a gdzie skóry.
Lecz człowiek, choćby wyższy nad tysiące
Ludzi, choć z chęcią najlepszą się zbliży,
Choć, jak ty, pani, od róż weźmie woni
W słowach: to zaraz czemś albo poniżej
Albo łzę taką nad czołkiem uroni,
Że ona jemu pali na wskroś czoło
I czerni wstydem.

IDALIA.

Ha! widzisz, jak trudno
Wejść w czarodziejskie tych aniołów koło,
Dla których taki czyn nie byłby trudną
Pokorą brata...

JAN.

Na Boga! na Boga!
Opuść mię, pani — to jest dar szalonej! ...

IDALIA.

Bo ja szaloną jestem; bo złowroga
Gwiazda świeciła wcześniej urodzonej
Pomiędzy ludźmi, którzy jeszcze rosną,
Nie śmiejąc kroku zstąpić z bitej drogi.
Tak! — twa szlachetność jest cudowną wiosną
Dojrzałych twych lat: każdy dziś ubogi —
Nie lokaj, ani piszczyk, wierz mi, panie —
Tak jak ty, rzuciłby mi złotem w oczy! ...
Nie idzie za tem, by to odrzucanie
Było Boskością: ono tak się toczy
Po bitej drodze ludzkiego zwyczaju,
Jak stara państwa Rzecznickich kareta...

JAN.

Tego już, pani, ja nie ponimaju
I śmiech mnie bierze —

IDALIA.

Śmiech? że ja, kobieta,
Moim majątkiem rzucam tak jak błotem,
A sama choćbym poszła za klucznicę?...

JAN.

Kto pani jesteś?!

IDALIA.

Jestem tu przelotem
Przelatujący anioł: błyskawicę
Rzuciłam w oczy tobie — i znikniona
Jestem dla oczu twych, jak błysk na niebie...

JAN.

Stój!...

IDALIA.

Nie idź za mną!...

(Odchodzi).

JAN.

To jakaś szalona!

Ale oddałaby, widzę, w potrzebie
Duszę — choć dyabłu! Co do mnie, to może
Złoto więc rzucić swoje — i do stawu,
Bo mnie jak więźnia karmią ręce Boże...
Jednak — ja nie wiem — ona mi wszczepiła
W to serce jakiś gniew na tego człeka,
Który tu... który, jak pieniężna siła,
Jak wódz od swych wojsk dukatowych czeka
Zwycięstwa, a sam spokojnie i cicho —
Nie wyteżywszy żadnej serca władzy —
Weźmie ją... Pójdę — bo jakieś mi лихо
Ubrązowane, jak ja, trochę sady,
Wściekle, jak Baszkir gdzieś odźwierciedlony —
Pokazuje swe zęby zgrzytające.
O! co bym nie dał za plac rozmierzony
W dziesiątek kroków, a w ręku gorące
Dwa pistolety! — O! gdyby nie słowo,
Które ode mnie Major wziął, że będę

Jako baranek i nie własną głową
Nie przedsięwezmę, ale na komendę
Jako machina będę się obracał
I wszystko czynił, co mi on rozkaże: —
O! jakżebym dziś te lalki wywracał
I tym światowym ludziom zajrzał w twarze
Spokojnie — ale marmurowo, krwawo,
Jak niegdyś w gardło armat pod Warszawą...

(Siada i czyści broń).

SCENA IV.

(Wchodzi KSIĄDZ LOGA).

KSIĄDZ LOGA.

Pobiegła... Męka to jakaś okrutna,
Która tę panią tak po lasach goni!
Chciałem przyjść z radą — a ona fiut! za dom
I poleciała na staw jak cyranka.
A byłbym tu dał miejsce kilku radom
Dobrym, pokazał jej śmierć i kochanka
W świetle właściwym... Czego chce ode mnie
Ten ruski żołdak?

JAN.

Pomówić z Waćpanem.

KSIĄDZ LOGA.

Polak?

JAN.

Tak, Polak.

KSIĄDZ LOGA.

I Waćpan nikczemnie —
Po polsku czysto mówiący, więc stanem
Zapewne nie chłop rekrutowy, ale

Szlachcic — w moskiewskiej służbie, z dobrej woli?...
Czego Waćpan chcesz?

JAN.

W tym twoim zapale
Czuć, że na twojej, mój staruszk, roli
Nie rośnie zdrada. Więc się tobie zwierzę
Pod tajemnicą jakoby spowiedzi,
Zem szlachcic, w proste posłany żołnierze
Za rewolucją; że tu we mnie siedzi
Polska; że tutaj przybyłem sekretnie,
Abym się pozbył jednego ciężaru,
Który przez czasy mię dziesięcioletnie
Dręczył i nakształt strasznego czaru
Myśl moją ciągle wypijał z płomienia,
Serce mi z ognia mojego wyniszczało...
Proszę cię, księżu, byś z tego pierścienia...

(Zdejmuje pierścień z palca i daje go Ks. Łodze).

KSIĄDZ LOGA (opatrując).

Złoty pierścioneł —

JAN.

Który mi tak błyszczał,
Jak gwiazda niegdyś świecąca na kucyą
W domu rodzinnym...

KSIĄDZ LOGA.

Cóż z pierścionka tego?...

JAN.

Proszę, ażebyś zrobił restytucyą,
Bo go ukradłem.

KSIĄDZ LOGA.

Nie!

JAN.'

Na Boga mego!

Bo go ukradłem...

KSIĄDZ LOGA.

Z męką ty straszliwą
Mówisz! — a ja ci mówię, ojciec stary:
Przede mną oto nie przysięgaj krzywo,
Bo ja ten pierścień znam, bom go u fary
Dawniej poświęcił.

JAN.

Więc wiesz, że jest wzięty?
Że dziś do niego nie mam, Ojczy, prawa?

KSIĄDZ LOGA.

Dobrze: wypełniasz obowiązek święty.
Niechaj ci, synu mój, wiara i sława
I patria będą pomyślne i dadzą
Swoje trzy wieńce, wieńce te zwyczajne,
Które na grobie wielkich ludzi sadzą
Te trzy kochanki. Bo ci to nie tajne,
Że ludzie wprzód do trumny odprowadzą —
Potem kochają. Cierp więc podług stanu,
A znoś cierpienia podług wielkiej duszy;
A ja pamiętać będę o Waćpanu
W moich pacierzach...

JAN.

I perłami prószy
Ze żrenic, jak król jaki ze skarbnicy...
Bądź zdrow, staruszkule! — Dobrzy w Polsce ludzie!

(Odechodzi).

KSIĄDZ LOGA.

Otóż sumienie tej młodej dziewczyny,
Która zrobiła ślub w sybirskiej budzie,
Wolne jest. — Pójdę i pierścioneńkę zwrócę.

AKT TRZECI.

SCENA I.

(Salon, jak w akcie pierwszym).

FANTAZY i RZECZNICKI.

FANTAZY.

Rzecznicki! Dasia tu jest, albo była.

RZECZNICKI.

A ba!

FANTAZY.

Czułem ją po zapachu.

RZECZNICKI.

A ba!

FANTAZY.

Mówię ci, że się już nade mną mściła
Przez tego czarta goliata, draba,
Baszkira: — już jej wenecki sztylecik
Uczułem — i wiatr z jej ust pełny szpilek
Już mię obleciał — już miałem pasztecik
Z jej kuchni — już, już ten zemsty motylek
Zrzucił poczwarkę swoją i tu lata,
Zrobiwszy traktat z ludźmi na mą zgubę.

RZECZNICKI.

Mści się nad tobą?

FANTAZY.

Tak jako armata,
Nabita puszką ćwieków.

RZECZNICKI.

Daj mi próbę,

Bo nie uwierzę.

FANTAZY.

Ten Baszkir najęty,
Ten Baszkir połknąć mię chce jak Jonasza.
Dziś właśnie, kiedy ranne dyamenty
Stały na kwiatach...

RZECZNICKI.

Słuchaj: niech ta kasza
Z gwiazd, z dyamentów, z kwiatów...

FANTAZY.

Jesteś gapem!

Otóż ci powiem prosto: dziś stoimy
Na ganku — Baszkir z ogromnym harapem,
W futrach, jak bożek gdzie sybirskiej zimy,
Ujeżdża konie — panny — z ganku patrzą,
Starosta swoje anegdoty plecie...

RZECZNICKI.

Ty stoisz z twarzą od księżycy bladszą,
Jak Manfred...

FANTAZY.

A ty, mój swat, przy bukiecie
Jak Gaweł...

RZECZNICKI.

No! kończ! —

FANTAZY.

Wtem Baszkir niecnota
Naprzód mi konia prawie na pierś wsadza
Ogonem — zmykać przymusza, od błota
Spędza jak wróbla, pałaszem zawadza
O moje złote na piersiach binokle
I ciągnie —

RZECZNICKI.

No! to wszystko jest przypadek.
Takie zdarzenia mieli Temistokle
Na olimpijskich grach. — Ustępuj z kładek,

Kiedy przez błoto konie idą kłusa.
 Baszkir nie winien nic.

FANTAZY.

Ale mi potem
 Bestya mojego zabił Spartakusa!

RZECZNICKI.

Jakto?

FANTAZY.

Kiedy mnie już obrzucił błotem,
 Dyabeł podszeptał jakiś pannie Stelli,
 Że do Majora przybiegła i prosi:
 „Niechaj, Majorze, Baszkir z łuku strzeli!“
 Ojciec tę prośbę natychmiast podnosi,
 Prawi uczoną wielką dysertacją
 O sławnem z łuku strzelaniu Baszkirów,
 Dowodząc, że zna strzał przez elewacją.
 Schodzą się panny, do niebios szafirów
 Odprowadzają tę strzałę oczyma;
 Ja sam aż w gwiazdy okiem idę za nią,
 Widzę, jak srebrna się na niebie trzyma,
 Maleńka — komar pod niebieską banią —
 Potem przechyla — skręca — w ziemię mierzy
 Głoweczką srebrną, daje świdra, młyńca —
 Spadła: patrzże, gdzie? — Mój Spartakus leży,
 Mój wyżeł leży na środku dziedzińca,
 Drgając łapami! — Czy tybyś uwierzył
 Albo spodziewał się? — W niebiosa godził,
 A szelma w mego Spartaka wymierzył!

RZECZNICKI.

Rzecz prosta: Spartak po dziedzińcu chodził —
 To los...

FANTAZY.

Psów było jak psów — —

RZECZNICKI (przerywa).

Więc Baszkir miał racją.
 Że najpiękniejszy wybrał cel. — Fantazy,

Strzelając, widzisz, tak przez elewacyą,
Trzeba mieć piękność celem...

FANTAZY.

Po sto razy
Mówię ci, że w tem czuć rękę Idasi.

RZECZNICKI.

Strzeliła z łuku?

FANTAZY.

No! zgryzłem to w sobie.

Wtem Stelka, co się do każdego łąsi,
A coś z dyabelka ma w swojej osobie,
Pyta Baszkira, jak się to przez barki
Ow kołczan wkłada? czy ciężki? czy z blachy?

RZECZNICKI.

No? i ten Baszkir?...

FANTAZY.

Syn jakiejś Tatarki!

Zdjął kołczan i mnie — co jemu pod pachy
Byłem, a właśnie wylazłem był z kąta
I stałem przy nim z maleńką dziewczynką —
Przez głowę rzucił nagle jak chomąta
Ten kołczan, pasy te żółtawą glinką
Pomalowane: i nagle przed okiem
Panien zniknąłem, jakby syn Latony,
Okryty białej kurzawy obłokiem —

RZECZNICKI.

I obryzgany i ochomącony
Jak koń —

FANTAZY.

I straszny wstał na ganku klamor,
A gdy opadł kurz, tom się przy łajdaku
Baszkirze — —

RZECZNICKI.

Pannom pokazał, jak Amor
W kusym tużurku, w sążnistym sajdadu

I ożółcony pasem ładownicy!
A ba!

FANTAZY.

Idalka więc w znowie z tym chłopem!
Przysięgnę, że gdzieś stała w okolicy
Na wieży lub na dębie z teleskopem.

RZECZNICKI.

A ba!

FANTAZY.

Ty zawsze a! ba!

SCENA II.

(Wchodzi HRABIA RESPEKT).

HR. RESPEKT.

Cóż, panowie?!

Major nadzwyczaj smutny z tych wypadków —
Z żołdakiem się tym obejdzie surowie.
Kochałeś może tego psa? bez świadków
Może i parę łez nad nim zroniłeś?
Niech cię pocieszy to, że moja żona,
Której ty dawno głowę zawróciłeś
Twymi listami, już jest zatrudniona
Obraniem miejsca pięknego w ogrodzie
Na grób twego psa i na monumenta.
Gdybyście byli z moją córką w zgodzie
Lepszej: to możeby jakie mementa
Znalazła w książce angielskiej i napis
Godny. — Lecz z moją córką coś ty, hrabio — —
Chciałbym was widzieć jak lazuli-lapis
Błękitnych! chciałbym tu, pod czwartą schabią
Zobaczyć, czy ty masz serce?... Masz serce —
Ale zobaczyć chciałbym, czy się wreszcie?...
Wiesz, hrabio, ojcem jestem... a kobierce
Nagotowane...

FANTAZY.

A my tu po kweście
Waszych serc...

HR. RESPEKT.

Niechże pan Fantazy gada,
Jeżeli można, bez żadnych floresów
Choć chwilę!

FANTAZY (na Rzecznickiego wskazując).

Ten pan mój podpis posiada.

HR. RESPEKT.

Cha! cha! nie lubisz, widzę, interesów —
Dobrze — idź, same róże zrywaj, a my
Weźmiemy ciebie w siatkę — weźmiem w siatkę
I myśli twoje ładne pochwytną
W piękne więzienie. — Masz ojca i matkę:
We mnie masz ojca, matkę — w mojej żonie;

(Do Rzecznickiego).

A my, jak ludzie ziemi, chodźmy pisać.

(Wychodzi z RZECZNICKIM).

FANTAZY.

Czoło mi jeszcze całe wstydem płonie
Za tego starca. — Jak on się kołysać
Musiał — uśmiechać i na pół dowcipnie
A na pół seryo rzucać mi na szyję
Tę córkę! — Krew tak czerwona nie lipnie
Do rąk zabójcy, ani modre żmije
Nie okręcają takimi uściskami
Laokontowych ramion, jak on zięcia! —
To dziwna! — Jak on żebraka był blizki —
Jak cały drżący porwał mnie w objęcia —
Jak od psa zaczął, a skończył na sobie:
Niby wyraźnie mówiąc: nad psem płaczę —
Więc płacz nade mną! — Kiedy te łyzy obie,
Co w oczach jego błysnęły, tłumaczę:

To mu odpuszczam uśmiech ów fałszywy,
Którym się zakrył przede mną jak maską.

SCENA III.

HRABINA RESPEKTOWA (wchodzi).

HRABINA.

Hrabio!

FANTAZY.

Jej sługa!

HRABINA.

Mąż mój... dzień szczęśliwy!
Sądzę, że Pan Bóg nam Swą świętą łaską
Pomoże... Hrabio! we łzach jestem cała,
Widzisz mnie drżącą: nie dziw się — ja matka!..

FANTAZY.

Pani mnie mocno tem zobowiązała,
Ześ mnie tu wzięła pierwszego za świadka
Tych łez. Umiem je cenić.

HRABINA.

Niech pan będzie
Pewny, że moja Dyana zrozumie
To serce jego; i chociaż nie wszędzie
Bo ona latać po gwiazdach nie umie —
Poleci za nim: to przecież go w żadnym
Złym losie córka moja nie opuści.
Ona ci będzie, hrabio, kwiatem ładnym
W domu; przed twoją błyskawicą spuści
Oczy, i będzie płakała — nie wiedząc,
Skąd te łzy, czemu się po licach toczą.
Nigdy cię ona nie obrazi, śledząc
Twoich czynności; ani z twą proroczą
Przyszłości myślą będzie się kłóciła —
Ani z przeszłością twych złotych pamiątek

W bój wstąpi. Dla nas ona wszystkich była
Jak w domu jaki czarodziejski kątek,
Gdzie jest najlepiej — smutnym!... Ale, panie,
Ja, matka... muszę przewidywać za nią
I muszę matki to przewidywanie
Powierzyć tobie...

FANTAZY.

Od tej chwili z panią
Nie powinienem mieć żadnych tajemnic.

HRABINA.

O tak! — nie prawdaż? — otwarci oboje
Wpuścimy oczy do najskrytszych ciemnic
Naszego czucia. — Hrabio, ja się boję,
Że tu... pod lawą tą — jakaś Westalka
Rzymska ma ogień jeszcze nie zagasły...

FANTAZY (do siebie).

Jak widzę, była tu moja Idalka.

(Głośno).

Pani, tym ogniem się serdecznym pasły
Różne... cóż powiem? różne salamandry
I w ogniu żyły...

HRABINA.

I są jeszcze żywe?

FANTAZY.

Nie wiem. — Nimfy się także w oleandry
Zmieniały dawniej — albo nieszczęśliwe
W źródła płaczące, lecz w rękę poety
Dafne zmieniała się zazwyczaj w laury.
Powinnyby dziś to polskie kobiety
Dobrze rozważyć...

HRABINA.

Wy jesteście Giaury,
Wy wszyscy Giaury! wy zawsze wracacie
Do pierwszych waszych snów — na śmierci łożu...

FANTAZY.

Czy tu przybyła?

HRABINA.

Jest.

FANTAZY.

Gdzie?

HRABINA.

W małej chacie

U księdza Logi.

FANTAZY.

Chora?

HRABINA.

Jak na morzu!

FANTAZY.

Co?... ma chorobę morską?

HRABINA.

Ciągłe mdleje.

FANTAZY.

Pójdę — to moje fatum ta kobieta!

(Wybiega).

HRABINA.

Mężu! Dyano! Stelko!

SCENA IV.

(Wchodzą wołani wszyscy — z nimi MAJOR i RZECZNICKI).

HR. RESPEKT.

Co się dzieje?

HRABINA.

Poleciał do niej!

HR. RESPEKT.

Wojna więc odkryta! —

Jak się to skończy?

HRABINA.

Ach! jak się to skończy?

Nieszczęście jakieś wyniknie.

MAJOR.

Paniska!

Czart złączył — Moskal tę parę rozłączy.
Bo ja zrozumiał z mego stanowiska,
O co tu chodzi; tak dziś ja z Baszkirem
Moim nie wiele sobie pogadawszy,
Zrozumiał, że tu maryaż — a tam wirem
Jakaś kobieta kręci... Tak ja krwawszy
Był żalem, niż wy, że mój Baszkir w zмовie
Z tamtą kobietą drwił z waszego zięcia.
Więc ja rozwidnił Baszkirowi w głowie,
Że on zobaczył waszego dziecięcia
Nieszczęście, i sam zapłakał nad wami
I przyrzekł pomódz wam przeciw tej furii.
Tak jeśli wam to nic, tak my tu sami
Zrobimy sztukę. Tak ja na dyżuryi
Przy sobie teraz zatrzymał Kałmuka
A Baszkirowi kazał jechać w pole.
Tak on tej pani hrabiny poszuka
I odprowadzi przez całe Podole
Babę do domu.

HR. RESPEKT.

To gwałt!!

MAJOR.

Nasza sztuka!

Co wam do tego?

HRABINA.

Lecz, panie Majorze!...

MAJOR.

No! ja mam dekret na nią, że w jej domu
Jest Włoch, Franmason!

HR. RESPEKT.

Ale w moim domu

Taki rapt...

MAJOR.

Co? ja źle zrobił?

RZECZNICKI.

Nikommu

Do głowy ani przyszło, byś pan sobie
Tak śmiało postąpić.

MAJOR.

Tak ja źle się sprawił?

HRABINA.

Majorze, lepiej abyś był nas obie
Zaaresztował!

HR. RESPEKT.

Mnie przed sądem stawili...

STELLA.

Nas kazał odwieść wszystkich do Kijowa...

HR. RESPEKT.

Mnie starca kazał chwycić na kibitkę...

MAJOR.

Nu! cóż ja zrobił?!?

HRABINA.

Nic już! ani słowa!

Mężu! każ zaprządź! — Dyanko, włóż świtkę
Czarną, podszytą łabędziami! — Stelko,
Przynieś mi boa! — sama włóż szlafroczek!
Tak jak kompanią tu jesteśmy wielką,
Jedźmy!

(Hrabia idzie do drzwi; służba się krząta; panny wychodzą i wchodzi
przebrane).

MAJOR.

Ot piwa nawarzył!...

RZECZNICKI.

W tłumoczek

Włóżcie czem trzeźwić!

HRABINA.

Prawda! — Kajetanie!

Włóż do powozu — o! te dwa flakony.
Jedźmy!

MAJOR.

Ja zaraz tam dopędzę panie
Z moim Baszkirem.

LOKAJ.

Powóz zaprzężony! —

HRABINA.

Jedźmy kompanią całą w przeprosiny!
Pan Major konno niechaj przodem rusza!

MAJOR.

Nu tak! ja przodem! —

HR. RESPEKT.

Przez lasek brzeziny!

(Wszyscy oprócz Rzecznickiego wychodzą z pośpiechem).

RZECZNICKI.

A ja na mego czekam Fantazyusza.

SCENA V.

(Wpada FANTAZY).

FANTAZY.

Rzecznicki!

RZECZNICKI.

Co to?

FANTAZY.

Konია!

RZECZNICKI.

Intercyza

Już podpisana...

FANTAZY.

Słuchaj: w moich oczach
 Porwał ją przez pół! chwycił jak narcyza!
 Róże, co były w jej czarnych warkoczach,
 Wytrząsał! uniósł jak wicher! — Rumaka
 I pistoletów!!...

RZECZNICKI.

Stój!

FANTAZY.

Póki na siodle
 Dosiedzi jedna kosteczka Polaka,
 To będzie rąbać!

RZECZNICKI.

Bah!

FANTAZY.

Jeśli ją podle
 Opuzczę, to mi w twarz pluń! — Do widzenia!

RZECZNICKI.

Poczekaj! jakże to było?

FANTAZY.

Podchodzę —
 Widzę ją zdala — nad brzegiem strumienia
 Smętnie idącą: — już się na pół godzę
 Z tą dawną myśli moich Pelejadą —
 Wtem — patrzę: jakiś Kałmuk przed nią staje —
 Pokorny zda się z razu — czy z doradą
 Czy z prośbą?... Słucham, co? — wtem klasły gaje:
 Dała mu ręką w twarz — do oczu skacze —
 On ją porywa wpół, jak zwierz unosi...
 Horror!! puść — konia, sam biegnę, kulbaczę —
 Lecę... Jeżeli ten Major się zgłosi
 O swego człowieka do sądu, daj parol

Za mnie, że człowiek ten wymazan z pułku
Znajdzie się w piekle!...

(Wybiega).

RZECZNICKI.

Widzę, że wziął rzecz z poetycznej strony!
A więc, ja szłapię także — dla trzeźwienia
Różnych mdlejących; a zaś dla obrony
Od dyabła, z którym już walczyć nie mogę,
Wezmę na bryczkę moją księdza Logę.

(Chce wychodzić, wtem wchodzi IDALIA).

SCENA VI.

IDALIA.

Ha! Pan Rzecznicki?

RZECZNICKI.

Co widzę?!

IDALIA.

Dlaczego
Oczy pan sobie przecierasz? — Zapewne
Cieniem się, marą wydaję dla niego!...
Obydwa macie serca bardzo rzewne:
Płaczecie trupów, nim umrą; a żywych
Macie za mary, gdy wam stają w oczy...
Cóż więc? natrętna jestem dla szczęśliwych?

RZECZNICKI.

Czy ja śnię?

IDALIA.

Cóż to?

RZECZNICKI.

Róże z jej warkoczy
Mówił Fantazy — powylatywały!
Baszkir uchwycił ją w pól, jak narcyza!...

IDALIA.

Gdzież są ci państwo? — i gdzie jest dwór cały?
Słyszałam, że już młodych intercyza
Jest podpisana: — wszystkie serca mocy
Zebrałam — świadkiem szczęścia być przychodzę.

RZECZNICKI (z szyderstwem).

To więc ten Kałmuk...?

IDALIA.

Co za Kałmuk?

RZECZNICKI.

Nocy

Szecherazady!

IDALIA (wzgardliwie).

Czy tu Panu szkodzę
W jakich intrygach?

RZECZNICKI.

Bynajmniej! nie widzę,
Abyś mi pani teraz w czym szkodziła.
Sam jestem tylko w ogromnej intrydze:
Przed chwilą pani Hrabina tu była
Porwaną...

IDALIA.

Jakto? ja?! — przez kogo, proszę?

RZECZNICKI.

Przez... przez... przez...

(Do siebie).

W znowie jest baba z Kałmukiem —

(Głośno).

Pani, jak widzę, masz wielkie rozkosze
Jak dawniej, rządzić amorowym łukiem,
Wszystko zamieniać jak pendzel Albana
W obrazek pełny róż i Kupidynów —

IDALIA.

Co to za Sfinks jest nowy? — Proszę pana
Mówić tu prozą!

RZECZNICKI.

Wśród róż i jaśminów
Stojąc, jak słońce, co oku doskwiera —
Z oczu olśnionych kochankowi zniknąć —
Zniknąć z Centaurem, tak jak Dejanira —

IDALIA.

Jak Dejanira?... Pan musiał nawyknąć
Lub do poezyi, albo też do wódki
I spirytusu — żałuję Go mocno!

RZECZNICKI.

Widać, że pani czas wystarczył krótki
Na tę przejażdżkę, zdrowiu tak pomocną
I fantastyczną —

IDALIA.

Czy pan do mnie gada?

RZECZNICKI.

Pytam się pani, czy koń dobrze niesie?

IDALIA.

Jaki koń?

RZECZNICKI.

Centaurem.

IDALIA.

Jestem bardzo rada,
Że pan tak mocny mitolog — w zakresie
Swojego głupstwa.

RZECZNICKI.

Jam także szczęśliwy,
Że pani wracasz bez żadnego szwanku.

IDALIA.

Dziękuję, że pan dla mnie taki tkliwy.

RZECZNICKI.

A gdzie jest Nessus?

IDALIA.

Czy pan?... Mój kochanku,

Zawsze lokajski spełniał obowiązek:
Gdy Fanio w Rzymie był, toś od służącej
Mojej dostawał dla niego podwiązki,
Róż, co na balu na piersi gorącej
Uwiedły; stałeś jako szpieg, przy bramie
Czekając, abyś doniósł, gdzie wyjadę...
A ja mówiłam: oto psie ma znamie
Ten człowiek — wierny jest! i nad gromadę
Ludzi wiernością wyższy jest ten człowiek;
A więc ma dobre serce, myśli świetne.
Choć więc z pod twoich szarych, wężych powiek
Odrażająca szła skra; nieszlachetne
Choć z ciebie jakieś pary wychodziły
I odrażały mnie instynktem ducha: —
Tylem zdobyła, że mi stał się miły
Twój widok i głos dla mojego ucha
Umiłowany. — Miej więc dziś torturę
Z tej jednej męki, która żre głęboko
Tą myślą: żeś był podniesiony w górę,
Że w jednej myśli ty byłeś istotą
Wyższą nad ludzi, żem była gotowa
Klęknąć przed tobą: — a ty byłeś błoto,
Jednego nie wart spojrzenia i słowa,
Chodzący dowód, że mój sąd o świecie
Był sądem młodej kobiety — pomyłką!
Teraz tu jesteś marszałkiem w powiecie:
Jego pieniądze wzniosły cię! Z posyłką
Już cię nie pośle po mego trzewika
Albo po zwiedły kwiat — pan teraz z ciebie!
Lecz to, co ludziom serce tu odmyka,
Szczęście... to ciebie tak, jak kreta grzebie
W intrygi — w lochy idące podziemne —

W pochlebstwa, które ci u niego służą. —
 Cóż, — czemu teraz pan już nie drwisz ze mnie?
 Dokąd to mnie pan po stepach podróża
 Prześladowałeś?... Mów! — uwieńczę laurem
 Komiczny talent pana. Cóż? — ciekawa,
 Z jakim mnie tu pan wyprowadzasz Centaurem?!...
 Milczysz?

RZECZNICKI.

Więc to jest ta koszula krwawa,
 Którą dał Nessus?

IDALIA.

Cóż, ciągle te żarty?!

RZECZNICKI.

Wybacz mi pani! — Cha! cha! cha! — nie mogę —
 Pozwól mi pani, że będę otwarty
 I spytam: dobrą pani miałaś drogę?
 Czy trakt był bity i gładki i suchy?
 Czy zdala widać było Kapitole?
 Ach!... jak to się te nazywają muchy
 Świejące, proszę pani... czy luczole
 Za konia grzywą leciały jak grzywa
 Z gwiazd? — Wszak podobno tak bywa w Italii —
 Słowem, czy Centaur ten, który porywa
 Z konia chwytając dziewczę w pół talii —
 Czy nie obraził?

IDALIA.

Więc panu się zdaje,
 Ze ja porwaną byłam?

RZECZNICKI.

Tak wieść niesie.
 Zresztą patrz pani — państwo i lokaje
 Wszystko rozbiegło się oto po lesie...

IDALIA.

Gdzie?

RZECZNICKI.

Całe nasze poszło towarzystwo
W pogoń za panią — sprzyja pora ranna —
Fantazy nawet tak jak na myśliwstwo
Wziął trąbkę.

IDALIA.

I on?!

RZECZNICKI.

A panna Dyanna

Wzięła lornetkę.

IDALIA.

Ha!

RZECZNICKI.

I pani Fanio

Wziął pistolety.

IDALIA.

Zrozumieć nie mogę.

RZECZNICKI.

Ja także, wierny sługa, chciałem za nią
Pędzić się jak wiatr, wzięwszy księdza Logę,
Nie wiedząc, czy ślub, czy pogrzeb wypadnie
Z natury rzeczy.

IDALIA.

I pan sam we dworze?

RZECZNICKI.

Samiutki!

IDALIA.

I dwór wyjechał gromadnie?

RZECZNICKI.

Wszyscy! i Baszkir nawet przy Majorze
Poczuwałowali.

IDALIA.

Więc i pańska żona?

RZECZNICKI.

Jakto!?

IDALIA.

I żona pańska z nimi razem?

RZECZNICKI.

Ja tutaj jestem nakształt Korydona,
Tęskniący za jej dalekim obrazem.
Szczęście to dla niej, bo z tą katolicką
Duszą, o pani słyszająca przygodzie...

IDALIA.

Jakto? — ja z panią Omfalią Rzecznicką
Tu przed godziną gadałam w ogrodzie.

RZECZNICKI (zmieszany).

Pani żartuje...

IDALIA.

Nie żartuję wcale!

Owszem mówiła, że ci chce siurpryzę
Zrobić: — ubrała się w błękitne szale
I w blondynową wielką moją kryzę —

RZECZNICKI.

I w pani kryzę?! —

IDALIA.

Nawet wyznać muszę,
Ze pana chciała podejść w moim stroju
I pomieniała się na kapelusze
Ze mną.

RZECZNICKI.

I pieszo szła?

IDALIA.

Jak dla podboju

Serca pańskiego!

RZECZNICKI.

Szła pieszo?... ogrodem?...

IDALIA.

Przez parkan do mnie skoczyła z powozu.

RZECZNICKI.

Prru! prru! prru!

IDALIA.

Że mnie naśladuje chodem,

To wiesz...

RZECZNICKI (do siebie).

Czuję dreszcz — prru! ściętym od mrozu!

IDALIA.

Czy panu słabo?

RZECZNICKI.

To nic...

(Do siebie).

Z mego łona

Wychodzą mrówki, za serce mię chwyta!

(Głośno).

Czy pani pewna, że to moja żona!

IDALIA.

Jakto?

RZECZNICKI.

Może to kto?... jaka wizyta?...

Ktoś wzrostem do niej podobny?... jej talia

Nie jest znacząca...

IDALIA.

Ja panu powiadam

Wyraźnie: Pani Rzecznicka Omfalia,

Z którą ja...

RZECZNICKI.

Więc — więc — więc do nóg upadam!

(Chce wychodzić).

IDALIA.

Gdzież pan?

RZECZNICKI.

Niech pani hrabina przebaczy! —
Droga mi każda chwila i minuta.

(Do siebie).

Ten Kałmuk... moja żona... sto kartaczy!!...

IDALIA.

Ha! więc tu jakaś intryga popsuta — —

RZECZNICKI.

Tak, tak! intryga jakaś —

(Krzyczy przez okno).

Wyprądz z bryczki,

A włożyć siodło!

IDALIA.

Pan jest niespokojny?

RZECZNICKI.

Ale czy pani pewna?

IDALIA.

Przez uliczki

Te jaśminowe szła...

RZECZNICKI.

I Kałmuk zbrojny?...

IDALIA.

Co?

RZECZNICKI.

Kałmuk zbrojny podjechał?

IDALIA (śmieje się).

Cha! cha! cha!

Teraz rozumiem!...

RZECZNICKI.

Tak, pani rozumie,

Że taki afront...

IDALIA.

Przejażdżka!... Gdzieś macha
Z Kałmukiem, jak wiatr —

RZECZNICKI (przez okno).

Ten szelma nie umie
Położyć siodła!... podepnij strzemiona!
Ale jeszcze raz błagam na kolanach,
Czy pani pewna, że to moja żona,
Którą — —

IDALIA.

Tak — którą —

RZECZNICKI.

Niesie po kurhanach.
Nie! nie, nie! — bo to przechodzi granice
Wszelkiej na świecie znanej... tak nie było!...
Ale —

IDALIA.

Być mogło!

RZECZNICKI (krzyczy w okno).

Wkładaj-że terlicę!
Na Boga! Czy ty masz serce, Hawryło?!
Cóż ty tam myślisz?!

IDALIA.

Więc pan także kłusa
Jako Kupidyn w obrazku Albana?...

RZECZNICKI.

Pani widziałaś ją?...

IDALIA.

Nim przez Nessusa
Była porwaną...

RZECZNICKI.

Pani dzisiaj z rana
Widziałaś?

IDALIA.

Dzisiaj.

RZECZNICKI.

Czy spytać pozwoli,
Jak to być może dawno?

IDALIA.

Niezbyt dawno!

RZECZNICKI.

Karczmy dwie! — jeśli jechali powoli,
To przy tych karczmach... To jest bardzo jawno
Że jeszcze nie są w lesie... Tak! być muszą
Przy karczmach... Gdyby tam jaki znajomy
Był taki dobry!...

IDALIA.

Nim do lasu ruszą...

RZECZNICKI.

Ha! pani ze mnie drwisz?... Niech trzasną gromy
We mnie i w moją hańbę!!

(Wybiega).

IDALIA.

Przecież — człowiek!

Gdy ból mu wszystkie zęby powyrywał,
Zacierpiał sercem, krwią — i trysnął z powiek
Iskrą człowieka. — Lecz jak długo pływał
W błocie i patrzeć nie pozwolił z góry
Na konwulsyjne swoje śmieszne męki!
Ja, nawykciona wśród każdej tortury
Nadziei z serca, a trucizny z ręki,
Zawszem gotowa powitać wypadek
Uśmiechem — albo śmiertelną bladością.
Lecz ten rozsądny i kościany dziadek
Za swą porwaną poleciał jejmością
Już bez rozumu — na wychudłej szkapie,
Butów cholewy pokazując szare. —

I to się zowie świat zimny, co chrapie!
Kiedy mu serce, miłość albo wiarę
Wspomnisz — wszystko to romansem nazywa!
A gdy sam w romans wpadnie — kawał błota —
Jak żyd na koniu wychudłym się kiwa!
Gdyby na drodze stały, podruzgota
Apolinowe posągi! i wróci
Z małżonką w ręku, jako Hesperйда
Z jabłkiem. — O ten świat — że anioły smuci,
Nie dziw! — Mnie samą wzgarda i ohyda
Bierze, gdy widzę, że takie gadziny
Rozsądkiem przeciw egzaltacyi świszczą?
A jakież to w tym domu były czyny
Ludzi, co sercem i rozumem błyszczą?
Przedali córkę — mnie, natrętną mare,
Chcieli oddalić — jak? — afrontowaną!
Tak że mi chyba wziąć habity szare
I za klasztorną trzeba było ścianą
Przeżyć ostatek... Precz, serca sprzedajne! —
Za was rumienie się, jak róża sromu. —
Szczęście, że blisko konie mam rozstajne.
Powrócę — sama — do smętnego domu
Z moją niedolą i z mojem cierpieniem
Dawnem, lecz mędrsza stokroć doświadczeniem.

AKT CZWARTY.

SCENA I.

(Mieszkanie hrabiny Idalii).

RZECZNICKI i HELENKA (która uprzęta pokój).

RZECZNICKI.

Helusiu, widzisz — do waszego domu
Musiałem z moją żoną — była chora.
Proszę, nie mów też panienka nikomu,

Że ja tu konno z nią. Tego wieczora
Miałem przypadek — powóz mi się złamał;
Musiałem na koń wziąć — żona mi słabła...
Czy doktor już był?

HELENKA (do siebie).

O! to się wyklamał!

Żona w maglinie mówi, że przez dyabła
Była porwaną...

RZECZNICKI.

Co mówisz Acanna?

HELENKA.

Mówię, że pani marszałkowa chora.

RZECZNICKI.

Tak, chora trochę. Ta przejażdżka ranna...
Ona ma nerwy słabe... do wieczora
Na koniu... aura zła... więc nieco słaba...
Bo to kobieta delikatna, święta!

HELENKA (na stronie).

O! delikatna! ta czerwona baba! —
Prawda, że teraz tak jak z krzyża zdjęta
I rozczochrana...

RZECZNICKI.

Patrzajno Acanna,

Czyj to jest powóz?

HELENKA.

Jedzie pani nasza!

RZECZNICKI.

Idź, proszę, czy tam mojej żonie wanna
Przygotowana? Niech się nie rozgłasza
Ta awantura między służącymi...
Idź! — ja tu panią przyjmę i powitam.

(HELENKA odchodzi — wchodzi IDALIA).

SCENA II.

IDALIA — RZECZNICKI.

IDALIA (nie spostrzegając Rzecznickiego).

O! jak tu miło! drzewami ciemnymi
Pozasłaniane okna — piersią chwytam
Powietrze pełne kwiatów...

(Zobaczywszy Rzecznickiego).

Co?! Pan u mnie?

RZECZNICKI.

Pani, pod samym jej domem... wypadło
Do niej zajechać...

IDALIA.

I żona?

RZECZNICKI.

Jak w trumnie,
Jako grobowe, okropne widziadło.

IDALIA.

Tu?...

RZECZNICKI.

Tak, wielmożna mościa dobrodziejko,
Tutaj, na moich przyniesiona rękach.

IDALIA.

Gdzież ja pan?... lecz nie! nie jestem tak dziką,
Ażebym w pana wycierpianych mękach
Szukała zemsty. Czyś pan mógł zasłonić
Przed ciekawością sług?

RZECZNICKI.

Pani, ja sędzę...

IDALIA.

Że?

RZECZNICKI.

Że niewiedzą...

IDALIA.

Chciałabym obronić

Pana, więc muszę... Nessus?

RZECZNICKI.

Wziął pieniądze.

IDALIA.

To słuchaj mię pan! — Awantura taka
Dla was, którzy tu jesteście na świecie
Nakrochmaleni — każdy pół Polaka,
A pół aktora we własnym powiecie,
Jak na aptecznych półkach różne flaszki
Z etykietkami: ten polityk dzielny —
Ten sensat — a ten dowcipny na fraszki.
Wamby, powiadam, niosła cios śmiertelny
Śmieszność, zabiłaby was na wiek wieków,
Na dzieci wasze spadła i na wnuki!
Bo z was można drwić, lecz tak jak z kaleków —
Nie potracając nigdy krzywej sztuki
Waszego ciała. — Twoje więc kalectwo
W dowcipkowaniu było: — a tyś ranny
W ten garb rozumu na całe sąsiedztwo
Sławny!... Rogaty miesiącem Dyanny,
Zgubiony człowiek! jeśli ja na siebie
Nie wezmę garbu twego, i niosąca
Ciężar, ciężaru tak nie upotrzebię,
Że skrzydlatością i blaskiem miesiąca
Moje ramiona dumne uwachlarzy
I upiękni mię, zamiast ciebie zabić. —
Pozbądź więc, proszę, pan tej smętnej twarzy,
Ja mu przyrzekam przynajmniej osłabić
Pierwsze wrażenie — oczu mych szafiry
I postać moją ułożywszy zgodnie
Ze smutną rolą nowej Dejaniry...

RZECZNICKI.

Nie! To nie może być! — ja udowodnię,
Że jestem człowiek! —

IDALIA.

Lecz, szanowny panie,
Tu przyjechałeś z żoną, twoją bryczką;
Kałmuk pieniądze dostał — i dostanie
Rozkaz milczenia. — Ja stoję z pożyczką
Mego honoru — ty szlachcic, bierz sumę,
Ani się pytaj! — bierz ją bez procentu!

RZECZNICKI.

Ja także, pani, mam tu swoją dumę
I tę rzecz biorę także z fundamentu...

IDALIA.

Lecz patrz! Hrabiosstwo Respektowie jadą: —
A więc ty powiesz im, że twoja żona?...

RZECZNICKI.

Ja nie wymówię tego.

IDALIA.

Więc tą radą,
Którą ci dałam, nie gardź! — Rzecz skończona!
Ja byłam w stepie przez ciebie odbita —
Ja jestem teraz w łóżku mojem chora...
Mów — żartuj ze mnie — baw ich — bądź kobietą,
Baw ich plotkami...

RZECZNICKI.

Lecz tego wieczora
Ja moją zrobię rzecz...

IDALIA.

Dobrze, pozwalam,
Lecz do wieczora ja rzecz moją zrobię,
I te małżeństwa wasze porozwalam —

Albo... odejdę was, a wy na grobie
Grajcie komedią.

(Odchodzi).

RZECZNICKI.

Zda się dobra rada:
Na czas niech ona będzie tu na celu
Żartom. Ja potem zrobię rzecz nie lada;
Bo trzeba, żeby na obywatelu
Nie było plamy —

SCENA III.

(Państwo RESPEKTOWIE wchodzą z DYANĄ i STELLĄ).

HR. RESPEKT.

Witaj mi, Rzecznicki! —
A cóż tu? mówią — chora!

RZECZNICKI.

Tak, tą jazdą —

HR. RESPEKT.

Cyt! cyt!... to jej dom — to kościół delficki!
Widzisz — przywiozłem całe moje gniazdo.
I Major z nami, ale go ukryłem
Poza kulisy; — w sam czas wyprowadzę
Na perypecyą... Ja z nim długo żyłem;
To prosty człowiek, dobry — —

HRABINA.

Czy ma władzę

We wszystkich członkach?

RZECZNICKI.

Co?

HRABINA.

Czy ją oszczędzał?

RZECZNICKI.

Tak, dosyć — —

HR. RESPEKT.

Czy gdzie nie zawadził w lesie?

RZECZNICKI.

Nie.

STELLA.

Więc nie bardzo rumaka rozpędzał?

HR. RESPEKT.

Dosyć — widzicie, że stanął przy kresie.
To dosyć... lecz nas nabawił kłopotu:
Wszyscy w cierniowej jesteście koronie! —
Widzisz, Rzecznicki, takiego powrotu
Niktby nie życzył swojej własnej żonie.
W głębi — taka rzecz jest niemałej wagi!...
Co to jest?!... krew się na to każda burzy.

RZECZNICKI.

Gdzie jest Fantazy?

HR. RESPEKT.

Brakło mu odwagi!

W ogrodzie chodzi — wena mu tam służy —
Coś komponuje...

(Do żony).

Wypraw do ogrodu
Dyanę, niech ze Stelką idą obie...

HRABINA.

Czy położyli jej na głowę lodu?

RZECZNICKI.

Tak, położyli.

HR. RESPEKT.

Przywieźliśmy tobie
Kapelusz —

RZECZNICKI.

Jakto?

HR. RESPEKT.

Przestrzelony z łuka,
Strzałą rogaty — tak, strzałą rogaty!
Widzisz — był rozkaz dany dla Kałmuka,
Ażeby leciał jak Amor skrzydlaty,
A nie dał sobie odbić tej hrabiny —
Major mu to sam wyraźnie powieścił.
Otóż on widząc twe rycerskie czyny,
Gdyś go dopadał: przymierzył i strzelił —
Jak gdyby na twój rycerski kartelus
Odpowiadając — prosto tobie z łuka.
Szczęście, że trafił cię tylko w kapelus!
Stelusiu, niech go Kajetan poszuka,
Niech tu przyniesie.

(STELLA wychodzi).

Pokazać ci chcemy,
Ze twój rycerski czyn nie uszedł oka;
I ubierzemy ciebie, ubierzemy
W strzały — —

RZECZNICKI.

Rzecz to jest zanadto wysoka,
Aby żartować...

HR. RESPEKT.

No — ty jesteś skromny,
Ja wiem; ty skromny jesteś. Cały w locie —
Możesz być nawet sobie nieprzytomny,
Gdy cię ten Kałmuk — —

RZECZNICKI (przerywa).

Tak, hrabio, w istocie!...

HR. RESPEKT.

Gdy cię ten Kałmuk ubrał, ubrał w strzały —
Numida jakiś — —

RZECZNICKI.

Więc pan wie?

HR. RESPEKT.

Numida,

Mówię ci, jeździec jesteś doskonały!
Widzisz, talent się taki zaraz wyda,
Mój ty kochany Rzecznicki!

RZECZNICKI.

Co, hrabio?

HR. RESPEKT.

Daj, niech cię z serca uściskam!... Szałaput!
Jeżeli w tobie lata nie osłabiają
Tej żyłki, to gdzieś zrobisz verte-caput.
Orlando! — gonił się jak za podradem!
Orlando!

RZECZNICKI.

Hrabia się powtarza...

HR. RESPEKT.

Drogi!

RZECZNICKI (do siebie).

Zemszczę się!

(Głośno).

Czy hrabia jadąc moim śladem
Nie znalazł... czy gdzie nie postawił nogi
Na tym papierze?... Otóż to przypadek!
Intercyza mi wypadła z kieszeni.

HR. RESPEKT.

Cóż? — ty sam stoisz jak układów świadek —
Rzecz małej wagi — papier się odmieni —
Lekka odmiana! Nową intercyzę
Przypieczętujesz litewską Pogonią.
Tak! Pogoń teraz weźmiesz za dewizę,
Pogoń ognistą — z uwieńczoną skronią...
Lecz widzę, że zły jesteś... a to zwykła
Rzecz w ludziach, co się heroizmu wstydzą —

Wstydzą i tak się czerwienią jak ćwikła,
Kiedy się nagle w laurach jasnych widzą
A niby niemi gardzą... Moja żono,
Pójdziemy na ogród z dziećmi, nim hrabina
Zgodzi się naszą postać zasmuconą
Oglądać.

(Wychodzą).

RZECZNICKI.

Piekło! piekło!... Starowina
Pod paznokcie mi w nogi wbija drzazgi!
Na mękach jestem!...

(Wbiega FANTAZY).

SCENA IV.

RZECZNICKI — FANTAZY.

FANTAZY.

Rzecznicki, jestem trup!

RZECZNICKI.

Co to się znaczy?!

FANTAZY (rzuca się w fotel).

Okropny, mówię, miałem pojedynek!

RZECZNICKI.

Z kim?

FANTAZY.

Z tym Moskalem...

RZECZNICKI.

Tysiąc sto kartaczy!!

Bez sekundantów?!

FANTAZY.

Wieczny odpoczynek
Mów za mnie... jestem trup!

RZECZNICKI.

Na Pana Boga!

Gdzieżeś raniony? jesteś żywy, cały! —

FANTAZY.

Mówię ci, że już moja prawa noga
 W grobie... i moje złote ideały
 Biorą twarz czaszki. W myślach moich zamęt!

(Wskazując na biurko).

Masz papier? siadaj, proszę i bierz pióro:
 Chciałbym... w trzech słowach tutaj mój testament
 Napisać...

RZECZNICKI.

Słuchaj...

FANTAZY.

Pisz! —

(Rzecznicki siada i bierze pióro do ręki).

Milion z górą

Mego majątku, kiedy się spienięży —
 Zamienić w złoto, w jeden złać pierścioneł
 Spleciony kształtem saturnowych węży —
 Poświęcić — wyryć na nim: trup małżonek
 Swej narzeczonej — i pannie Dyannie
 Wtoczyć go. Jeśli nie weźmie — w staw rzucić!

RZECZNICKI (wstając).

Czyś ty oszalał?!

FANTAZY.

Ja tej młodej pannie
 Winienem wiele. — Gdybym mógł powrócić
 Z grobu, to życie zacząłbym inaczej,
 Prościej — i młody starałbym się o nią.
 Jutro — jak ona w trumnie mię zobaczy:
 To pewny jestem, że mnie siostry dłonią
 Uściśnie .. Ale ostatnia godzina
 Moja... innym się tu duchom należy.

RZECZNICKI.

Panie Fantazy! w imię Ojca, Syna...
Gdybym cię nie znał...

FANTAZY.

Dość! czas szybko bieży...
Do grobu śpieszno — a strach!... Nie idź za mną!
Bo gdybyś i szedł: to nie trafisz wcale;
Śmierć ma tebańską stolicę stubramną;
Jedne są bramy jak krwawe korale
Czerwone — inne są jak perły białe;
I białe, bez ran, duchy przez nie wchodzą.
Bądź zdrów!... Królestwo mego ducha całe
Niezbuntowane, ale z ciała już się płodzą
Robaki... i te w ustach słowa zimne
Są robakami...

RZECZNICKI.

Niech cię sto piorunów!!...

FANTAZY.

Ha! ha! ha! teraz pod laurami drzemnę
I Plutonowych dosiędę biegunów
We śnie... Rzymianin jestem...

(Wychodzi).

RZECZNICKI.

Co to znaczy?!

Na Boga! muszę widzieć się z Majorem
Twarz w twarz: on mi to wszystko wytłomaczy
I pod właściwym te rzeczy kolorem
Musi obaczyć ze mną, i traktować
Jak ze człowiekiem...

(Wchodzi IDALIA).

SCENA V.

RZECZNICKI — IDALIA.

IDALIA.

A cóż?

RZECZNICKI.

Niechaj pani

Leci! Fantazy coś zaczął waryować...

Wszyscy w tym domu jak powaryowani!

Ja także myślę po waryacku skończyć.

Do nóg upadam!...

(Wychodzi).

IDALIA.

Co mówił? — Fantazy

Waryuje? — Cóż to? — Ach, jak łatwo złączyć

Miłość z szaleństwem! Są to dwa wyrazy

Nierozłączone. — Waryacya więc wraca

Do tych różanych uczuć, owiniętych

Girlandą kwiatów i gwiazd, i z bogaca

Krainę duchów, moc pieśni natchniętych

Rzucając wiatrom... Ach! gdyby godzina

Tego żywota, gdy mię ciągle poił

Z serca, jak z czary! — Gdy nakształt murzyna

Otellowego — w sztylet się uzbroidł

I przyłożywszy mi do piersi — czekał,

Czy w oczach moich strach, czy uśmiech będzie?

A uśmiech z oczu moich nie uciekał,

Ale jak pająk, który z blasku przedzie

Swe pajęczyny złote na szafirze

Jakiego kwiatu: podobnie mi radość,

Że się przez jego śmierć do nieba zbliżę,

Opromieniała oczy. — O! jak bladość

Śmierci daleka była od tej bieli,

Którą on wtenczas zwał alabastrową!

O! jak mi dobrze było, na pościeli

Granitów rzymskich — z pochyłą głową
Nad nim, oddychać różami Cezarów
I widzieć, jak się w tym człowieku rodzi
Nowy ideał wieków, pełny czarów,
Który mu całą przyszłość rozpogodzi,
Jeśli nie skała się tem ludzi błotem
I nie zapragnie spić się moszczem wina.

SCENA VI.

HELENKA (wchodzi).

HELENKA.

Pani nie przyjmie więc hrabiny?

IDALIA.

Potem.

HELENKA.

Koniecznien panią chce widzieć hrabina,
Ze łzami prosi.

IDALIA.

Więc wpuść ją, Helenko;
A gdyby chciał tu wejść i pan Fantazy,
To... to mnie ostrzeż wprzód jaką piosenką,
Albo przed drzwiami kaszlnij kilka razy.
A teraz wpuść tę Walterskotkę...

HELENKA (wychodzi).

(Wchodzi HRABINA RESPEKTOWA).

HRABINA.

Droga!

Mojemi łzami złana — krew bym dała!
Bogdajby tutaj nigdy moja noga
Nigdy, ach! nigdy więcej nie powstała:
Jeśli ja winna co, że tobie, duszo
Anielska, taki sztylet!... Ja to czuję...

Wszystkie się zółci we mnie tem poruszają,
Bo ja kobieta, bo mnie także truje
Ten świat, przeciwko nam ciągle i wszędy
Na wspak idący... Ja tego Majora —
Gdyby nie mój mąż — tobym do komendy
W łańcuskach była odesłała wczora
Z mojego domu! — O! kraj nieszczęśliwy,
Gdzie moskal, widzisz, pijany robi burdy,
A my musimy cierpieć!... Jak Bóg żywy,
Polacy dawniej byli haraburdy,
Lecz teraz... są mniej, niż...

IDALIA.

Nie płacz, hrabino,

I nie utyskuj: moja reputacya
Jest taką dzisiaj odzłożoną cyną
I woskiem...

HRABINA.

Ja wiem, że ci aprobacya
Ludzi niczem jest; bo ty — w sobie złota,
W sobie zamknięta, jak brylant bez ceny —
Pogardzasz każdą garścią tego błota,
Którym świat... Lecz ten z nad Oki czy Leny
Major — prawdziwy jakiś barbarzyniec —
Wstyd mi, że w moim domu — wstyd mi wielki!
To ja zelźona! Wyjdę na gościniec
I siędę w karczmie, bo obywatelki
Dom stał się karczmą...

IDALIA.

Odmieńmy rozmowę,
Proszę... Powiedz mi, gdzie wyprawę szyto
Dla twej Dyanki?

HRABINA.

Ach! ja tracę głowę!
Ten maryaż!... Głowę mi, pani, nakryto
Jak kuropatwie... jam ani wiedziała,
Że pan Fantazy... nie jest sercem wolny.

IDALIA.

On wolny.

HRABINA.

I tyż to mówisz, Idalko?! —

On! co powinien był, a był niezdolny,
 Uznać, że tobie będąca rywalką
 Moja Dyana — bez pochlebstwa gadam —
 Gaśnie, jak świeca gaśnie w słońca blasku...
 O nie! Ja jemu teraz w oczy zadam
 Fałsz! — Nie myśl, proszę, że my go w zatrzasku
 Trzymamy, jako złowionego szczygła:
 On wolny —

IDALIA.

Wolny?... wszakże już kontrakta
 Pomiędzy wami —

HRABINA.

O nie! tyś prześcigła
 Za rzeczywistość. Czyżby jakieś akta
 Mogły poprzedzić czyn, gdzie miłość sama?...
 Ty to rozumiesz — maryaż jest osnuty
 Na sercu —

IDALIA.

O tak, na sercu.

SCENA VII.

(Wpada STELLA na scenę. HRABINA RESPEKTOWA — IDALIA).

STELLA.

Niech mama

Leci!...

HRABINA.

Co?!

STELLA.

Dyanka — —

HRABINA.

Co?...

(Wybiega ze STELKĄ).

IDALIA.

Maryaż popsuty

Sercem! — Zeszła się Dyanka z panem Janem —
Sztambuch przejrzała i zeszła się w sieni
Twarz w twarz z tym pięknym brązowym ułanem,
Co teraz nosi koszulę z pierścieni
I burkę — straszny na miłości scenie
Aktor...

(Wbiega HELENKA).

Helenko, cóż?

HELENKA.

Panna omdlała

I padła głową swoją na kamienie.
Gdy ją podjęto, z czoła krew się lała,
Zbladła jak kreda, a łkała jak dziecko.

IDALIA.

Ale nie mocno ranna?

HELENKA.

Nie! przytomna...

IDALIA (do siebie).

Czuję, że scena ta była zdradziecką;
Ten sztambuch — potem on — taka ogromna
Nagłość — i takie przejście...

(Głośno).

Daj mi burnus!

Lecz nie — ja się tam teraz nie pokażę
Tu będę, jak ten brązowy Saturnus,
Co nieruchomy siedzi na zegarze
I pod nogami swemi ma godziny
Obracające się...

SCENA VIII.

(Wchodzi LOKAJ i niesie karteczkę i sztylet).

LOKAJ.

Pani, ten bilet...

IDALIA.

Co widzę?! — Boże! Boże mój jedyny!

(Czyta).

Daj burnus!... Ha! ha! ten wenecki sztylet
Tu?! Jezus! Marya!

(Wybiega ze sztyletem, a bilet zostawia).

HELENKA.

Co to?

LOKAJ.

Pan Fantazy

Dał mi i kazał pani oddać w ręce.

(HELENKA bierze bilet i czyta go).

HELENKA.

Niezrozumiałe są dla mnie wyrazy!
Próżno ten papier w rękach gnę i kręcę.
Muszę biedz za nią.

LOKAJ.

Daj, niech ja przeczytam!
„Schadzka ostatnia dusz naszych na ziemi
Dziś o północy...”

HELENKA.

Pana Boga pytam,
Czy jest tutaj sens?

LOKAJ.

„Czarami złotemi
Ostatni toast dzisiaj — lub z tobą razem
Piję aniołom — albo też samotny...” —

Święty Józefie! za każdym wyrazem
Wykrzyknik, a list taki był wilgotny,
Że na nim moje palce znać wyraźnie
Wydrukowane. — Dyabli jacyś wodzą
Pióra tym panom: piszą niepokażnie
W gzygzaki.

(Czyta).

„Tam, gdzie na świecie się schodzą
Wszyscy i wiecznie zostają — gdzie Juliet
Obudziła się i zasnęła — czekam.“

HELENKA.

Muszę wziąć pani ten łabędzi duiet
I zanieść, bo to rosa. Psy powściekam,
Ażeby panią odstraszyć na zawsze
Od tych przechadzek nocnych po pustyni.
Bo to stworzenie dla ludzi łaskawsze,
Niż zwykle bywa taka monarchini
Zła, jak dyablica! — U państwa Rzecznickich
Nie można służyć dla zimna a głodu.
A gdzie jest też dom w rękach jezuickich,
To także trzeba płakać bez powodu
Co piątek, albo oczy trzeć cebulą,
Gdy człowiek idzie na mszę za hrabiną. —
A tu się ludzie w domu jakoś tulą
I...

(Wpada HRABIA RESPEKT — za nim MAJOR).

SCENA IX.

HR. RESPEKT.

Gdzie jest pani?

HELENKA.

Nie wiem.

HR. RESPEKT.

Nad dziewczyną

Moją śmierć wisi!... Proszę was, doktora!

(HELENKA i LOKAJ wychodzą).

Majorze! — z naszą ty, widzisz, krainą
Nie jesteś w tonie: jednego wieczora,
A tyleś mi tu napsuł! — Poco było
Tego człowieka przywozić?! — Ze dzieci
Poznawszy się tam, sentymentu siłą
Były porwane wśród śniegów, zamieci
I strasznych, białych sybirskich horrorów...
Że sobie tęczę usnuli z sympatyi:
To trzebaż było tu do naszych dworów
Z tej antologii czy tam chrestomatyi
Wyrwaną kartkę?!... Jednem słowem, mówię,
Żeś Major mi tu — może z serca — aleś
Ćwieków nasypał strasznych pod obuwie!
Ten Sybir — to to straszna jakaś zaleś
I kraj przeklęty!!

MAJOR.

Nu! Hrabia bogaty —
Tak puskaj, niechaj córka sercem bierze!

HR. RESPEKT.

Co mi tam gadasz? Dobryś do armaty,
Ale nie do serc! — Mówię tobie szczerze,
Że... niech cię wszyscy dyabli, mój Majorze!
Zięć mi się gotów ten zerwać z kontraktu!

MAJOR.

Który zięć?

HR. RESPEKT.

Wszak wiesz, że mam zięcia...

MAJOR.

Może?

HR. RESPEKT.

Jako? — przytomny podpisowi aktu

Ślubnego, wątpisz, że ja wkrótce będę
Kołysał wnuki?... Co? wątpisz?

MAJOR.

Jej Bogu,

Ja wątpię.

HR. RESPEKT.

Cha! cha! cha! zięcia pozbędę?...

A to jak?

MAJOR.

Nu! jak? — Tak karta na rogu
Kiedy zagięta przegra: tak prepały
Diengi. — Nu wot tak zięć panu hrabiemu
Może się ze mną grając, przegrał cały.

HR. RESPEKT.

Co to jest?! — jakto?! — poco?! — jak i czemu?!
Zięć mój z Majorem grał? i o co chodzi?

MAJOR.

Nu tak, o zięcia chodzi.

HR. RESPEKT.

Zgrał się w karty?!
Głową mi tylko kiwasz pan Dobrodziej;
Mów proszę... proszę, bądź ze mną otwarty!
Nie wiesz, ile w tem mego intersu,
I jaki kamień na mem sercu leży!

MAJOR.

Nu, tak weź hrabia tu z pugilareshu
Ten kontrakt: mój pysk do niego należy,
A do mnie jego łeb — wygrany w karty.
Nu! tak hrabiemu ja ten łeb daruję
A z pyska mego ręką honor zdarty
Znajdę u Boga!

(Oddaje mu papier).

Niech pan hrabia czuje,

Że ja nie człowiek zły; — głupstwem zaszkodził,
A swoim własnym honorem zapłacił.

HR. RESPEKT (przeczytawszy dany mu papier).

Piorun szaleństwa w tych ludzi ugodził —
Mózgi pomieszał. — Zięć mój głowę stracił!
Maryanno! zięć nasz truje się! Maryanno,
Zięć nasz zabija się!

(Wybiega).

MAJOR.

Wot i teatry!

(Wchodzi JAN).

SCENA X.

JAN i MAJOR.

JAN.

Majorze!

MAJOR.

A szto? obaczył się z panną?

JAN.

Jedźmy w sybirskie nasze mgły i wiatry!
Major mi będziesz ojcem — tak jak dawniej —
I przyjacielem. — Ten świat to zagadka!
Gdybyś ty widział, jak tam najzabawniej,
Najwścieklej na mnie wrzeszczała ta matka:
— Dzieckoś mi zabił! idź precz! nie stój blisko,
Podły!... bo śmierdzisz tu prostym żołdakiem,
Bo cuchniesz, cuchniesz tak, jak lokaisko!
Bo cię czuć wódką prostą i tombakiem
Spleśniałym! precz mi z oczu! — Tyle brudu,
Tyle znalazła przekleństw ta kobieta,
Że ja, com słyszał niegdyś wycie ludu
Wieszającego, ludu, co w jelita
Drgające ręce kładł...

Na takie krzyki
Córka omdlała podniosła powieki
I wzrok rzuciła na nią taki dziki,
A na mnie taki anielski, że wieki
Będę pamiętał, jakie są balsamy
W rozmiłowanych oczach u dziewczyny!

MAJOR.

Nu, my w Sybirze tobie dziewcząt damy
Piękniejszych...

JAN.

Jedźmy, jedźmy z tej krainy,
Która mi we snach była szczęścia rajem —
Matką! — a teraz jest taką macochą! —
Słuchaj: nazwała wygnańca lokajem
I w to bolesne me serce tak płócho
Wrzuciła ziarno gniewu...

MAJOR.

Tak duj babu!
A ja pomogę... Wot, wot! — polskie grafy!
A kazał ty już Kałmukowi drabu,
Żeby zaprzęgał?

JAN.

Już.

MAJOR.

Nu, tak waksztafy
Zakurim w трубkach, taj na pożegnanie
Temu szlachectwu dym!

JAN.

Jedźmy, Majorze!
Temu, kto wpadnie raz w nieszczęścia morze,
Trzeba iść na dno i dać falom głowę. —
Oczęta sine we łzach — bądźcie zdrowe!...

AKT PIĄTY.

SCENA I.

(Cmentarz — w głębi kaplica zamknięta. Miesięczna noc).

Wchodzą FANTAZY i IDALIA.

FANTAZY.

Oto są Idy marcowe Cezara
Śmiertelne — bo ty jesteś moją Idą.
Cóż? dottrzymałem słowa... Godzin para
Ostatnich — z tobą! Gwiazdy nasze przyjdą,
Miesiąc nasz złoty już jest i dotzymał
Słowa — na ucztę śmierci przyszedł pierwszy.
Świat mię był w takie łańcuchy poimał,
Że teraz pewnie mój sen będzie szerszy,
Gdy oddam ducha. Tony moje drżące
Były boleścią ducha ostateczną. —
Siądź tu. W twych oczach widzę dwa miesiące
Błękitne: — będziesz mi harmonią wieczną,
A oczy wiecznem źródłem światła będą;
Wypiję wszystkie złote z nich promienie.

IDALIA.

Ten cmentarz zawsze był namilszą grzędą
Mego ogrodu. — Patrz, jakie tam cienie
Czarne pod gęstwą lip! i gładów twarze
I na czarności krzyżów niewidzialnych
Głowice trupie...

FANTAZY.

Ja ci tam pokażę
Tęczowe duchy, twarze bóstw fatalnych,
Które mi zawsze w nocy były blisko
I to zrobiły, żem tak głupio — marnie
Życie me rzucił.

IDALIA.

Co tam za zjawisko?

FANTAZY.

Nic! to są we mgle chodzące latarnie;
Pewnie szukają nas.

IDALIA.

Daruj mi, Fanio,
Jeszcze raz spytam ciebie... spytam ciebie —
Bo wszakże życia nie można tak tanio
Oddawać ludziom! bo wszakże na niebie
My zapisani jesteśmy u Boga
I tu aż — przezeń tu przyprowadzeni. —
Słuchaj — zdejmuję mię tu jakaś trwoga —
Tyś drgnął: jesteśmy oboje ruszeni
Skrzydłami śmierci... Przyszłość ta bez kształtu
Okropność swoją ma. Słuchaj mię, panie:
Ja nie doznałam tu żadnego gwałtu,
I ta przyczyna śmierci, to porwanie —
Tak los uczynił, że obelga cała
Spadła na inną zupełnie osobę.
Jam więc jest winna — winna, żem skłamała;
Jam winna, żem tu całą jedną dobę
Chciała aktorką być i podług świata
Fałszem dopomódz sobie na tej ziemi...
Owszem — posłuchaj: ta śmierć, która lata
Jak nocny motyl, skrzydły kościanemi
Gruchocąc, marną jest — i nam urąga
Jak dzieciom głupim; — boś nie za mnie mścił się,
Ale za jakąś furę — dziwolągę —
Za Rzecznickiego, który podły krył się
Ze swą obelgą, ze swoją kuchcianą
Żoną, z łachmanem swoim przewietrzonym,
Który ja w domu dziś znalazłam rano
W wannie z rumianku, z fontaziem czerwonym
Na czepcu, z krzykiem i z twarzą koguta,
Na całym cichym dom krzyczącą: gwałtu!

FANTAZY.

Cha! cha! cha! — Gdyby sam Rzecznicki stał tu
I o truciznę prosił, to nie dałbym

Łezki opiatu! — Cha! cha! żyj, Brutusie!
 Cha! cha! cha! jeszcze raz z Rzecznickim chciałbym
 Zejść się na ziemi i w tym famulusie
 Mego Faustyzmu niewydrwioną stronę
 Wydrwić, ażeby drwin posągiem stanął
 Na moim grobie. Cha! cha! cha! Utonę
 We łzach serdecznych! — Cha! Kałmuk archanioł,
 Porywający z ręku Jezuitom
 Panią Rzecznicką — i w galop — i w galop!...
 Cha! cha! cha! śmiech mój gwiazdom i błękitom.
 Wiwat typ wszystkich dewotek i salop,
 Pani Rzecznicka, która była duchem,
 W pielgrzymce!! Dyabli! dyabli! cha! cha! cha! cha!

IDALIA.

Ten śmiech — —

FANTAZY.

Uderzył po głowie obuchem
 W posąg piękności — i w szarego stracha
 Zamienił tę śmierć, która przy nas stała
 Niby cudowna postać z alabastrów,
 W gwiazdach, w motylach i w miesiącach cała,
 Z kobiercem maków, dziewanny i astrów
 Pod cichą stopą. — Patrz, jakich komików
 Wydaje Polska: aż do grobu śmieszą!
 O! o koncercie śmiechu i słowików,
 Graj!... Otoczona dziwolągów rzeszą,
 Straszliwa, w czepcu — nowa Dejanira
 Poprzedza orszak nasz, dwie nasze trumny,
 I krzyczy: za mnie ginie syn Zefira
 Z córką Aurory!!

IDALIA.

O! szal nierozumny!...

FANTAZY.

Co? wybijam cię ze snu? — Masz! w tej lasce,
 W tej złotej gałce jest snu na lat tysiąc...

IDALIA.

Więc to trucizna?

FANTAZY.

Tak! w cukrowej masce
Zamaskowana złość! możnaby przysiądz,
Że rzecz uczciwa.

IDALIA.

I niema ratunku?

FANTAZY.

Jest!...

IDALIA.

A więc użyj go, żyj dla Ojczyzny!!

FANTAZY.

Na to — o! na to trzebaby trafunku
Wielkiego...

IDALIA.

Aby?...

FANTAZY.

Aby na siwizny
Majora głowy, która jak Eolid
Harfa pod moim policzkiem odjęła,
Spadł albo piorun albo aerolit
Przed... przed kwadransem!

IDALIA.

Jakto?

FANTAZY.

Aby pękła

Harfa, na której ja honoru strunę
Urwałem... Kontrakt — widzisz — jest wyraźny,
Że północ jedną dziś zapełni trunę —
Na stemplowanym papierze; do każdy
Weszło pół rubla za ten papier, który
Poważnym kiedyś będzie dokumentem...
Daj łaskę!

IDALIA.

Wieszczu! do góry! do góry!
Śmierć jest okropnym, słuchaj, sakramentem.
Nie jedz trucizny z taką twarzą.

FANTAZY.

Co to?

IDALIA.

Po szatańsku się twarz tobie skrzywiła.

FANTAZY.

Nie prawda... śmierć jest tą kolumną złotą
Powietrza. — O! w tem powietrzu jest siła!...
O! to powietrze i ciepłe i wonne,
O! to ramiony memi ogarnięte,
Ma w sobie duchy piękne i niezgonne,
Jak ja, wyrwane z ciała, dawno poczęte,
Pełne miłości jak ja, niewidziane,
A kształtem swoim świat rozpierające.
Czekaj, przy tobie tak za chwilę stanę
Powietrzem...

IDALIA.

Widzisz me piersi dyszące?!...
O! znajdź, znajdź jakie słowo większej mocy,
Aby mnie w ciemnej śmierci rozmiłować!

FANTAZY.

Patrz — ta kaplica z krzyżem złotym, w nocy
Stojąca jak duch, zacznie tu panować
Ducha naszego siłą... i z kamieni
Miłością świata łać sakramentalnie!
Jutro ten kościół tak się w nas wpromieni,
Jak w smętne światło, i będzie fatalnie
Działał na smutne duchy, serca młode —
Chodź! do kaplicy cię tej ciemnej wiodę.
Astarte!... o ty, bez lauru na skroni
Nieznanego tu ducha Beatricze,
Którą porwałem i aniołom niosę,
Chodź, chodź! i w Madonn się wpatruj oblicze

I w zachwyceniu świętem daj pod kosę
Miesięczną śmierci cichej twoją głowę!
Co mówię? — na niej stań, jak na miesiącu,
A on skrzydlaty z nami w światy nowe
Uleci — i w słońc ognistych gorącu
Postawi czoła nasze na granicy
Ostatniej, kędy ludzki duch dolata...
Chodź! chodź! chodź do tej, o siostró, kaplicy!
Chodź ze mną! stamtąd nie wyjdiesz bez brata,
Ani bez siostry ja — chociaż oboje
Bez ciał wyjdziemy...

IDALIA.

Duchu! w ręce twoje,
W twe usta ducha mego! —

FANTAZY.

Z błyskawicy
Twe usta, duchu mój!

IDALIA.

Chodź do kaplicy,
Niech świat za nami pędzi!

(Słychać blizki strzał).

FANTAZY.

Stój! co słyszę?
Strzelono...

IDALIA.

Słuchaj! jęk —

GŁOS MAJORA.

Pomiłuj Boże!

FANTAZY.

Co to jest? kto śmie tę miesięczną ciszę...

GŁOS RZECZNICKIEGO.

Ratunku!

IDALIA.

Nie idź!

GŁOS RZECZNICKIEGO.

Ohe!

FANTAZY.

Na ugorze —

Blizko cmentarza...

GŁOS RZECZNICKIEGO.

Kto tu w Boga wierzy,

Niech mi pomoże! — ho!...

FANTAZY.

Rzeczniczy krzyczy.

GŁOS HR. RESPEKTA (za sceną).

Strzelono!... niechaj kto na cmentarz bieży!
Stamtąd strzał —

FANTAZY.

Hrabia! — Zegarek mi liczy

Pięć minut życia... Miałyżby te chwile
Z gadułą starcem tym przeminać marnie?

SCENA II.

(Wpada HRABIA RESPEKT i służba z pochodniami — rozwidnia się głąb sceny).

HR. RESPEKT.

Tu był strzał — tu są!... tu! tu! na mogile
Widzę białego coś... tu! tu latarnie!
Tu pan Fantazy jest z panią hrabiną.
Tu! tu! — oboje żywi Bogu chwała!
Co robisz? dziecko, stój... Młodzieńce giną,
Idąc na wały, reduty i działa,
A nie tak, jak ty! —

(Daje mu skrypt Majora).

Struj się tym papierem
I tajemnicę połknij — i żyj z nami!

(Spostrzega Majora leżącego we krwi).

Cóż to znów?...

RZECZNICKI.

Niechaj kto pójdzie z giwerem

Po wodę!...

MAJOR.

Nu, ja trup... pod chorągwiami
Boharodycy... jak człowiek honoru
Dał satysfakcyą... i za honor ginę...

(Do Fantazego).

Nu, tak nie będzie teraz z nami sporu
O trumnę, panie hrabio... Na godzinę
Dwunastą ja się zamelduję Bogu,
A ty zmów za mnie pacierz — ściśnij ruku,
Praszczaj! — ha, szkoda, że ja się nie mogu
Tłumaczyć jaśniej. — Ja twojego stuku
Po twarzy nie czuł już... Czuł? — to zapomniał:
A nie zapomniał — to odpustył z duszy.

IDALIA.

Ach! jak ten człowiek cudownie zогromniał
W śmierci godzinie — prosty...

MAJOR (do Idalii).

Łzami prószy
Duszceczka moja... daj ruku!... nie płacz ty!
Ja stary człowiek — czas do grobu dawno...

FANTAZY.

Sprowadzić powóz!...

MAJOR.

Nu! nu! nu! a zacz ty
Do Chrysta myślisz wozom?... Sławno! sławno!
Wot i żart!... trupa sadzą do karety.

(Do Respekta).

Hrabio! na ucho proszę coś...

HR. RESPEKT (po chwili rozmowy).

Rzecznicki,

Sprowadź tu, sprowadź tu moje kobiety.
Pan Major, jako człowiek katolicki — —

MAJOR.

Grecki!...

HR. RESPEKT.

Chce z moją widzieć się rodziną
I niektóre swej myśli testamenta
Objawić...

MAJOR.

Nu tak! Niech matka z dziewczyną
Przyjdzie i niechaj to sobie pamięta,
Że ja, człek prosty — na śmiertelnym progu
Tak będę prosić o śmiertelną łaskę...

(Rzecznicki odchodzi).

SCENA III.

(Wpada JAN i KAŁMUK).

JAN.

Gdzie Major?

HR. RESPEKT.

Tutaj na grobie —

MAJOR.

Przy Bogu.

JAN.

Co to jest?! Pustą znalazłem kolaskę
W karczmie. — Wyprawił mnie Major z posyłką.
Sam wyprawiony przodem, byłbym gonił
Aż do Tobolska, gdyby nie przecucie
I strach... Co to jest?... Głowę tak pokłonił,
Jak... jak... jak...

MAJOR.

Ruku daj...

FANTAZY (do Idalii).

Nasze otrucie
Było błazeństwem! Patrz, patrz! jak bez jęku
Przez ręce, oni gadają do siebie...
Patrz, patrz: dziesięć lat sybirskich w tych rękach
Ściśniętych jak wosk...

SCENA IV.

(Wpada HRABINA z córkami — RZECZNICKI zdala za niemi).

HRABINA.

O Święci na Niebie!

Co to jest?

HR. RESPEKT.

Cicho! okropny wypadek:
W pojedynku nasz Major zastrzelony!

HRABINA.

Patrzaj, list!

HR. RESPEKT.

Co to jest?

HRABINA.

Umarł nasz dziadek...

HR. RESPEKT.

Co?!

HRABINA.

Dzisiaj w nocy.

HR. RESPEKT.

Ha!

RZECZNICKI.

Jesteś czerwony,

Jak upior!

HR. RESPEKT.

Krew mi uderzyła w głowę
Jakby siekierą.

HRABINA.

Pokryj to wrażenie!

HR. RESPEKT.

To jest odmiana wielka!... i domowe
Rzeczy — —

HRABINA.

Schowajże, mówię, list w kieszenie
I nie pokazuj twarzy, bo ci z oczu
Ta śmierć wygląda i pójdzie pod wnioski.

HR. RESPEKT.

Czy wiedzą dzieci?

HRABINA.

Nie. —

(Głośno).

Może go w kocz

Można położyć?...
Można położyć?...
Można położyć?...
Można położyć...

FANTAZY.

Cyt! Ten sen przedboski,
Który mu igra uśmiechem na twarzy,
Gdy anioł śmierci siwym włosem rusza,
Szanuj! On teraz o czymś takim marzy,
Że pewnie, pewnie cała jego dusza
Jest jako słońce. — Cyt! oczy otwiera.
Majorze! oto jest z dziećmi hrabina...

MAJOR.

Dajcie mi wody potiahnut' z giwera!

(Pije).

Nu tak — jeszcze świat... W imię Ojca, Syna
I Ducha!... Proszę hrabiny tu bliżej
I dzieci proszę tu — koło mogiły...
Nie mógł ja ludzi kochać ani szczerzej,
Ani otwarciej, jak was. Syn Hawryły
Włodemar Major, wasz dawny znajomy,
Serdecznie wasze serca umiłował.

Ot i odwiedził wasze dobre domy
Przyjaciół — i tu u was zanocewał
Aż do prysudnych dni. — Kałmuk! szkatuła! —

(KAŁMUK odchodzi).

Słuchaj hrabina. Ja czerkieski plennik,
Porwany kiedyś dzieciątkiem z auli,
Taj zmoskalony — Grek, łotr i moszennik
(Odpusti mnie Boh)! Byłby i generał
Już, tak jak drudzy, by nie Murawiewy,
Z którymi ja był — człowiek i liberał,
Dopóki żyli... Dziś pod temi drzewy
Ranny, ot wspomniał ja ich sobie czule,
Na własną patrząc krew. Ach! pod senatem
Gdyby ja był miał w sercu tutaj kulę,
Byłoby lepiej — uff! ze mną i z światem...
Uff! Apostołów! uff! uff! Apostolczyk...

HRABINA.

Majorze!...

FANTAZY.

Cicho, pani!...

MAJOR.

Ot ten koleczyk
Od Apostoła ja miał starej matki,
Której kawałek przyniósł wtenczas drzewa
Od szubienicy, uff! uff! uff! staruszka — —
Nu, tak ja potem przez Arakczejewa
Wyrobił sobie, że był bez łańcuszka
Posłan w sybirskie komendy w degradzie,
W upokorzeniu... Jak wy mnie poznali,
To ja w domeczku tam małym i w sadzie
Cały dzień trubku kurzył, a wy stali
Patrząc na smutek mój, że ja milczący
Nie odpowiadał wam, gdzie serce boli. —
Wot liberalność tu, jak żar gorący —
Wot czarny smutek był, wot mej niedoli
Była przyczyna! — Tak gdy panna śpiewa

Piosenki smutne, to ja stojąc w kącie
 Wspomniał, bywało, sobie Bestużewa,
 Taj potem wspomniał, że ja stał przy lonce
 I nie wypalił... Taka boleść była
 Na sercu mojem węzem i kamieniem!
 Kiedyście znali wy już mnie Hawryła,
 Ja tam przed wami stał z upokorzeniem
 I z trwogą, że wy mną biednym gardzicie
 Jak starym, siwym, durnym liberałem,
 Który miał w ręku armatę i życie
 Carskie — i trzymał ogień nad zapalem,
 Taj zadrzał, widząc w gwieździstym szeregu
 Cara i główny sztab w tęczowych lentach,
 Taj lont syczący przyłożył do śniegu,
 Uczuł strach w sercu i w głowie i w piętach,
 Taj paszoł w durnie — —

IDALIA.

Na Boga, Majorze!

Krew ci się rzuca z rany — mów spokojnie!

MAJOR.

Nu, tak to wszystko wielkie sądy Boże!
 Bo ja był kiedyś na tureckiej wojnie,
 Z Persami się bił, w kwarantanach służył,
 I śmierci palcem dotykał — nie blady!
 Nu, a przed carem wtenczas jednym stchórzył
 I tak jak dziecko darmo oddał szpadę,
 Gdy po nią przyszli —

(KAŁMUK wraca na scenę ze szkatułą).

HR. RESPEKT.

Cóż to? chory gada?

Zabronić jemu... cóż? zabronić mowy!

MAJOR.

Nu, niech pan hrabia tu poważnie siada
 I słucha, bo ja człowiek już grobowy

Mówię ostatkiem duszy. — Na Sybirze
Ja miał jednego sercem przyjaciela.
Tak my z nim często chodzili pod krzyże,
Na których imię Rumina, Pestela
I drugich — z tyłu jednego kościoła
Postawili my — na cichą pamiątkę...
Tak tam mojego pamięć Apostoła,
Którego kochał ja i lat dziesiątkę
Bez niego musiał żyć!... i byłby skonał,
Gdyby żył dziesięć lat bez przyjaciela!
Nu, on zmocował mnie, sercem pokonał!
Apostoła ja stracił, a Chrzcziciela
Dostał, któryj mnie ochrestił łzami...
Tak cóż ja jemu dam, jak mnie nie stanie?...

(Do Dyany).

Diewoczka, siuda! nu tak ty, z różami
Na ustach, stań tu ot przy tym ułanie
I tu rodzicom pokińcieś oboje,
A ja, ja z wami trzeci. — Kałmuk, siuda!

(Wstając).

Nu ot ja, chociaż ranny, ot ja stoję
I wam do kolan ot...

(Kłęk).

Na Boskie cuda!

Nie odmawiajcie!... przez krew moją proszę,
Nie odmawiajcie!

HR. RESPEKT.

Lecz tu związki rodu — —

MAJOR.

Słuchaj! — Ja zebrał wielkie, wielkie grosze,
A sam żył z gaży, z mojego ogrodu,
Z domu... Nu — niegdyś w kwarantanach, srogi
Dla kupców, nu tak przyjął podwieczorek
I okręt sobie przepuścił przez nogi
Z żaglami, z masztem, a chwycił za worek,
Jak za kotwicę... Nu tak i basetla

I skrzypce na to wesele u żyda
Leżą w Hamburgu. — Graf! wot bankocetla —

(Do Kalmuka).

Stupaj, stupaj procz! Niech Graf córkę wyda!
My milionery... pfu!!...

HR. RESPEKT.

Panie Majorze!

Tu pieniądz, chociaż w dosyć znacznej sumie,
Jest niczem — —

MAJOR.

Nu ja znaju.

HRABINA.

Ach mój Boże!

Pan Major może myśli i rozumie — —

MAJOR.

Nu ja nie myślę nic...

HR. RESPEKT.

Bo nasze słowo

Ma pan Fantazy —

MAJOR.

Nu tak! pan Fantazy —

Ja przed nim pójde moją siwą głową
W proch...

FANTAZY.

Stój na Boga! — W proch?... Twoje rozkazy
Są jak aniołów.

(Do Dyany).

Ręka ta szlachetna

Nie była jeszcze moją — dotąd wolna!

Oczarowałaś mię, jak gwiazda świetna.

Sądzę, że pani będziesz sercem zdolna

Ocenić powód, dla którego muszę

Tę rękę z mych rąk wypuścić na zawsze! —

(Do Idalii).

Brat twój, hrabino — dziś do Rzymu ruszę
I sędzę, że twe serce, najłaskawsze
Z serc, po królewsku obejdziesz się ze mną,
Mniej biorąc, niż dać mogę.

IDALIA.

Chcę szacunku.

FANTAZY.

Pani! przez tę śmierć, tak krwawą i ciemną,
Jestem człowiekiem ochrzcon!... Pocałunku
W serce ten człowiek wart... Żegnaj, Majorze!
Przyślę doktora mego... miej nadzieję!

MAJOR.

Nu tak już teraz pan hrabia nie może
Odmówić córki. Krew ze mnie się leje —
Ot, z boku mego krew strumieniem leci
I prosi — prosi łaski, zmiłowania!

HR. RESPEKT.

Majorze! — no to weź sobie te dzieci...

MAJOR.

Ha! ot i z Janem moim moja Dania
Na wicki! — Więcej nie mogę!... W pigułce
Tej pistoletnej sto ognistych mieczy...
Dania — Jan — Dania — poszukaj w szkatułce...
Mnie się do niebios już...

(Umiera).

PRZYPISY I OBJAŚNIENIA.

HORSZTYŃSKI.

Str. 18. Szymon Kossakowski, hetman wielki litewski, ur. r. 1742, zwolennik Konfederacyi Barskiej, później Targowiczanin. R. 1794 w Wilnie powieszony. Zachodzi w X. Marku.

Str. 19. Arlekin osoba z karnawału włoskiego, treniś — błazen.

Str. 20. Hodowla tulipanów kwitnie w Holandyi.

Str. 21. Ks. Józef Kossakowski, Biskup inflancki, ur. 1738, Targowiczanin, powieszony w Warszawie r. 1794.

Str. 23. Kasia, cesarzowa Katarzyna II.

Str. 25. Medyolan, miasto włoskie, w którem panowała rodzina Sforzów (czyt. Sforców).

Str. 26. Drewicz, generał rosyjski z czasów Konfederacyi Barskiej.

Str. 28. Pamfil — dama atutowa, niżnik — walet.

Str. 28. Renety, bery — gatunki jabłek.

Str. 29. Pamiętniki Janczara według opowiadań Serba Michała Konstantynowicza ogłoszone w Warszawie r. 1828.

Str. 29. Spróchniałe drzewo — Polska w r. 1794.

Str. 31. Kara, carré, czworobok z żołnierzy.

Str. 32. Córką Grzegorza jest Maryna.

Str. 32. Wilia — dopływ Niemna.

Str. 33. Bielany pod Warszawą.

Str. 34. Faeton — rodzaj powozu.

Str. 36. Z „Myszeidy“ wiersze.

Str. 37. Belles-de-nuit (piękności nocy) — jałapa.

Str. 39. Ławka — rodzaj wozu.

Str. 39. Jaszczyk — skrzynia do amunicyi.

Str. 39. Legia — oddział wojska.

Str. 39. Mustra — ćwiczenie żołnierzy.

Str. 40. Bracia morawscy — sekta protestancka, wygnana z ojczyzny.

Str. 41. Estymologicznie zamiast etymologicznie — ze względu na pochodzenie.

Str. 41. Estymuję — szanuję.

Str. 43. Eldorado — bajeczny kraj złotodajny w Ameryce, wogóle miejsce szczęśliwe.

Str. 44. Rendez-vous, spotkanie.

Str. 45. Nereida — bogini wodna.

Str. 46. Ptaszynka — fuzya na ptaszki.

Str. 47. Północ — Rosya.

Str. 50. Otrętwić, właściwie odrętwić.

Str. 51. Zatradować, zabrać na mocy wyroku sądowego.

Str. 51. Oblig — weksel.

Str. 51. Jurysta — prawnik.

Str. 53. Miejsce o Grzegorz w sprzeczności z str. 32.

Str. 59. Demostenes, mówca grecki.

Str. 59. Konstytuować — stanowić.

Str. 60. Jeanne d'Arc — wypędziła Anglików z Francyi, dowodząc wojskiem.

Str. 61. Szlachcianki kałuży — pijawki.

Str. 62. Intendent — zarządca majątku.

Str. 62. Figura — osoba.

Str. 64. X służy do oznaczenia liczby niewiadomej.

Str. 64. Synonimy — wyrazy o tem samem znaczeniu.

Str. 65. Jasiński przywódca powstańców wileńskich r. 1794.

Str. 65. Ponary, góry pod Wilnem.

Str. 68. Lektura — czytanie.

Str. 69. Z Fedrosem, nie z Fedonem u Platona.

Str. 70. Platan, drzewo południowe.

Str. 70. Metafizyka, nauka o rzeczach znajdujących się poza doświadczeniem.

Str. 74. Król Jan czeski tak zginął r. 1346. Jan bez ziemi król angielski.

Str. 75. Margeritka — stokroć.

Str. 79. Heban — rzadki gatunek drzewa.

Str. 79. Sandał, także rzadki gatunek drzewa.

Str. 84. Kindzał — sztylet.

Str. 97. Duby — głupstwa.

Str. 98. Nuncyusz, poseł papieski, tutaj poseł wogóle.

Str. 101. Primo, secundo itd. po pierwsze, po drugie itd.

Str. 102. Quaestiones quae pendent — pytania postawione.

Str. 106. Skryptura — pisanie.

Str. 109. Józef Sosnowski, wojewoda smoleński, odmówił Kościuszcze córki Ludwiki.

Str. 109. Kromwell, wódz republikanów angielskich.

Str. 113. Dyogenes, filozof grecki.

Str. 114. Gładyatorzy — niewolnicy rzymscy mordujący się wzajem na uciechę widzów.

Str. 116. Maryonetki — figurki poruszane zapomocą drutów.

Str. 118. Sosnowy próg — trumna.

Str. 123. Bonifratrzy — zakonnicy.

Str. 123. Kałamaszka — wózek.

Str. 128. Barabańszczyk, bijący w baraban, rodzaj bębna.

Dokończenia dramatu nie posiadamy. Z różnych prób dorobienia końca żadna nie zadowala.

BEATRYX CENCI.

- Str. 138. Syrena — bogini wabiąca śpiewem ludzi.
 Str. 138. Strega — upiór żeński.
 Str. 139. Ave — Witaj, początek Zdrowaś Maryo po łacinie.
 Str. 142. Petrela — miasteczko rzymskie.
 Str. 142. Kolonna, możny ród rzymski współzawodniczący z rodem Orsinich.
 Str. 142. Kampania — płaszczyna pod Rzymem.
 Str. 147. Ilekate, bogini piekieł.
 Str. 147. Blekot, roślina, z której przyrządza się napój odurzający.
 Str. 155. Filtrum — napój miłosny.
 Str. 163. Signora — pani.
 Str. 165. Androgines, bajeczna istota u Platona pół mężczyzna, pół kobieta.
 Str. 168. Fenomen — zjawisko.
 Str. 169. Montorio — dzielnica w Rzymie.
 Str. 170. Koncha, muszla.
 Str. 173. Delator, donosiciel.
 Str. 175. Paternum amorem — ojcowską miłość.
 Str. 179. Kianti, wino włoskie.
 Str. 181. Justycya — sprawiedliwość.
 Str. 186. Barygiel — dozorca więzienny.
 Str. 187. Papież — Klemens VIII, 1592—1605.
 Str. 187. Interrogacya — pytania na śledztwie.
 Str. 187. Ad confusionem — co do pomylenia się w zeznaniach.
 Str. 187. Etyopi — mieszkańcy kraju afrykańskiego.
 Str. 188. Eskulapi, bóg medycyny, lekarz.
 Str. 188. Circa Waćpana — co do Waćpana.
 Str. 188. Minimum — co najmniejsza.
 Str. 189. Eschyl, poeta grecki.
 Str. 190. Kalumniator perit — oszczerca zginął.
 Str. 190. Temida, bogini sprawiedliwości.

- Str. 190. Jowisz, król bogów.
 Str. 206. Kurya, sala posiedzeń.
 Str. 207. Kustode, odźwierny.
 Str. 207. Avocato — adwokat.
 Str. 210. Niedźwiedź, herb Orsinich.
 Str. 211. Akuzator — oskarżyciel.
 Str. 219. Maestro, mistrz, artysta.
 Str. 227. Trasteverina, mieszkanka Transtevera, dzielnicy rzymskiej.
 Str. 227. Juno, bogini.
 Str. 227. Eheu — ach!
 Str. 227. Atalante, łowczyni mitologiczna. Hesperyd strzegły cudownych jabłek.
 Str. 228. Efemerida, istota z dnia jednego.
 Str. 228. Per Bacco, przez Baccha, bożka rzymskiego.
 Str. 228. Quatro — cztery.
 Str. 228. Secretario, sekretarz.
 Str. 228. Parricida — ojcobójca, wyraz łaciński.
 Str. 228. Apelcyna — pomarańcza.
 Str. 229. Santo Padre — Ojciec święty.
 Str. 229. Un bajocco — jednego bajoka, pieniądz.
 Str. 230. Gracya, łaska.

FANTAZY. (NIEPOPRAWNI).

- Str. 239. Hamadryady, Laokonty, Psylle z mitologii greckiej.
 Str. 239. Dryady, Amazonki, tak samo.
 Str. 240. Kapitol, wzgórze w Rzymie.
 Str. 240. Byron (bajren) poeta angielski, przedstawiający rzeczy okropne, stąd byroński.
 Str. 242. Cyrk — Kolosseum, gdzie odbywały się igrzyska pogańskie, a potem krzyż postawiono.
 Str. 243. Anton, po rusińsku.
 Str. 243. Tasso, poeta włoski.

- Str. 243. Padura, poeta rusiński.
- Str. 243. Berdyczów, miasto na Ukrainie.
- Str. 245. Kibitka, pojazd; Baszkiry, szczep tatarski, żołnierze rosyjscy.
- Str. 245. Feldjegier, oficer wywożący więźniów na Sybir.
- Str. 246. Siurpryza (surprise), niespodzianka.
- Str. 246. Tobolsk, miasto sybirskie.
- Str. 247. Eol, bóg wiatru.
- Str. 247. Kaznaczej, urzędnik skarbowy.
- Str. 248. Kokosznik, rodzaj czepca.
- Str. 248. Kwas, napój rosyjski.
- Str. 249. Delfy, miasto sławne z dwuznacznego wyroczni, stąd delficki.
- Str. 250. Adonis, piękny młodzieniec.
- Str. 250. Knido, miasto greckie.
- Str. 250. Źródło Kastalia w Grecyi.
- Str. 250. Sancho Pansa, sługa Don Kichota.
- Str. 250. O salamandrze podanie, że żyje w ogniu.
- Str. 250. Kasandra, wróżka nieszczęścia.
- Str. 251. Andron — pretensjonalne głupstwo.
- Str. 252. Bałagała, woźnica.
- Str. 253. W Rosyi kupcy dzielą się na gildy czyli klasy.
- Str. 253. Cottin, powieściopisarka francuska.
- Str. 253. Anegdota, wesoła powiastka.
- Str. 256. Greki, obrządku greckiego.
- Str. 256. Rusałka, bogini wodna.
- Str. 259. Grotesque, dziwaczna.
- Str. 259. Amulet, rzecz chroniąca od nieszczęścia.
- Str. 261. Szambelan — Franciszek Skibicki 1797 do 1877.
- Str. 262. Filharmonik, lubownik muzyki.
- Str. 262. Egerya, nimfa rzymska; ponik — strumyk.
- Str. 262. Rulada, rodzaj śpiewu.
- Str. 262. Pitagor, mędrzec grecki.

- Str. 262. Karlisbad — Karlowe Wary (Karlsbad).
Str. 262. Stalaktyk, ociek, naciek.
Str. 262. Stael, autorka francuska.
Str. 263. Beczka Danaid — bez dna.
Str. 264. Haro — stój.
Str. 264. Narkotyczny — upajający.
Str. 264. Feb, przydomek bożka Apollona.
Str. 264. Burnus, płaszcz arabski.
Str. 264. Amiant, roślina, z której wyrabia się włókno niepodlegające przepalaniu.
Str. 264. Krater, otwór wulkanu.
Str. 265. Pluton, bożek piekieł.
Str. 265. Maryaż, zameście.
Str. 266. Amfitryta, bogini grecka.
Str. 267. Madonna (moja pani) Matka Boska.
Str. 267. Rafael Sanzio malował sławne Madonny.
Str. 267. Monstrum, potwór.
Str. 267. Kochanek Dyany — Endymion.
Str. 267. Kazna, skarb.
Str. 268. Xerez (cz. Cheres) wino hiszpańskie.
Str. 270. Lubiezna — miła, po rosyjsku.
Str. 271. Hummel, kompozytor niemiecki.
Str. 272. Gruba — dół.
Str. 272. Fireynela — lekkomyślna.
Str. 275. Idiot — idzie.
Str. 275. Kamena — muza.
Str. 276. Ariosto, poeta włoski.
Str. 276. Szto't — co to, Chan — wódz.
Str. 277. Za podorożnym — w podróż.
Str. 277. Palestra — izba prawnicza.
Str. 278. Horror — okropność.
Str. 279. Rybitwa, ptak łowiący ryby.
Str. 280. Tanny — tani.
Str. 280. Veto, zabraniam, nie pozwalam.
Str. 281. Ponimaju (cz. panimaju), pojmuję.
Str. 284. Kucya, potrawa wigilijna, wigilia Bożego Narodzenia.

- Str. 284. Restytucya, zwrot.
 Str. 285. Patria, ojczyzna.
 Str. 287. Harap — bat.
 Str. 287. Manfred, osoba z dramatu Byrona.
 Str. 287. Temistokles, wódz grecki.
 Str. 288. Dysertacya, rozprawa.
 Str. 288. Elewacya, wzniesienie.
 Str. 289. Syn Latony, Apollon, bóg słońca.
 Str. 289. Klamor, wrzask.
 Str. 289. Sajdak, kołczan, torba na strzały.
 Str. 290. Teleskop — szkła, przez które widać daleko.
 Str. 290. Monumenta, pomnik.
 Str. 290. Memento, wspomnienie.
 Str. 290. Lazuri-lapis, kamień błękitny.
 Str. 290. Schabia, żebro.
 Str. 291. Kwesta, prośba żebraka.
 Str. 293. Westalka, kapłanka Westy, bogini ogniska.
 Str. 294. Fatum, przeznaczenie.
 Str. 295. Dyżurya (du jour), służba każdodzienna.
 Str. 295. Kałmuk, plemię tatarskie, żołnierz rosyjski.
 Str. 295. Franmason, mason, wolnomularz.
 Str. 296. Rapt, porwanie.
 Str. 298. Intercyza, umowa ślubna.
 Str. 298. Pelejada, gwiazda.
 Str. 298. Parol, słowo.
 Str. 299. Szecherazada opowiada historye znane pod nazwą „Tysiąca i jednej nocy.“
 Str. 300. Albani, malarz włoski.
 Str. 300. Kupido, bożek miłości (Eros).
 Str. 301. Sfinks, potwór stawiający zagadki.
 Str. 301. Dejanirę, żonę Herkulesa, Centaur Nessus porwał przenosząc przez rzekę. Zabity przez Herkulesa mszcząc się polecił Dejanirze, aby krwią jego namazała koszulę dla męża jakoby zapewniającą wie-

czną miłość. W rzeczywistości przyprawiła o śmierć Herkulesa.

Str. 303. Luciola, robaczek świętojański.

Str. 305. Korydon, nazwa pasterza zakochanego.

Str. 307. Afront, obelga.

Str. 308. Terlica, część siodła.

Str. 311. Aura, pogoda.

Str. 313. Sensat, człowiek śmiesznie poważny.

Str. 315. Perypecya, zwrot w dramacie.

Str. 316. Wena, żyła, żyła poetycka.

Str. 317. Powielić, przykazać.

Str. 318. Numidzi, naród afrykański, sławny strzelaniem z łuku.

Str. 318. Verte-caput, zwróć głowę, tyle co salto mortale — skok na głowę.

Str. 318. Orlando, szalony rycerz z poematu Ariosta.

Str. 321. Teby miasto egipskie o stu bramach.

Str. 322. Otello, murzyn z tragedyi Shakespearea.

Str. 323. Moszcz wina, świeże wino.

Str. 323. Walterskotka, zwolenniczka pisarza angielskiego, Walter Scotta (czyt. Łolter-Skota).

Str. 324. Haraburda, robiący burdy.

Str. 324. Reputacya, opinia.

Str. 324. Aprobacya, zgoda.

Str. 324. Lena, rzeka sybirska, Oka dopływ Wołgi.

Str. 326. Sztambuch, album pamiątkowy.

Str. 326. Saturnus, bóg czasu.

Str. 328. Juliet (czyt. Dżuliet) z tragedyi Shakespearea, Romeo i Julia (Romeo and Juliet).

Str. 328. Duliet (douliette), kaftanik.

Str. 329. Antologia, chrestomatya — wybór dzieł, osobliwie wierszy.

Str. 329. Puskaj, pość, pozwól.

Str. 330. Prepały, przepadły.

Str. 331. Tombak, tania mieszanina kruszców.

Str. 332. Wąsosztafy zakurym w трубkach — Tytuń zapaliny w fajkach.

Str. 333. Idy marcowe Cezara, dzień w którym zamordowano Cezara.

Str. 334. Fontaż, kutas fantastyczny.

Str. 335. Opiat — leki zawierające truciznę.

Str. 335. Brutus, Rzymianin, który chciał się zabić.

Str. 335. Famulus — sługa.

Str. 335. Faustyzm, od Fausta, dramatu Goethego.

Str. 335. Zefir, wiatr zachodni.

Str. 335. Aurora, jutrzeńka.

Str. 336. Eolidy, córki Eola, boga wiatru.

Str. 336. Aeorolit, gwiazda spadająca.

Str. 337. Astarte, bogini miłości.

Str. 337. Beatrycze, kochanka Danta.

Str. 339. Reduta, fortyfikacja.

Str. 340. Giwer, karabin.

Str. 340. Ruku — rękę.

Str. 343. Potiahnut', pociągnąć.

Str. 344. Prysudnych, przysądzonych.

Str. 344. Czerkieski plennik, z rodu Czerkiesów ludu Kaukaskiego.

Str. 344. Auł, wieś czerkieska.

Str. 344. Moszennik, oszust.

Str. 344. Murawiew Apostoł, przywódca rewolucjonistów (diekabrystów) z r. 1825.

Str. 344. Arakcejew, minister wojny.

Str. 344. Degrada, pozbawienie godności.

Str. 345. Bestużew Riumin, przywódca diekabrystów.

Str. 345. Zapał — miejsce gdzie przykładają się lont do armaty.

Str. 345. Lenta, szarfa.

Str. 345. Paszoł w durnie — Poszedł w głupcy, został ukarany.

Str. 345. Kwarantanna, miejsce badania chorób zaraźliwych.

Str. 346. Piestiel, przywódca diekabrystów.

Str. 346. Ochrestyw, ochrzczył.

Str. 346. Diwoczka, siuda — dziewczę, tudotąd.

Str. 346. Pokincieś, pokłońcie się.

Str. 347. Stupaj procz, idź precz.



SPIS RZECZY.

	Str.
Przedmowa	5
Religijność Juliusza Słowackiego	7
Horsztyński	17
Beatryx Cenci	135
Fantazy. (Niepoprawni)	237
Przypisy i objaśnienia	349
